REPORTAŻ

Swietłana Aleksijewicz

Ostatni świadkowie

Utwory solowe na głos dziecięcy

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Swietłana Aleksijewicz

Ostatni świadkowie

Utwory solowe na głos dziecięcy

Przełożył Jerzy Czech

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2013

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż jednorazowe pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału rosyjskiego Последние свидетели. Книга недетских рассказов

Projekt okładki AGNIESZKA PASIERSKA / PRACOWNIA PAPIERÓWKA

Fotografia na okładce © by MICHAEL TRAKHMAN / HULTON ARCHIVE / GETTY IMAGES

Copyright © 2006 by SVETLANA ALEXIEVICH
Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO CZARNE, 2013
Copyright © for the Polish translation by JERZY CZECH, 2013

Redakcja MAGDALENA KĘDZIERSKA-ZAPOROWSKA
Korekty AGATA CZERWIŃSKA i SANDRA TRELA / D2D.PL
Redakcja techniczna ROBERT OLEŚ / D2D.PL

Skład wersji elektronicznej MICHAŁ NAKONECZNY / VIRTUALO SP. Z O.O.

ISBN 978-83-7536-599-3

Spis treści

Posłowie w roli przedmowy

Bał się za siebie obejrzeć…

Mój pierwszy i ostatni papieros…

Babcia się modliła… Prosiła, żeby moja dusza wróciła…

Leżały na węglach, różowe…

A mimo to chciałabym mieć mamę…

Takie ładne niemieckie zabawki…

Tylko garść soli… Wszystko, co zostało z naszego domu…

Ucałowałam wszystkie portrety w podręczniku…

Zbierałam go rękami… Był bielusieńki…

Ja chcę żyć! Ja chcę żyć!…

Przez dziurkę od guzika…

Słyszałam tylko krzyk mamy…

Graliśmy, a żołnierze płakali…

Na cmentarzu nieboszczycy leżeli na wierzchu… Jakby jeszcze raz ich zabili…

Zrozumiałem, że to naprawdę ojciec… Drżały mi kolana…

Zamknij oczy, synku… Nie patrz…

Braciszek płacze, bo go nie było, kiedy był tata…

Ta dziewczynka przyszła pierwsza…

Ja jestem twoją mamą…

Pytamy, czy można wylizać…

…jeszcze pół łyżeczki cukru

Domku, nie pal się! Domku, nie pal się!…

Przyszła w białym fartuchu, jak mama…

Niech mnie ciocia weźmie na kolana…

…i zaczęła kołysać jak lalkę

Już mi kupili elementarz…

Ani nie narzeczeni, ani nie żołnierze…

Żeby choć jeden synek został…

Ociera łzy rękawem…

Wisiał na sznurku jak dziecko…

Teraz będziecie moimi dziećmi…

Całowaliśmy im ręce…

Patrzyłam na nich oczami małej dziewczynki…

Nasza mama się nie uśmiechała…

Nie mogłam się przyzwyczaić do swojego imienia…

Bluzę miał mokrą…

Jak gdyby mu uratowała córkę…

Do oddziału nieśli mnie na rękach… Wszystko miałem odbite, od stóp do głów…

A dlaczego ja jestem taki malutki…

Przyciągał je zapach ludzi…

Dlaczego strzelali w buzię? Mama była taka ładna…

Prosisz, żebym cię zastrzelił…

A nie miałam nawet chustki…

Nie było z kim się bawić na ulicy…

Otworzyła okno… I oddała listki wiatrowi…

Kopcie tutaj…

Dziadka pochowaliśmy pod oknem…

Jeszcze łopatami przyklepali, żeby było ładnie

Kupię sobie sukienkę z kokardą…

Jak to umarł?… Przecież dzisiaj nie strzelali…

Bo jesteśmy dziewczynki, a on chłopczyk…

Nie jesteś moim bratem, jeśli bawisz się z niemieckimi dziećmi…

Zapomnieliśmy nawet tego słowa…

Musi pan jechać na wojnę, a pan zakochał się w mojej mamie…

W ostatnich chwilach wykrzykiwali swoje nazwiska…

We czwórkę zaprzęgłyśmy się do tych sanek…

Ci dwaj chłopcy stali się lekcy jak wróbelki…

Wstydziłem się, że chodzę w dziewczęcych butach…

Krzyczałam i krzyczałam… Nie mogłam przestać…

Wszystkie złapały się za ręce…

Nawet nie wiedzieliśmy, jak się grzebie ludzi… I nagle jakoś sobie przypomnieliśmy…

Pozbierał kości…

Wynieśli kocięta z chałupy…

Zapamiętaj: Mariupol, Parkowa 6…

Słyszałam, jak zatrzymało się jego serce…

Uciekłem na wojnę za siostrą, starszym sierżantem Wierą Ried'kiną…

W tamtą stronę, z której wschodzi słońce…

W białej koszuli… Wszyscy mnie z daleka widzieli…

Na podłogę, którą dopiero co wymyłam…

Czy Bóg na to patrzył? I co wtedy myślał…

Taki cudowny ten świat…

Przynosili długie wąskie cukierki… Długie jak ołówki…

Kuferek pasował akurat do jego wzrostu…

Bałam się tego snu…

Chciałam być jedynaczką… I żeby mama mnie rozpieszczała…

A one – jak piłki – nie tonęły…

Zapamiętałem takie niebieskie niebo… I nasze samoloty na tym niebie…

Jak dojrzałe tykwy…

Jedliśmy… park

Kto będzie płakał, tego zastrzelimy…

Mamusia i tatuś – złote słowa…

Przyniosły ją po kawałku…

Akurat wykluły się u nas pisklęta… Bałem się, że je zabiją…

Król krzyżowy… Król karowy…

Wielkie zdjęcie rodzinne…

To wam choć tych kartofelków do kieszeni nałożę…

Ma-ma my-ła ra-mę…

Dał mi czapkę kubankę z czerwoną wstążką…

I strzeliłam w powietrze…

Do pierwszej klasy mama niosła mnie na rękach…

Piesku kochany, wybacz… Piesku kochany, wybacz…

A ona uciekała: To nie jest moja córka! Nie mojaaa!…

Czy byliśmy dziećmi? Nie, mężczyznami i kobietami…

Nie oddawaj ubrania taty obcemu panu…

W nocy płakałam… Gdzie jest moja wesoła mama?…

Nie pozwala mi odlecieć…

Wszyscy chcieli ucałować słowo „zwycięstwo”…

W koszuli uszytej z bluzy ojca…

Ozdobiłam ją czerwonymi goździkami…

Długo czekałem na tatę… Przez całe życie…

Z tamtej linii… Z tamtego brzegu…

Przypisy

Posłowie w roli przedmowy

…pewien cytat

W czasie Wielkiej Wojny Narodowej (1941–1945) zginęły miliony radzieckich dzieci… Rosyjskich, białoruskich, ukraińskich, żydowskich, tatarskich, łotewskich, cygańskich, kozackich, uzbeckich, ormiańskich, tadżyckich…

miesięcznik „Drużba narodow”, nr 5, 1985

…i jeszcze pytanie rosyjskiego klasyka

Wielki Dostojewski pytał kiedyś: czy świat, nasze szczęście, a nawet wieczna harmonia warte są tego, by dla ich powstania zgodzić się na jedną bodaj łzę niewinnego dziecka? I sam na to odpowiedział – nie, żaden postęp, żadna rewolucja, żadna wojna nie są tego warte. Łza dziecka przechyli zawsze szalę.

Bał się za siebie obejrzeć…

Żenia Bielkiewicz – 6 lat
Obecnie – robotnica

Zapamiętałam… Byłam zupełnie mała, ale zapamiętałam wszystko.

Czerwiec czterdziestego pierwszego roku…

Ostatnie, co zapamiętałam z czasów pokoju, to bajka, którą mama czytała mi przed snem. Moją ulubioną, o złotej rybce. Zawsze o coś prosiłam złotą rybkę: „Złota rybko… Kochana złota rybko…”. Moja siostrzyczka też prosiła. Ale prosiła inaczej: „Na szczupaka rozkazanie, na moje zawołanie…”. Chciałyśmy pojechać na lato do babci, i żeby tato z nami pojechał. Był taki wesoły…

Rano obudziłam się przerażona… Zbudziły mnie jakieś nieznane odgłosy…

Mama i tato myśleli, że śpimy, a ja leżałam obok siostry i tylko udawałam, że śpię. Widziałam, że tato długo mamę całował, całował jej twarz, dłonie, a ja się zdziwiłam, bo jeszcze nigdy tak jej nie całował. Wyszli na podwórze, trzymając się za ręce. Podbiegłam do okna i zobaczyłam, że mama zawisła tacie na szyi i nie chce go puścić. Oderwał ją od siebie i pobiegł, ale ona go dogoniła i znowu nie chciała puścić; coś do niego wołała. Ja też zaczęłam krzyczeć: „Tato! Tato!”. Siostrzyczka i braciszek Wasia się obudzili, a kiedy siostra zobaczyła, że płaczę, to i ona zaczęła wołać: „Tato!”. Wszyscy wybiegliśmy na ganek. „Tato!” Ojciec nas zobaczył. Pamiętam, że zasłonił głowę rękami i odszedł, nawet pobiegł. Bał się obejrzeć za siebie…

Słońce świeciło mi prosto w twarz. Było tak ciepło… Nawet teraz nie mogę uwierzyć, że tamtego ranka ojciec poszedł na wojnę. Byłam zupełnie

mała, ale już wtedy wiedziałam, że widzę go ostatni raz. Że już się z nim nie zobaczę. Byłam całkiem… całkiem mała.

Tak to mi się połączyło w pamięci, że wojna jest wtedy, kiedy nie ma taty…

A potem zapamiętałam czarne niebo i czarny samolot. Przy szosie leży nasza mama z rozpostartymi rękami. Prosimy, żeby wstała, a ona nie wstaje. Nie rusza się. Żołnierze zawinęli mamę w pałatkę i zakopali w piachu, tam gdzie leżała. Krzyczeliśmy i prosili: „Nie zakopujcie naszej mamusi. Ona się obudzi i pójdziemy dalej”. Po piachu łaziły jakieś żuki… Nie mogłam sobie wyobrazić, jak mama tam będzie mieszkała z nimi pod ziemią… Jak ją potem odnajdziemy? Kto napisze o tym do tatusia?

Któryś z żołnierzy pytał mnie: „Dziewczynko, jak masz na imię?”. A ja zapomniałam… „Dziewczynko, jak się nazywasz?”. Nie pamiętałam… Siedzieliśmy koło mogiłki mamy do wieczora, dopóki nas nie zabrali i nie posadzili na wóz. Wóz pełen dzieci. Wiózł nas jakiś dziadek, który wszystkich zbierał po drodze. Przyjechaliśmy do obcej wsi, obcy ludzie wzięli nas do swoich domów.

Długo nic nie mówiłam. Tylko patrzyłam.

Potem pamiętam lato. Jasne lato. Obca kobieta głaszcze mnie po głowie. Zaczynam płakać. Zaczynam mówić… Opowiadać o mamie i tacie. Jak tato uciekał przed nami i nawet się nie obejrzał… Jak mama leżała… Jak żuki łaziły po piachu…

Kobieta głaszcze mnie po głowie. Wtedy właśnie zrozumiałam, że jest podobna do mojej mamy…

Mój pierwszy i ostatni papieros…

Giena Juszkiewicz – 12 lat
Obecnie – dziennikarz

Słońce… I niezwykła cisza. Niepojęte milczenie. Ranek pierwszego dnia wojny.

Nasza sąsiadka, żona wojskowego, wyszła na dwór cała zapłakana. Szepnęła coś do mamy i dała jej znak, że trzeba być cicho. Każdy bał się mówić na głos o tym, co się stało, nawet wtedy, kiedy już usłyszał nowinę, no bo ten i ów już się dowiedział. Ale nie chciał, żeby go nazwali prowokatorem. Panikarzem. Tego się bali bardziej niż wojny. Ludzie się bali… To teraz tak myślę… I oczywiście nikt nie wierzył. Gdzież tam! Nasze wojsko czuwa na granicy, nasi przywódcy – na Kremlu! Kraj jest znakomicie broniony, niedostępny dla wrogów! To wtedy tak myślałem… Byłem pionierem.

Kręciliśmy gałką radia. Czekaliśmy na to, co powie Stalin. Jego głos był potrzebny. Ale Stalin nic nie powiedział. W końcu przemówił Mołotow… Wszyscy słuchali. Mołotow ogłosił, że wybuchła wojna. A jednak nikt jeszcze w to nie wierzył. Gdzie jest Stalin?

Nad miasto nadleciały samoloty… Dziesiątki nieznanych nam samolotów. Z krzyżami. Przesłoniły niebo, nawet słońce. Okropne! Poleciały bomby… Nieustannie słychać było wybuchy. Łoskot. Wszystko działo się jak we śnie… Nie na jawie… Nie byłem już malutki, pamiętam swoje ówczesne uczucia. Swój strach, który rozpełzał się po całym ciele. Po wszystkich słowach, myślach. Wybiegliśmy z domu, pędzili ulicami nie wiadomo dokąd… Wydawało mi się, że miasta już nie ma, zostały tylko ruiny. Dym. Ogień. Ktoś powiedział, że trzeba biec na cmentarz, bo cmentarza nie będą bombardować. Po co zrzucać bomby na nieżywych? W naszej dzielnicy był wielki cmentarz żydowski, rosły na nim stare drzewa. No więc wszyscy się

tam rzucili, tysiące ludzi zebrały się na cmentarzu. Przyciskali się do kamiennych płyt, chowali za nimi.

Przesiedzieliśmy tam z mamą do wieczora. Nikt dookoła nie wypowiedział słowa „wojna”, słyszałem inne słowo: „prowokacja”. Wszyscy je powtarzali. Mówili, że lada chwila nasze wojska przejdą do kontrataku. Stalin dał rozkaz. Wierzyliśmy w to.

Ale syreny fabryczne na peryferiach Mińska huczały przez całą noc…

Pierwsi zabici…

Najpierw zobaczyłem zabitego konia… Zaraz potem – zabitą kobietę… To mnie zdziwiło. Myślałem, że na wojnie zabija się tylko mężczyzn.

Obudziłem się rano. Chciałem się zerwać z łóżka, ale przypomniałem sobie, że jest wojna, i zasłoniłem oczy. Trudno było w to wierzyć.

Na ulicach już nie strzelano. Było cicho. Przez kilka dni. Potem nagle zaczął się ruch… Można było na przykład zobaczyć człowieka dosłownie białego, od stóp do głów. Całego w mące. Idzie taki i dźwiga na plecach biały worek. Ktoś inny ucieka… Z kieszeni wypadają mu konserwy, w rękach też ma konserwy. Cukierki… Paczki tytoniu… Kolejny trzyma w dłoniach czapkę napełnioną cukrem… Garnek z cukrem… Tego się nie da opisać! Jeden dźwiga zwój jakiegoś materiału, drugi owinął się cały niebieskim kretonem. Inny – czerwonym… To było śmieszne, ale nikt się nie śmiał. Zbombardowano magazyny żywności. Wielki sklep koło nas… A ludzie rzucili się i grabili wszystko, co zostało. W cukrowni kilka osób utonęło w kadziach z melasą. Okropność! Całe miasto gryzło pestki słonecznikowe, bo znaleźli gdzieś magazyn z pestkami. Na moich oczach przybiegła do sklepu kobieta… Nie miała nic, ani worka, ani siatki, więc zdjęła halkę, rajtuzy. Nasypała w to kaszy gryczanej. I wyniosła… Nie wiadomo, dlaczego to wszystko ludzie robili w milczeniu. W ogóle wtedy nie rozmawiali…

Kiedy zawołałem mamę, została tylko musztarda, żółte słoiki z musztardą. „Nie bierz nic” – prosiła mama. Później przyznała mi się, że było jej wstyd, bo całe życie uczyła mnie czegoś innego. Nawet kiedyśmy głodowali i wspominali tamte dni, to i tak nie żałowaliśmy, żeśmy nic nie wzięli. Taka była moja mama!

Po mieście… Po naszych ulicach spokojnie chodzili niemieccy żołnierze. Wszystko filmowali. Śmiali się. Przed wojną w szkole bardzo lubiliśmy rysować Niemców. Rysowaliśmy ich z wielkimi zębami. Kłami. A tutaj nagle chodzą sobie… Młodzi, piękni… Z ładnymi granatami, wsuniętymi za cho-

lewy solidnych butów. Grają na harmonijkach. Nawet flirtują z naszymi ślicznotkami…

Starszy Niemiec dźwiga jakąś skrzynię. Skrzynia jest ciężka. Przywołał mnie i pokazuje: „Pomóż!”. Skrzynia miała dwa uchwyty, złapaliśmy za nie we dwóch. Kiedy dotarliśmy na miejsce, Niemiec poklepał mnie po ramieniu i wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

– Masz, to zapłata.

Wróciłem do domu. Nie mogłem się doczekać, usiadłem w kuchni i zapaliłem papierosa. Nie słyszałem, jak stuknęły drzwi. Wchodzi mama.

– Palisz?

– Mmm…

– A papierosy skąd?

– Niemieckie.

– Palisz, a w dodatku papierosy wroga. To jest zdrada ojczyzny.

To był mój pierwszy i ostatni papieros.

Kiedyś wieczorem mama usiadła koło mnie.

– Nie mogę znieść tego, że oni są tutaj. Rozumiesz to?

Chciała walczyć. Od pierwszych dni. Postanowiliśmy dotrzeć do ludzi z konspiracji, wiedzieliśmy, że tacy muszą być. Ani przez chwilę w to nie zwątpiliśmy.

– Kocham cię najbardziej na świecie – powiedziała mama. – Ale czy mnie rozumiesz? Czy wybaczysz mi, jeśli nam się coś stanie?

Dosłownie zakochałem się wtedy w mojej mamie, odtąd słuchałem jej bez sprzeciwu. I tak potem było przez całe życie…

Babcia się modliła… Prosiła, żeby moja dusza wróciła…

Natasza Golik – 5 lat
Obecnie – korektorka

Nauczyłam się modlić… Często wspominam, jak podczas wojny nauczyłam się modlić…

Dowiedzieliśmy się, że wybuchła wojna. Miałam wtedy pięć lat, więc nic oczywiście nie mogłam sobie w związku z tym wyobrazić. Żadnego strachu nie czułam. Ale ze strachu usnęłam, właśnie ze strachu. Spałam tak dwa dni. Dwa dni leżałam, jak kukła. Wszyscy myśleli, że umarłam. Mama płakała, a babcia się modliła. Modliła się dwa dni i dwie noce.

Otworzyłam oczy i pierwsze, co pamiętam, to światło. Bardzo mocne, jaskrawe, niezwykle jaskrawe. Bardzo mnie raziło. Usłyszałam, jak ktoś coś mówi, i rozpoznałam głos babci. Babcia stała przed ikoną i się modliła. Odezwałam się:

– Babciu… Babciu…

Ale babcia się nie odwróciła. Nie uwierzyła, że to ja ją wzywam. A ja już się obudziłam… Otworzyłam oczy…

– Babciu – pytałam potem – jak się modliłaś, kiedy umierałam?

– Prosiłam, żeby twoja dusza wróciła.

Babcia umarła rok później. Modliłam się wtedy, prosząc o powrót jej duszy.

Ale dusza już nie wróciła…

Leżały na węglach, różowe…

Katia Korotajewa – 13 lat
Obecnie – inżynier hydrotechnik

Opowiem o zapachu… O tym, jak pachnie wojna…

Przed wojną skończyłam sześć klas. Wówczas w szkole było tak przyjęte, że począwszy od czwartej klasy, zdawało się egzaminy. No więc zdaliśmy ostatni egzamin. To był czerwiec, a maj i czerwiec w czterdziestym pierwszym były zimne. Na ogół bez kwitnie u nas w maju, ale tamtego roku kwitł w połowie czerwca. Wybuch wojny zawsze kojarzyć mi się będzie z zapachem bzu. Z zapachem czeremchy… Dla mnie te drzewa pachną wojną…

Mieszkaliśmy w Mińsku, tutaj się urodziłam. Ojciec był kapelmistrzem w wojsku. Chodziłam z nim na defilady. Poza mną w rodzinie byli dwaj starsi bracia. Mnie, jako najmłodszą, w dodatku dziewczynkę, wszyscy oczywiście kochali i rozpieszczali.

Nadchodziło lato, czekały nas wakacje. Bardzo mnie to cieszyło. Uprawiałam sport, chodziłam do Domu Armii Czerwonej na basen. Bardzo mi w klasie zazdrościli, nawet chłopcy. A ja udawałam przed nimi, że umiem świetnie pływać. W niedzielę dwudziestego drugiego czerwca mieliśmy uroczyście otworzyć sztuczne jezioro o nazwie „Komsomolskie”. Długo je kopano, nasza szkoła brała nawet udział w czynach społecznych. Miałam zamiar pójść się kąpać jako jedna z pierwszych. No a jak!

Rano zawsze chodziliśmy po świeże bułki. To był mój obowiązek. Po drodze spotkałam przyjaciółkę, która mi powiedziała, że zaczęła się wojna. Przy naszej ulicy było wiele ogrodów, domy tonęły w kwiatach. Pomyślałam: „Jaka wojna? Co ona wymyśliła?”.

W domu ojciec nastawił samowar… Nie zdążyłam nic powiedzieć, gdy zaczęli się zlatywać sąsiedzi i wszyscy na ustach mieli jedno słowo: „Wojna! Wojna!”. A następnego dnia o siódmej najstarszy z braci dostał wezwanie do komendy uzupełnień. Potem pobiegł do pracy, gdzie dali mu wypłatę. Z tymi pieniędzmi wrócił do domu i powiedział mamie:

– Idę na wojnę, nic nie potrzebuję. Weź te pieniądze i kup Kati nowe palto.

A ja dopiero zdałam do siódmej klasy, to już była wyższa klasa, i marzyłam, że mi uszyją granatowe bostonowe palto z szarym kołnierzem, karakułowym. Brat o tym wiedział.

Do dzisiaj pamiętam, że kiedy wyruszał na wojnę, dał mi pieniądze na palto. A żyliśmy skromnie, w rodzinnym budżecie było sporo dziur. Mama by mi jednak to palto kupiła, skoro brat prosił. Tyle że nie zdążyła…

Zaczęły się bombardowania Mińska. Przenieśliśmy się z mamą do murowanej piwnicy sąsiadów. Miałam ulubionego kota, bardzo dzikiego, który nie wychodził dalej niż na podwórze, ale kiedy zaczynało się bombardowanie i uciekałam z podwórka do sąsiadów, kot biegł w ślad za mną. Też bał się zostać sam. Niemieckie bomby latały z jakimś dźwiękiem, z wyciem. Byłam muzykalna, więc na mnie to mocno działało. Te dźwięki… To było takie straszne, że aż pociły mi się dłonie. W piwnicy siedział z nami czteroletni chłopiec od sąsiadów. Nie płakał, tylko rozglądał się takimi szeroko otwartymi oczami.

Najpierw paliły się pojedyncze domy, potem zaczęło płonąć miasto. Lubimy patrzeć na ogień, na ognisko, ale już kiedy pali się dom, wtedy robi się strasznie, a tutaj ogień buchał ze wszystkich stron, dym przesłaniał niebo, wypełniał ulice. I miejscami to silne oświetlenie… Od ognia… Zapamiętałam drewniany dom z trzema otwartymi oknami, na parapetach rosły tam wspaniałe kaktusy, epifilum. Ludzi tam już nie było, tylko kaktusy kwitły… Miałam takie uczucie, że to nie czerwone kwiaty, tylko płomień. Że te kwiaty płoną.

Uciekaliśmy…

Po drodze we wsiach dawano nam chleb i mleko, nic więcej ludzie nie mieli. A myśmy nie mieli pieniędzy. Wyszłam z domu w chustce, a mama nie wiedzieć czemu w zimowym płaszczu i pantoflach na wysokim obcasie. Dawano nam jeść za darmo, nikt o pieniądzach nie wspominał. Płynęła masa uciekinierów.

Potem ktoś pierwszy powiedział, że drogę z przodu odcięli niemieccy motocykliści. Uciekaliśmy więc z powrotem, przez te same wsie, mijając te same kobiety z garnkami mleka. Przybiegliśmy na naszą ulicę… Jeszcze kilka dni temu była tu zieleń, kwitły kwiaty, a teraz wszystko się spaliło. Nawet ze stuletnich lip nic nie zostało. Wszystko było wypalone aż do żółtego piasku. Gdzieś zniknął czarnoziem, na którym wszystko rosło, został tylko piasek… żółciusieńki piasek… Zupełnie jakbyśmy stali przy świeżo wykopanym grobie…

Pozostały też piece fabryczne, białe, bo hartowały się w ogniu. Więcej nic znajomego nie było… Spaliła się cała ulica. Spalili się dziadkowie, babcie i wiele małych dzieci. Staruszkowie nie uciekli razem ze wszystkimi, bo myśleli, że ich zostawią w spokoju. Ogień nikogo nie oszczędził. Gdy się widziało czarnego trupa, to znaczyło, że spłonął starszy człowiek. A jak się zobaczyło coś małego, różowego, to był to trup dziecka. Leżały na węglach, różowe…

Mama zdjęła chustkę i zawiązała mi oczy… Tak doszliśmy do naszego domu, a raczej do miejsca, w którym kilka dni temu stał nasz dom. Domu nie było. Powitał nas cudem ocalały nasz kot. Otarł się o moje nogi, i tyle. Nikt z nas nie był w stanie nic powiedzieć… Nawet kot nie miauczał, milczał przez kilka dni. Wszyscyśmy milczeli.

Zobaczyłam pierwszych hitlerowców, nawet nie zobaczyłam, ale usłyszałam, bo mieli podkute buty, które głośno stukały. Stukały o bruk. A mnie się wydawało, że nawet ziemię boli, kiedy oni po niej chodzą.

A bez tak rozkwitł tamtego roku… I czeremcha tak rozkwitła…

A mimo to chciałabym mieć mamę…

Zina Kosiak – 8 lat
Obecnie – fryzjerka

W czterdziestym pierwszym…

Skończyłam pierwszą klasę, na lato rodzice zawieźli mnie do obozu pionierów Horodyszcze pod Mińskiem. Przyjechałam, zdążyłam się raz wykąpać, a po dwóch dniach wybuchła wojna. Zaczęli nas wywozić z obozu. Wsadzili do pociągu i powieźli. Nad nami latały niemieckie samoloty, a my krzyczeliśmy: „Hurra!”. Nie rozumieliśmy, że to mogą być nieprzyjacielskie maszyny, dopóki nie zaczęły zrzucać bomb… Wtedy zniknęły wszystkie barwy… Wszystkie kolory… Usłyszałam po raz pierwszy słowo „śmierć”, wszyscy zaczęli wymawiać to niepojęte słowo. A mamy i taty przy mnie nie było…

Kiedy wyjeżdżaliśmy z obozu, każdemu do powłoczki coś nasypano: jednemu kaszę, drugiemu cukier. Nie pominięto nawet najmłodszych dzieci – każde coś dostało. Chcieliśmy zabrać na drogę jak najwięcej jedzenia i bardzo go pilnowaliśmy. W pociągu jechali jednak ranni żołnierze, więc kiedy zobaczyliśmy, jak jęczą, jak ich boli, to od razu chcieliśmy wszystko im oddać. Mówiliśmy wtedy, że trzeba „nakarmić tatusiów”, bo wszystkich wojskowych nazywaliśmy tatusiami. Powiedziano nam, że Mińsk się pali, że całe miasto spalone, że tam już są Niemcy, a my jedziemy na tyły. Pojedziemy tam, gdzie nie ma wojny.

Wieźli nas ponad miesiąc. Co skierowali nas do jakiegoś miasta, to po przyjeździe okazywało się, że nie mogą nas tam zostawić, bo Niemcy są już blisko. I tak dojechaliśmy do Mordowii.

Miejscowość była bardzo ładna, dookoła stały cerkwie. Domy były niskie, a cerkwie – wysokie. Nie mieliśmy na czym spać, więc spaliśmy na

słomie. Kiedy przyszła zima, mieliśmy jedną parę butów na czworo. A potem zaczął się głód. Głodował nie tylko dom dziecka, głodowali także ludzie wokół nas, bo wszystko oddali dla walczących na froncie. W domu dziecka mieszkało dwieście pięćdziesięcioro dzieci. Kiedyś wołają nas na obiad, a tu do jedzenia nie ma już nic. Siedzą w stołówce wychowawczynie i dyrektor, patrzą na nas i oczy mają pełne łez. A mieliśmy tam też kobyłę Majkę, która woziła wodę. Była już stara i bardzo łagodna. No i następnego dnia ta Majka poszła pod nóż. Dali wtedy dzieciom wodę i po takim małym kawałku z tej Majki. Długo to przed nami ukrywali, bobyśmy jej nie przełknęli… Za nic w świecie! To był jedyny koń w naszym domu. A poza tym – dwa głodne koty. Szkielety! Potem myśleliśmy, że to dobrze, że takie chude, bo przynajmniej nie musimy ich zjadać.

Chodziliśmy z rozdętymi brzuchami… Mogłam zjeść wiadro zupy, bo w tej zupie nic nie było. Ile by mi jej nalali, tyle bym zjadła. Wybawieniem była dla nas przyroda, staliśmy się podobni do zwierząt, do przeżuwaczy. Wiosną w odległości kilku kilometrów wokół domu dziecka żadne drzewo nie wypuściło liści, bo zjadaliśmy wszystkie pączki, zdzieraliśmy nawet młodą korę. Jedliśmy trawę, zjadaliśmy wszystko, co wyrosło. Kiedy dali nam kurtki, to my w tych kurtkach zrobiliśmy kieszenie i upychali do nich trawę; potem tak z nią chodziliśmy i przeżuwali. Lato nas ratowało, ale zimą było bardzo ciężko. Nas, małych dzieci, było czterdzieścioro, ulokowali nas osobno. Szlochaliśmy po nocach. Wołaliśmy mamę i tatę. Wychowawcy, nauczyciele starali się przy nas nie wymawiać słowa „mama”. Opowiadali nam bajki i dobierali takie książki, żeby tego słowa tam nie było. Bo gdy tylko ktoś je wymówił, wówczas od razu podnosił się bek. I nie dało się dzieci utulić.

Poszłam znowu do pierwszej klasy. A dlaczego? Pierwszą klasę skończyłam z listem pochwalnym, ale kiedy przyjechaliśmy do domu dziecka i zapytano nas, kto miał poprawkę, to się zgłosiłam, bo myślałam, że ten list pochwalny to jest właśnie poprawka. W trzeciej klasie uciekłam z domu dziecka. Poszłam szukać mamy. Głodną i osłabioną znalazł mnie w lesie dziadek, który nazywał się Bolszakow. Dowiedział się, że jestem z domu dziecka, i zabrał mnie do siebie. Mieszkali we dwoje z babcią. Kiedy nabrałam sił, zaczęłam pomagać im w gospodarstwie: zrywałam trawę, pełłam kartofle – robiłam wszystko. Jedliśmy chleb, ale taki, że samego chleba było w nim mało. Gorzki w smaku. Do mąki dodawano wszystko, co się

dawało zemleć: lebiodę, kwiaty leszczyny, kartofle. Do tej pory nie umiem ze spokojem patrzeć na tłustą trawę i jem dużo chleba… Nie mogę się nigdy najeść… Za dziesiątki lat…

Ileż jeszcze pamiętam mimo wszystko… Dużo pamiętam…

Pamiętam małą dziewczynkę, której się rozum pomieszał. Dziewczynka wchodziła do czyjegoś ogródka, szukała norki i potem czatowała na myszkę. Też chciała jeść… Pamiętam jej twarz, nawet bezrękawnik, w którym chodziła. Kiedyś podeszłam do niej, a ona mi opowiedziała o myszce… Kucałyśmy we dwójkę i czyhały na tę myszkę…

Cały czas czekałam na koniec wojny, na to, że zaprzęgniemy wtedy z dziadkiem konia i pojedziemy szukać mamy. Do domu przychodzili ewakuowani, a ja wszystkich pytałam: „Czy nie widzieliście mojej mamy?”. Ewakuowanych było wielu, tak wielu, że w każdym domu stał sagan z wywarem z pokrzyw. Żeby ludzie mieli coś ciepłego do zjedzenia, kiedy wejdą do chaty. Bo więcej nic nie było… Ale sagan z pokrzywami stał w każdym domu… Dobrze to pamiętam. Sama zrywałam te pokrzywy.

Wojna się skończyła… Czekałam dzień, dwa, ale nikt po mnie nie przyjechał. Mama nie przyjeżdża, a tato jest w wojsku, to wiedziałam. Czekałam tak dwa tygodnie, dłużej już nie miałam siły. Wlazłam do jakiegoś pociągu, pod ławkę i pojechałam… Dokąd? Nie wiedziałam. Myślałam (przecież byłam jeszcze dzieckiem), że wszystkie pociągi jadą do Mińska. A w Mińsku czeka na mnie mama! Potem przyjedzie nasz tato… Bohater! Z orderem, z medalami.

Rodzice gdzieś zginęli podczas bombardowania… Sąsiedzi mi potem opowiadali, że pojechali we dwójkę, by mnie szukać. Pobiegli na stację…

Mam już pięćdziesiąt jeden lat, sama jestem matką. A mimo to chciałabym mieć mamę…

Takie ładne niemieckie zabawki…

Taisa Naswietnikowa – 7 lat
Obecnie – nauczycielka

Przed wojną…

Jak zapamiętałam siebie? Wszystko mi się podobało: przedszkole, poranki, nasze podwórze. Dziewczynki i chłopcy. Dużo czytałam, bałam się robaków i lubiłam psy. Mieszkaliśmy w Witebsku, tato pracował w zarządzie budowlanym. Z dzieciństwa najbardziej zapamiętałam, jak tato uczył mnie pływać w Dźwinie.

A potem była szkoła. Ze szkoły pozostało mi takie wspomnienie: bardzo szerokie schody, przezroczysta szklana ściana i bardzo dużo słońca, bardzo dużo radości. Wydawało mi się, że życie jest świętem.

W pierwszych dniach wojny ojciec wyruszył na front. Pamiętam pożegnanie na dworcu… Tato cały czas przekonywał mamę, że chociaż nasi pobiją Niemców, to lepiej będzie, jak wyjedziemy. Mama nie rozumiała dlaczego. Przecież gdybyśmy zostały w domu, nie musiałby nas wtedy szukać. Od razu by znalazł. A ja cały czas powtarzałam: „Tatusiu, kochany, wracaj jak najprędzej! Kochany tatusiu…”.

Tato pojechał, po kilku dniach pojechałyśmy i my. Po drodze bez przerwy nas bombardowano, łatwo było bombardować, bo pociągi na tyły jechały co pięćset metrów. Jechałyśmy lekko ubrane: mama miała satynową sukienkę w białe groszki, a ja kretonowy czerwony bezrękawnik w kwiatki. Wszyscy dorośli mówili, że kolor czerwony bardzo łatwo dostrzec z góry, i gdy tylko był nalot, wszyscy chowali się w krzakach, a mnie przykrywali, czym się dało. Chodziło o to, żeby mnie lotnik nie zobaczył, bo w tym czerwonym w kwiatki byłam jak latarnia.

Piliśmy wodę tylko z kałuż i rowów. Zaczęły się choroby jelit. Ja też zachorowałam… Trzy dni i trzy noce byłam nieprzytomna… Potem mama opowiadała mi, jak mnie uratowali. Kiedy zatrzymaliśmy się w Briańsku, na sąsiedni tor podstawiono pociąg z wojskiem. Mama miała dwadzieścia sześć lat, była bardzo ładna. Nasz skład stał długo. Wyszła więc z wagonu, a jakiś oficer z tamtego pociągu powiedział jej komplement. Mama poprosiła go:

– Niech pan idzie, nie mogę patrzeć na pański uśmiech. Moja córka umiera.

Oficer, jak się okazało, był felczerem. Wskoczył do naszego wagonu, obejrzał mnie i zawołał kolegę. Powiedział:

– Przynieś no zaraz herbaty, sucharów i belladonnę[1].

Te właśnie żołnierskie suchary, litrowa butelka mocnej herbaty i kilka tabletek belladonny uratowały mi życie.

Kiedy jechaliśmy do Aktiubińska, cały pociąg chorował. Nas, dzieci, nie puszczano tam, gdzie leżeli martwi i zabici, odgradzano nas od tego widoku. Słyszeliśmy tylko rozmowy: tam zakopano tylu, a tam tylu… Mama wracała przeraźliwie blada, ręce jej drżały. A ja ciągle wypytywałam: „Co się stało z tymi ludźmi?”.

Nie pamiętam żadnych krajobrazów. To bardzo dziwne, bo zawsze lubiłam przyrodę. Zapamiętywałam tylko krzaki, pod którymiśmy się chowali. Wąwozy. Nie wiem czemu, ale miałam wrażenie, że nigdzie nie ma lasu, jedziemy tylko przez pola, przez jakąś pustynię. Kiedyś ogarnęło mnie takie przerażenie, że potem już się żadnego bombardowania nie bałam. Nie uprzedzono nas, że pociąg będzie stał krótko, najwyżej dziesięć, piętnaście minut. Potem pociąg ruszył, a ja zostałam… Sama… Nie pamiętam, kto mnie wepchnął do pociągu… Dosłownie wrzucił do wagonu… Nie do naszego, tylko do przedostatniego… Wtedy pierwszy raz się przeraziłam, że mama odjedzie, a ja zostanę sama. Dopóki była ze mną, nic nie było straszne. A wtedy oniemiałam ze strachu. I póki mama nie przybiegła, póki mnie nie porwała w objęcia, byłam niema, nikt ze mnie słowa nie mógł wydobyć. Mama była moim światem. Moją planetą. Jeśli nawet coś mnie bolało, to można było wziąć mamę za rękę i wtedy przestawało boleć. Nocą zawsze spałam przy niej, im mocniej się do niej tuliłam, tym mniejszy czułam strach. Póki mama była blisko, miałam wrażenie, że wszystko jest takie jak kiedyś, takie jak w domu. Wystarczy zamknąć oczy, żeby wojna całkiem

zniknęła. Tyle że mama nie lubiła rozmawiać o śmierci. A ja cały czas o to pytałam…

Z Aktiubińska pojechaliśmy do Magnitogorska, gdzie mieszkał brat ojca. Przed wojną miał liczną rodzinę, było tam wielu mężczyzn, ale wszyscy poszli na wojnę. Kiedyśmy przyjechały, w domu zastałyśmy same kobiety. W końcu czterdziestego pierwszego roku nadeszły dwa zawiadomienia – zginęli dwaj synowie stryja…

Z tamtej zimy zapamiętałam jeszcze ospę wietrzną, którą przeszła cała nasza szkoła. I czerwone spodnie… Z przydziału kartkowego mama dostała kupon bordowej bai, z niej uszyła mi spodnie. Dzieci potem wołały za mną: „Bracie Czerwone Gacie”. Było mi bardzo przykro. Trochę później dostałyśmy kalosze na kartki. Przywiązywałam je do stóp i tak biegałam. Kalosze ocierały nogi w okolicy kostek, tak że trzeba było coś podkładać pod pięty. A zima była taka mroźna, że cały czas marzły mi ręce i nogi. W szkole często psuło się ogrzewanie, na podłogę w klasie lała się woda, która zamarzała, tak że można było się ślizgać między ławkami. Siedzieliśmy w płaszczach, w rękawiczkach, tylko czubki palców w nich poucinaliśmy, żeby można było trzymać pióro. Pamiętam, że wszyscy dużo czytali… Tak dużo jak nigdy… Przeczytaliśmy wszystko, co było w bibliotece dla dzieci, dla starszych dzieci. Wtedy zaczęto nam dawać książki dla dorosłych. Inne dziewczynki bały się tych stron, na których była mowa o śmierci, nawet chłopcy je opuszczali. A ja czytałam…

Napadało dużo śniegu. Wszystkie dzieci wybiegały na ulicę i lepiły bałwana, a ja się dziwiłam: jak można lepić bałwana i cieszyć się, jeśli jest wojna?

Dorośli cały czas słuchali radia, bez radia nie mogli żyć. My także. Cieszyliśmy się z każdej salwy w Moskwie, przejmowało nas wszystko, chcieliśmy wiedzieć, jak tam na froncie, w podziemiu, w partyzantce… Kiedy nakręcono filmy o bitwie pod Stalingradem i pod Moskwą, to oglądaliśmy je po piętnaście czy dwadzieścia razy. Gdyby nawet pokazali nam je trzy razy pod rząd, tobyśmy też je obejrzeli. Filmy pokazywano w korytarzu, a myśmy siedzieli na podłodze. Po dwie, trzy godziny. Zapamiętywałam śmierć… Mama na mnie za to krzyczała. Naradzała się z lekarzami, dlaczego jestem taka… Dlaczego interesują mnie takie rzeczy nie dla dzieci jak śmierć? Co zrobić, żebym myślała o dziecięcych sprawach?

Zaczęłam znowu czytać bajki… Bajki dla dzieci… Co wtedy dostrzegłam? Zauważyłam, jak często się w nich zabija. Ile jest krwi. To było dla mnie odkrycie…

Pod koniec czterdziestego pierwszego roku zobaczyłam pierwszych jeńców niemieckich… Szli ulicą, szeroką kolumną. Zdumiało mnie, że ludzie podchodzili do nich i dawali im chleb. Tak mnie to zdumiało, że pobiegłam do mamy do pracy i zapytałam, dlaczego nasi ludzie dają chleb Niemcom. Mama nic nie powiedziała, tylko zapłakała. Wtedy po raz pierwszy widziałam zabitego w mundurze niemieckim. Jeden z jeńców szedł, szedł i w końcu upadł. Kolumna stanęła, po czym poszła dalej, a koło niego postawiono naszego żołnierza. Podbiegłam tam… Ciągnęło mnie, żeby popatrzeć na śmierć z bliska, pobyć obok niej. Kiedy przez radio ogłaszano straty przeciwnika, zawsze się cieszyliśmy… A teraz… Zobaczyłam go… Wyglądał tak, jakby spał… Nawet nie leżał, ale siedział, skulony, z głową lekko przekrzywioną. Nie wiedziałam, czy mam go nienawidzić, czy żałować. To był wróg. Nasz wróg! Nie pamiętam, jaki był, młody czy stary. Bardzo zmęczony. Dlatego trudno mi go było nienawidzić. Też opowiedziałam o tym mamie. Mama znowu zapłakała.

Dziewiątego maja obudziłyśmy się wcześnie, bo w bramie ktoś bardzo głośno krzyczał. Mama poszła zobaczyć, co się stało, i przybiegła zdezorientowana. „Zwycięstwo! Czyżby naprawdę?” Bo to było takie niezwykłe: wojna się skończyła, taka długa wojna. Ktoś płakał, ktoś się śmiał, ktoś krzyczał… Płakali ci, którzy stracili bliskich. Cieszyli się jednak, bo mimo wszystko to Zwycięstwo! Jeden miał garść kaszy, drugi kartofle, jeszcze inny buraki, wszystko znosiliśmy do jednego mieszkania. Nigdy tamtego dnia nie zapomnę. Tego ranka… Nawet pod wieczór było inaczej…

Przez całą wojnę wszyscy mówili jakoś cicho, wydawało mi się nawet, że szeptem, a tutaj nagle zaczęli mówić głośno. Siedzieliśmy przez cały czas z dorosłymi, a teraz ci nas częstowali, przytulali i mówili: „Idźcie na ulicę. Dzisiaj jest święto”. Potem wołali, żebyśmy wrócili. Nigdy nas tak nie ściskali i nie całowali jak tamtego dnia.

Mam szczęście, bo z wojny wrócił mój tato. Przywiózł mi ładne zabawki. To były niemieckie zabawki. Nie mogłam tego zrozumieć – jak takie ładne zabawki mogą być niemieckie?

Z tatą też próbowałam rozmawiać o śmierci. O bombardowaniu podczas ewakuacji… Jak wzdłuż drogi leżeli nasi zabici żołnierze. Ich twarze były

przykryte gałązkami. A w górze fruwały muchy… Całe stada much… O martwym Niemcu… Opowiedziałam o tacie mojej przyjaciółki, który wrócił z wojny i umarł po kilku dniach. Umarł, bo był chory na serce. To się nie mieściło w głowie – jak można umrzeć po wojnie, kiedy wszyscy są szczęśliwi?

Ale tato milczał…

Tylko garść soli… Wszystko, co zostało z naszego domu…

Misza Majorow – 5 lat
Obecnie – doktor nauk rolniczych

Podczas wojny lubiłem śnić… Lubiłem śnić o życiu w czasie pokoju, o tym, jak żyliśmy przed wojną…

Pierwszy sen…

Babcia uporała się ze wszystkimi pracami w gospodarstwie. Czekam na tę chwilę. Babcia przesuwa stół pod okno, rozściela materiał, kładzie na niego watę, przykrywa ją drugim kawałkiem materiału i zaczyna pikować kołdrę. Mam też pracę: z jednej strony kołdry babcia wbija gwoździki, do nich po kolei przywiązuje szpagat, który naciera kredą, a ja naciągam z drugiej strony.

– Ciągnij mocniej, Miszeńka – prosi babcia.

Naciągam, a ona puszcza: bach! – i kreda zaznacza linię na czerwonej albo niebieskiej satynie. Pasemka się przecinają, tworzą romby, wzdłuż nich biegną ściegi czarnych nitek. Następna operacja: babcia rozkłada papierowe szablony (teraz się na to mówi „wykroje”), i na rozłożonym ubraniu pojawia się rysunek. Bardzo ładny, bardzo ciekawy. Moja babcia znakomicie pikuje też koszule, udają się jej zwłaszcza kołnierze. Jej ręczna maszyna Singer pracuje nawet wtedy, kiedy już śpię. Dziadek też śpi.

Drugi sen…

Dziadek szyje buty. Tutaj też przydzielił mi zadanie – toczyć drewniane szpilki. Teraz wszystkie podeszwy są na stalowych gwoździkach, ale gwoździki rdzewieją, i podeszwa szybko odpada. Pewnie wtedy też były w użyciu stalowe gwoździki, ale ja pamiętam drewniane. Gładki kloc brzozowy (ze starej brzozy), bez sęków, piłowało się na mniejsze klocki i zostawiało

w szopie, żeby przeschły. Potem strugało się z nich patyczki mniej więcej na trzy centymetry grube i dziesięć długie, a potem też suszyło. Takie patyczki krajało się w poprzek, na płytki grubości dwóch–trzech milimetrów. Nóż szewski jest ostry, łatwo więc obcina się nim płytkę po brzegach. Teraz trzeba ścisnąć ją w imadle, zaostrzyć – szast-prast i już mamy gwoździk-szpilkę, gotową do wbicia. Dziadek takim specjalnym szydłem nakłuwa otwór, wtyka szpilkę, stuka młotkiem: puk, puk! – i gwóźdź już tkwi w podeszwie buta. Nabija się je dwoma rzędami, co jest nie tylko ładne, ale i bardzo trwałe – wilgoć sprawia, że suche brzozowe gwoździki pęcznieją i jeszcze mocniej trzymają podeszwę, która nie odpadnie, dopóki się nie zedrze.

A dziadek umie też podszywać walonki, ściśle mówiąc, dorabiać drugą podeszwę. Wtedy walonki dłużej wytrzymują i można w nich chodzić bez kaloszy. Albo obszywa skórą tył, żeby walonek się prędko nie przetarł od kalosza. Ja mam za zadanie skręcać lnianą nić, smołować, woskować i przewlekać dratwę przez ucho szydła. Ale igiełka do cerowania butów jest bardzo droga, toteż dziadek najczęściej używa dziczej szczeciny, takiej z karku dzika. Nadaje się też szczecina ze zwykłej świni, ale jest miększa. Dziadek ma cały pęk takiej szczeciny. Można nią przyszyć i podeszwę, i małą łatę w niewygodnym miejscu – szczecina jest giętka i bez trudu przelezie.

Trzeci sen…

Starsi chłopcy w sąsiedniej dużej szopie zorganizowali teatr i wystawiają sztukę o straży granicznej i szpiegach. Bilety są po dziesięć kopiejek, a ja nie mam monety. Nie chcą mnie wpuścić, więc zaczynam beczeć, bo też chcę „zobaczyć wojnę”. Zaglądam po kryjomu do szopy, a „żołnierze” mają prawdziwe bluzy wojskowe. Przedstawienie jest wspaniałe…

Dalej moje sny się urywały…

Wkrótce zobaczyłem te bluzy u nas w domu… Babcia karmiła zmęczonych i zakurzonych żołnierzy, a oni mówili: „Niemiec naciera”.

Zacząłem wypytywać babcię, jacy są ci Niemcy.

Ładujemy na wóz toboły, posadzili mnie na nich… Dokądś jedziemy… Potem wracamy… A w naszym domu są Niemcy! Podobni są do naszych żołnierzy, mają tylko inne mundury i są weseli. My z mamą i babcią mieszkamy teraz za piecem, a dziadek – w szopie. Babcia już nie pikuje kołdry, dziadek nie robi butów. Kiedyś odsuwam zasłonkę, a w kącie przy oknie

siedzi Niemiec ze słuchawkami na uszach i kręci gałką radiostacji, słychać muzykę, potem wyraźnie coś po rosyjsku… Inny Niemiec w tym czasie smarował chleb masłem, zobaczył mnie i machnął mi nożem przed samym nosem, ja się schowałem za zasłonką i więcej już zza pieca nie wyłaziłem.

Ulicą koło naszego domu prowadzą człowieka w nadpalonej bluzie, bosego, z rękami skrępowanymi drutem. Jest cały czarny… Potem widziałem go, jak wisiał koło budynku rady wiejskiej. Mówili, że to nasz lotnik. W nocy mi się śnił. Że wisi na naszym podwórzu…

Z tamtych dni… Wszystko pamiętam w czerni: czarne czołgi, czarne motocykle, niemieccy żołnierze w czarnych mundurach. Nie jestem pewny, czy naprawdę wszystko było czarne, ale tak to zapamiętałem. I tak mi zostało… Taki czarno-biały film… Do szkoły jeszcze nie chodziłem, ale umiałem czytać i liczyć. Liczyłem czołgi, było ich wiele, tak wiele, że biały śnieg zmieniał się w czarny.

Opatulili mnie w coś także czarnego, chowamy się na bagnach. Cały dzień i całą noc. Noc jest zimna. Nieznane ptaki krzyczą strasznym głosem. Wydaje mi się, że księżyc świeci bardzo jasno. To źle! Co będzie, jeśli owczarki Niemców nas zobaczą albo poczują? Czasem dolatywało do nas ich ochrypłe szczekanie. Jutro – do domu! Chcę do domu! Wszyscy chcą do domu, do ciepła! Ale domu już nie ma, została tylko kupa dymiących głowni. Spalone miejsce… Po wielkim ognisku… Znajdujemy w popiele grudę soli, która zawsze leżała na przypiecku. Starannie zebraliśmy sól, potem także glinę, zmieszaną z solą, i wsypaliśmy do dzbanka. To było wszystko, co zostało z naszego domu…

Babcia długo nic nie mówiła, a potem w nocy zaczęła krzyczeć:

– Oj ty, moja chatko! Moja chatynko! Ja tu panienką byłam, aaaa… Tu swaty do mnie przychodziły… Tu dzieci urodziłam…

Chodziła po naszym czarnym podwórzu jak widmo.

Rano otworzyłem oczy – śpimy na ziemi. W naszym ogródku…

Ucałowałam wszystkie portrety w podręczniku…

Zina Szymanska – 11 lat
Obecnie – kasjerka

Oglądam się za siebie z uśmiechem… Ze zdziwieniem. Czyżby to mnie się wydarzyło? Kiedy zaczęła się wojna, byliśmy w cyrku. Poszliśmy całą rodziną na poranne przedstawienie. Niczego się nie domyślaliśmy. O niczym nie mieliśmy pojęcia… Wszyscy już wiedzieli, a my nie. Klaskaliśmy. Śmiali się. Był tam wielki słoń. Słonisko! Małpki tańczyły… I nagle… Wyszliśmy wszyscy na ulicę, a tu ludzie zapłakani. „Wojna!” Wszystkie dzieci się cieszyły. „Hurra!” Teraz się wykażemy, pomożemy naszym żołnierzom. Będziemy bohaterami. Najbardziej lubiłam książki o wojnie. O walkach, o wielkich czynach… Miałam najróżniejsze marzenia… Że pochylam się nad rannym żołnierzem, wynoszę go wśród dymu. Z płomieni… W domu całą ścianę nad swoim biurkiem okleiłam wojennymi zdjęciami z gazet. Tam Woroszyłow, tu Budionny…

Z koleżanką wybierałyśmy się na wojnę z Finlandią, a nasi znajomi chłopcy – na hiszpańską. Wojna wydawała nam się najciekawszym wydarzeniem w życiu, największą przygodą. Marzyliśmy o niej, byliśmy dziećmi swojej epoki. Dobrymi dziećmi! Moja przyjaciółka zawsze chodziła w starej budionówce[2], zapomniałam już, skąd ją wzięła, ale to była jej ulubiona czapka. A jak uciekałyśmy na wojnę? Zaraz opowiem… Została kiedyś u nas na noc, oczywiście to było ustalone z góry, i o świcie po cichu wyszłyśmy z domu. Na paluszkach… Tsss… Zabrałyśmy coś do jedzenia. Ale ponieważ od paru dni ciągle szeptałyśmy po kątach i coś chowały do woreczków, starszy brat widocznie to zauważył. Dogonił nas na podwórzu i zawrócił. Skrzyczał mnie i zagroził, że z mojej biblioteki wyrzuci wszystkie wojenne książki. Cały dzień płakałam. Tacy wtedy byliśmy!

A teraz zaczęła się prawdziwa wojna…

Po tygodniu do Mińska weszły niemieckie wojska. Z tych początków nie zapamiętałam samych Niemców, zapamiętałam tylko ich sprzęt. Wielkie samochody, wielkie motocykle… W życiu takich nie widzieliśmy, nasi takich nie mieli… Ludzie oniemieli i ogłuchli. Mieliśmy strach w oczach… Na płotach i słupach pojawiły się obce plakaty i ogłoszenia. Obce rozkazy. Nastał nowy porządek. Po jakimś czasie znowu otwarto szkoły. Mama postanowiła, że wojna wojną, ale przerywać nauki nie warto, więc mimo wszystko powinnam się uczyć. Na pierwszej lekcji geograficzka, ta sama, która nas uczyła przed wojną, zaczęła złorzeczyć na władzę radziecką. Na Lenina. Powiedziałam sobie wtedy, że nie chcę uczyć się w takiej szkole. Nieee… Nie chcę! Przyszłam do domu i ucałowałam wszystkie portrety w podręczniku… Wszystkie ukochane portrety…

Niemcy wpadali do naszych mieszkań, cały czas kogoś szukali. To Żydów, to partyzantów… Mama powiedziała: „Schowaj swoją chustę pionierską”. W dzień chowałam chustę, a w nocy, kiedy kładłam się spać, wiązałam ją sobie na szyi. Mama bała się, co będzie, gdy Niemcy zapukają w nocy. Perswadowała mi. Płakała. Czekałam, aż mama zaśnie, a w domu i na ulicy zrobi się cicho. Wtedy wyjmowałam z szafy czerwony krawat, radzieckie książki. Moja przyjaciółka też tak robiła. Przechowywała nawet budionówkę.

Teraz sama się sobie dziwię. To naprawdę byłam ja?

Zbierałam go rękami… Był bielusieńki…

Żenia Sielenia – 5 lat
Obecnie – dziennikarz

Tamtej niedzieli… Dwudziestego drugiego czerwca…

Poszliśmy z bratem na grzyby. Bo pojawiły się już spore prawdziwki i kozaki. Nasz lasek jest nieduży, znaliśmy tam każdy krzaczek, każdą polanę, wiedzieliśmy, gdzie jakie grzyby rosną, jakie jagody i nawet kwiaty. Gdzie jest wierzbówka, gdzie żółty dziurawiec. Liliowe wrzosy… Już wracaliśmy do domu, kiedy usłyszeliśmy potężny huk. Huczało niebo… Podnieśliśmy głowy. Nad nami leciało dwanaście czy piętnaście samolotów… Leciały wysoko, bardzo wysoko, pomyślałem wtedy, że dotąd nasze samoloty tak wysoko nie latały. Było słychać huk: „uuuu!”.

W tej samej chwili zobaczyliśmy, że w naszą stronę biegnie mama – zagubiona, zapłakana – i woła nas rwącym się głosem. Pierwszy dzień wojny zostawił takie właśnie wspomnienie, że mama nie woła nas łagodnie jak zwykle, ale krzyczy: „Dzieci! Moje dzieci!”. Ma wielkie oczy, szeroko otwarte oczy zamiast twarzy…

Chyba po dwóch dniach do naszej zagrody weszła grupa czerwonoarmistów. Zakurzeni, spoceni, ze spieczonymi ustami, chciwie pili wodę ze studni. I nagle wszyscy ożyli… Twarze im się rozjaśniły, kiedy na niebie ukazały się nasze cztery samoloty. Wyraźnie zobaczyliśmy czerwone gwiazdy. „Nasze! Nasze!” – wołaliśmy razem z żołnierzami. Wtem nadleciały inne samoloty, małe, czarne, zakręciły się wokół naszych, coś tam trzeszczało, dudniło. Wie pani, tak… Tak jakby ktoś rozrywał ceratę albo płótno… Tyle że głośniej… Nie wiedziałem jeszcze, że tak z daleka czy z wysoka słychać karabiny maszynowe. Nasze samoloty spadały, a za nimi ciągnęły się czerwone smugi ognia i dymu. Bach! Żołnierze stali i płakali,

nie wstydzili się łez. Pierwszy raz… Pierwszy raz widziałem, żeby czerwonoarmiści płakali… Na filmach wojennych, na które chodziłem w naszym osiedlu, nie płakali nigdy.

A potem… Potem… Po kilku kolejnych dniach… Ze wsi Kabaki przybiegła siostra mamy ciocia Katia. Czarna, straszna. Opowiedziała, że do ich wsi przyjechali Niemcy, zabrali aktywistów i wyprowadzili ich za wieś, a tam – rozstrzelali z automatów. Wśród rozstrzelanych był brat mamy, członek rady wiejskiej. Stary komunista.

Do dzisiaj pamiętam słowa cioci Kati: „Roztrzaskali mu głowę, a ja rękami zbierałam mózg… Był bielusieńki…”.

Mieszkała u nas przez dwa dni. I cały czas opowiadała… Powtarzała… Przez te dwa dni całkiem osiwiała. A kiedy mama siedziała przy cioci Kati, obejmowała ją i płakała, ja głaskałem mamę po głowie. Bałem się…

Bałem się, że mamie też włosy zbieleją…

Ja chcę żyć! Ja chcę żyć!…

Wasia Chariewski – 4 lata
Obecnie – architekt

Te płomienie, to widowisko… To jest mój majątek… Wszystko, co przeżyłem…

Nikt mi nie wierzy… Nawet mama nie wierzyła… Kiedy po wojnie zaczęliśmy wspominać, dziwiła się: „Nie mogłeś tego zapamiętać, byłeś za mały. Ktoś ci to opowiadał…”.

Nie, naprawdę pamiętam…

Wybuchają bomby, a ja tulę się do starszego brata: „Ja chcę żyć! Ja chcę żyć!”. Bałem się umrzeć, chociaż co wtedy mogłem wiedzieć o śmierci? No co?

Pamiętam…

Mama dała bratu i mnie ostatnie dwa kartofle, a sama tylko na nas patrzyła. Wiedzieliśmy, że są ostatnie. Chciałem jej zostawić mały kawałek… I nie mogłem… Brat też nie zdołał… Było nam wstyd. Okropnie wstyd.

Naprawdę pamiętam…

Zobaczyłem pierwszego naszego żołnierza… Nie mógłbym przysiąc, ale według mnie to był czołgista… Podbiegłem do niego. „Tato!” A on mnie wziął na ręce i podniósł. „Synku!”

Wszystko pamiętam…

Pamiętam, jak dorośli mówili: „Jest mały, nie rozumie”. A ja się dziwiłem: „Jacy dziwni ci dorośli, dlaczego myślą, że nic nie rozumiem? Przecież wszystko rozumiem”. Wydawało mi się nawet, że rozumiem więcej niż oni, bo nie płaczę.

Wojna to był mój podręcznik historii. Moja samotność… Zgubiłem porę dzieciństwa, wypadło z mojego życia. Jestem człowiekiem bez dzieciństwa,

zamiast niego miałem wojnę.

Tylko miłość zdołała później wywołać we mnie taki wstrząs. Kiedy ją poznałem… Kiedy się zakochałem…

Przez dziurkę od guzika…

Inna Lewkiewicz – 10 lat
Obecnie – inżynier budowlany

Od razu w pierwszych dniach… Od rana…

Nad nami wybuchały bomby… Na ziemi leżały słupy i przewody. Wszyscy byli przerażeni, uciekali z domów. Wybiegali na ulicę, ale mimo wszystko ostrzegali się nawzajem: „Ostrożnie – druty! Ostrożnie – przewody!”, żeby nikt się nie zaczepił, nie upadł.

Rano dwudziestego szóstego czerwca mama jeszcze wydawała pieniądze, bo pracowała jako księgowa w fabryce, a wieczorem już byliśmy uchodźcami. Kiedy uciekaliśmy z Mińska, widzieliśmy, jak pali się nasza szkoła. Z każdego okna buchały płomienie… Takie jasne… Takie… Strzelały aż pod niebo… Płakaliśmy, że szkoła się pali. Mama nas miała czworo, troje szło pieszo, a najmłodsza „jechała” na rękach mamy. Mama martwiła się też, że zabrała klucz, ale zapomniała zamknąć mieszkanie. Próbowała zatrzymywać samochody, krzyczała i prosiła: „Zabierzcie nasze dzieci, a my pójdziemy bronić miasta”. Nie chciała wierzyć, że Niemcy już tam są. Miasto zostało poddane.

Straszne i niepojęte było wszystko to, co widzieliśmy. To, w czym uczestniczyliśmy. Zwłaszcza śmierć… Koło zabitych poniewierały się czajniki i garnki. Zdumiewające, ile ich było. Wszystko płonęło… Wydawało mi się, że biegniemy po rozżarzonych węglach… Zawsze lubiłam bawić się z chłopcami. Byłam prawdziwym urwisem. Dlatego mnie korciło, żeby popatrzeć, jak lecą bomby, jak świszczą i spadają. Kładłam się więc na ziemi, przykrywałam się płaszczem i patrzyłam przez dziurkę od guzika… Ludzie biegną… Na drzewie coś wisi… Kiedy zrozumiałam, że to, co tam wisiało, było kawałkiem człowieka, zdrętwiałam. Zamknęłam oczy…

Siostra Irma miała siedem lat, niosła prymus i pantofle mamy, strasznie bała się zgubić te pantofle. Były nowe, bladoróżowe, na kwadratowych obcasach. Mama wzięła je z rozpędu, a może dlatego że to była najładniejsza rzecz, jaką miała…

Z tym kluczem i z pantoflami prędko wróciliśmy do miasta, gdzie wszystko spłonęło. Wkrótce zaczęliśmy głodować. Jedliśmy lebiodę, a nawet jakieś kwiaty! Szybko skończyły się drwa. Niemcy spalili wielki kołchozowy sad za miastem, bo bali się partyzantów. No więc wszyscy chodzili i ścinali tam pniaki, żeby przynieść choć trochę drzewa i napalić w piecu. Z drożdży robiło się wątróbkę – smażone na patelni drożdże nabierały smaku wątróbki. Mama dała mi pieniądze, żebym kupiła chleba na rynku. A tam stara kobieta sprzedawała koźlęta, pomyślałam więc, że uratuję całą naszą rodzinę, jeśli kupię kózkę. Jak podrośnie, to będziemy mieli dużo mleka. Kupiłam więc tę kózkę, dając za nią wszystkie pieniądze, jakie miałam. Nie pamiętam, żeby mama na mnie krzyczała; pamiętam tylko, że przez kilka dni siedzieliśmy głodni, bo pieniądze się skończyły. Gotowaliśmy jakąś zacierkę, karmiliśmy nią kózkę, ja nawet z kózką spałam, żeby miała ciepło, ale kózka i tak marzła. I prędko umarła… To była tragedia… Bardzo płakaliśmy, nie pozwalaliśmy jej zabrać z domu. Ja płakałam najbardziej, bo czułam się winna. Mama wyniosła ją w nocy po cichu, a nam powiedziała, że kózkę zjadły myszy.

Podczas okupacji obchodziliśmy jednak wszystkie święta – i pierwszy maja, i siódmy listopada. Nasze święta! Nasze! Zawsze śpiewaliśmy wtedy pieśni, cała nasza rodzina była śpiewająca. Wystarczały nam choćby kartofle w mundurkach, czasem była jedna kostka cukru na wszystkich, ale na ten dzień staraliśmy się zostawić coś troszeczkę lepszego. Mogliśmy następnego dnia głodować, byle mimo wszystko uczcić święto. Po cichu śpiewaliśmy ulubioną piosenkę mamy: „Świt różowi Kremla ściany, ponad Kremlem wzeszedł maj…”[3]. Bez tego nie mogło się obyć…

Sąsiadka napiekła pierożków na sprzedaż i zaproponowała nam:

– Weźcie ode mnie hurtem, a sprzedajcie detalicznie. Wam jest łatwiej, macie młode nogi.

Wiedziałam, jak trudno mamie nas wykarmić, więc się zgodziłam. Sąsiadka przyniosła pierożki, my z siostrą Irmą siedzimy i patrzymy na nie:

– Irma, nie wydaje ci się, że ten pierożek jest większy od tamtego? – pytam.

– Wydaje się…

Nie wyobraża sobie pani, jak bardzo chciało się spróbować kawałek.

– To odkrajemy kawałątko, a potem pójdziemy na rynek.

Posiedziałyśmy tak dwie godziny, a potem nie było już czego sprzedawać. Sąsiadka zaczęła później gotować „poduszeczki”, to były takie cukierki, już od dawna nie ma ich w sklepach. Dała nam do sprzedania te poduszeczki. Znowu z Irmą siadłyśmy nad nimi.

– Jedna poduszeczka jest duża, większa od innych. Chodź, Irma, troszkę ją poliżemy.

– Dobra…

Miałyśmy jedno palto na troje, jedną parę walonków. Często siedziałyśmy w domu. Próbowałyśmy opowiadać sobie bajki… Jakieś książki… Ale to nie było ciekawe. Wolałyśmy marzyć o tym, jak skończy się wojna i jak będziemy żyli po niej. Będziemy jadły same pierożki i cukierki.

Kiedy wojna się skończyła, mama włożyła krepdeszynową bluzkę. Nie wiem, jakim cudem ocalała ta bluzka. Bo wszystkie ładne rzeczy wymieniałyśmy na jedzenie. Ta bluzka miała czarne mankiety; mama je spruła, żeby nie było nic ciemnego, tylko jasne.

Od razu poszłyśmy do szkoły i od pierwszych dni zaczęłyśmy się uczyć pieśni na defiladę.

Słyszałam tylko krzyk mamy…

Lida Pogorzelska – 8 lat
Obecnie – doktor nauk biologicznych

Przez całe życie wspominam ten dzień… Pierwszy dzień bez taty…

Chciało się spać. Mama zerwała nas wcześnie rano i powiedziała: „Wojna!”. Jak tu można spać? Zaczęliśmy się zbierać w drogę. Jeszcze nie czuliśmy strachu. Wszyscy patrzyli na tatę, a nasz tato był spokojny. Jak zwykle. Był pracownikiem partii. Mama powiedziała, że każde z nas powinno coś ze sobą zabrać. Nie miałam pojęcia, co mogę zabrać, młodsza siostra wzięła lalkę. Mama niosła na rękach naszego małego braciszka. Tato dogonił nas już po drodze.

Zapomniałam powiedzieć, że mieszkaliśmy w Kobryniu[4]. Niedaleko Brześcia. Dlatego właśnie wojna dotarła do nas już pierwszego dnia. Nie zdążyliśmy jeszcze ochłonąć. Dorośli prawie nie rozmawiali, w milczeniu szli, w milczeniu jechali konno. Zrobiło się strasznie. Ludzie idą i idą, wielu ludzi, i nikt nic nie mówi.

Kiedy tato nas dogonił, trochęśmy się uspokoili. W naszej rodzinie o wszystkim decydował tato, bo mama była bardzo młoda, miała szesnaście lat, kiedy wyszła za mąż. Nie umiała nawet gotować. A tato, jako sierota, potrafił wszystko. Pamiętam, jak bardzo lubiliśmy, kiedy w wolnej chwili robił nam coś smacznego do jedzenia. Dla wszystkich to było święto. Nawet teraz wydaje mi się, że nie ma nic lepszego od kaszy, którą tato gotował. Kiedy uciekaliśmy sami, bez niego, cały czas na niego czekaliśmy. Nie mogliśmy sobie wyobrazić, że w czasie wojny zostaniemy bez taty. Taką byliśmy rodziną.

Tabor był olbrzymi… Poruszał się powoli. Czasem się zatrzymywaliśmy i patrzyli w niebo. Wypatrywaliśmy naszych samolotów… Na próżno…

W połowie dnia zobaczyliśmy kolumnę jakichś wojskowych. Jechali konno, mieli na sobie nowe mundury Armii Czerwonej. Konie były duże, odkarmione. Nikt się nie domyślił, że to dywersanci. Uznaliśmy, że to nasi! Ucieszyliśmy się. Tato wyszedł im naprzeciwko, a wtedy usłyszałam, że mama krzyczy… Samego wystrzału nie słyszałam… Tylko krzyk mamy: „Aaaa! Yyyy…!”. Mamy czy nie mamy? Mamy! Pamiętam, że ci wojskowi nawet nie zeszli z koni… Kiedy mama zaczęła krzyczeć, pobiegłam. Wszyscy dokądś pobiegli… Biegli w milczeniu. Słyszałam tylko, jak nasza mama krzyczy… Biegłam, aż się potknęłam i upadłam w wysoką trawę.

Nasze konie stały i czekały do wieczora. A myśmy wszyscy wrócili w to miejsce, kiedy zaczęło się ściemniać. Tylko mama tam siedziała i czekała. Ktoś powiedział: „Patrzcie, jest siwa”. Pamiętam, jak dorośli kopali dół… Jak potem mnie i siostrę poganiali: „Chodźcie już. Pożegnajcie się z ojcem”. Zrobiłam dwa kroki, ale nie mogłam iść dalej. Usiadłam na ziemi. Siostrzyczka obok mnie. Braciszek spał, był malutki i nic nie rozumiał. A mama leżała nieprzytomna na wozie, nie puszczali nas do niej.

Żadne z nas nie zobaczyło więc martwego taty. Nie zapamiętało go takiego. Wspominałam go potem zawsze ubranego w białą marynarkę. Młodego i pięknego. Nawet teraz, chociaż mam więcej lat niż ojciec wtedy.

W obwodzie stalingradzkim, dokąd nas wywieziono, mama zaczęła pracować w kołchozie. Mama, która nic nie umiała, nie wiedziała, jak się piele grządki, nie odróżniała owsa od pszenicy, została przodownicą pracy. Nie mieliśmy taty, inne dzieci też nie miały. Były takie, które nie miały mamy. Brata, siostry. Albo dziadka. Ale nikt się nie czuł sierotą. Wszyscy nas żałowali i dbali o nas. Pamiętam ciocię Tanię Morozową. Jej dwoje dzieci zginęło, została sama. Odejmowała sobie od ust, żeby dać nam jeść, tak jak nasza mama. Chociaż była zupełnie obca, podczas wojny stała się nam bliska. A kiedy braciszek podrósł, mówił: „nasza mama i ciocia Tania”. Tak rośliśmy wszyscy… Mając po dwie albo nawet trzy mamy…

Pamiętam jeszcze bombardowania w czasie ewakuacji. Czym prędzej się chowaliśmy, biegliśmy wtedy nie do mamy, tylko do żołnierzy. Jak się kończyło bombardowanie, mama krzyczała na nas, że od niej uciekamy. Ale mimo to, kiedy znowu zaczęły lecieć bomby, biegliśmy do żołnierzy.

Kiedy wyzwolono Mińsk, postanowiliśmy wracać. Do domu, na Białoruś. Nasza mama była rodem z Mińska, ale kiedy wysiedliśmy na mińskim

dworcu, nie wiedziała, dokąd iść. To było inne miasto. Same ruiny… Ceglany pył…

Już studiowałam w Akademii Rolniczej w Gorkach[5]… Mieszkałam w akademiku, w pokoju ośmioosobowym. Wszystkie dziewczyny były sierotami. Nikt nas nie kwaterował oddzielnie, nie zbierał, po prostu było nas takich wiele. I było wiele takich pokojów. Pamiętam, jak w nocy wszystkie krzyczały… Zrywałam się czasem z łóżka i waliłam w drzwi… Dokądś się wyrywałam… Dziewczyny mnie powstrzymywały. Wtedy zaczynałam płakać, a one razem ze mną. Beczymy tak całym pokojem. Rano trzeba było iść na zajęcia, na wykłady.

Kiedyś na ulicy spotkałam mężczyznę podobnego do taty. Jak mój tato… Długo za nim szłam… Przecież nie widziałam taty martwego…

Graliśmy, a żołnierze płakali…

Wołodia Czistokletow – 10 lat
Obecnie – muzyk

To był piękny ranek…

Morze o świcie. Niebieskie, spokojne. Pierwsze dni, kiedy przyjechałem do sanatorium dla dzieci w Sowiet-Kwadże nad Morzem Czarnym. Usłyszeliśmy huk samolotów… Dałem nurka w fale, ale i pod wodą było słychać ten huk. Nie przestraszyliśmy się, tylko zaczęli bawić „w wojnę", nie podejrzewając, że wojna już się toczy. Nie zabawa, nie ćwiczenia wojskowe, tylko wojna.

Po kilku dniach wyprawiono nas do domów. Mnie do Rostowa. Na miasto już spadały pierwsze bomby. Wszyscy szykowali się do walk ulicznych: kopali rowy, budowali barykady. Uczyli się strzelać. A dzieci pilnowały skrzyń wypełnionych butelkami z benzyną, woziły piasek i wodę na wypadek pożaru.

Wszystkie szkoły zmieniły się w szpitale. W naszej szkole numer siedemdziesiąt mieścił się armijny szpital polowy dla lekko rannych. Do niego przydzielono mamę. Mama nie chciała, żebym zostawał sam w domu, więc wyprosiła pozwolenie na zabieranie mnie z sobą. A kiedy nastąpił odwrót, pojechaliśmy tam, dokąd kierował się szpital.

Po kolejnym bombardowaniu wśród roztrzaskanych kamieni zobaczyłem kupkę książek, wziąłem jedną pod tytułem *Życie zwierząt*. Wielką, z ładnymi obrazkami. Całą noc nie spałem, czytałem i nie mogłem się oderwać… Pamiętam, że nie brałem książek wojennych, nie miałem już ochoty czytać o wojnie. Za to o zwierzętach, o ptakach – tak.

W listopadzie czterdziestego pierwszego… Komendant szpitala kazał mi wydać mundur, co prawda trzeba było koniecznie go skrócić. A butów dla

mnie szukali przez cały miesiąc. Zostałem więc wychowankiem szpitala. Żołnierzem. Co robiłem? Same bandaże mogły przyprawić o obłęd. Zawsze ich brakowało. Trzeba je było prać, suszyć, zwijać. Niech pani spróbuje zwinąć tysiąc sztuk dziennie! A ja nauczyłem się to robić jeszcze szybciej niż dorośli. Sprytnie zrobiłem też pierwszego skręta… Kiedy skończyłem dwanaście lat, starszyna z uśmiechem wręczył mi paczkę machorki, jako pełnoprawnemu żołnierzowi. Popalałem sobie… Po kryjomu, w tajemnicy przed mamą… Oczywiście żeby samemu sobie wydać się dorosłym. No cóż, było strasznie… Z trudem przyzwyczaiłem się do krwi. Bałem się poparzonych. Z czarnymi twarzami…

Kiedy Niemcy zbombardowali wagony z solą i parafiną, to i jedno, i drugie zostało zużyte. Sól dostali kucharze, a ja parafinę. Zdobywałem teraz specjalność, nieprzewidzianą przez żadne regulaminy wojskowe – robiłem świece. To było gorsze niż bandaże! Musiałem zadbać o to, żeby świece długo się paliły, bo używano ich podczas bombardowań, kiedy nie było prądu. Lekarze nie przerywali przecież operacji ani kiedy leciały bomby, ani podczas ostrzału artyleryjskiego. Nocą tylko zasłaniali okna. Prześcieradłami, kołdrami.

Mama płakała, ale ja mimo wszystko marzyłem o ucieczce na wojnę. Nie wierzyłem w to, że mogę zostać zabity. Pojechaliśmy kiedyś po chleb… Ledwieśmy ruszyli, zaczął się ostrzał. Strzelano z moździerzy. Sierżant zginął, woźnica zginął, ja odniosłem kontuzję. Straciłem mowę, a kiedy po jakimś czasie ją odzyskałem, to mimo wszystko nadal się jąkałem. Nawet teraz się jąkam. Wszyscy się dziwili, że przeżyłem, ale ja czułem inaczej – jakże mogliby mnie zabić? Niby jak to – zabić? Przejechaliśmy ze szpitalem przez całą Białoruś. Przez Polskę… Nauczyłem się polskich słów…

W Warszawie… Wśród rannych trafił się Czech – puzonista opery praskiej! Komendant szpitala ucieszył się z tego i kiedy tamten już czuł się lepiej, poprosił go, żeby przeszedł się po salach i poszukał muzyków. Zebrała się znakomita orkiestra. Mnie nauczyli grać na altówce, a potem już sam nauczyłem się na gitarze. Graliśmy, a żołnierze płakali… Graliśmy wesołe piosenki…

Tak dojechaliśmy do Niemiec…

W zburzonej niemieckiej wiosce zobaczyłem leżący na ziemi rowerek dla dzieci. Ucieszyłem się. Wsiadłem i pojechałem. Świetnie mi szło! Przez

całą wojnę nie widziałem ani jednej dziecięcej rzeczy. Zapomniałem o zabawkach, że coś takiego gdzieś istnieje…

Zapomniałem… Zapomniałem, bo wyrosłem na wojnie…

Na cmentarzu nieboszczycy leżeli na wierzchu… Jakby jeszcze raz ich zabili…

Wania Titow – 5 lat
Obecnie – meliorator

Czarne niebo…

Czarne grube samoloty… Dudnią nisko. Nad samą ziemią. To właśnie jest wojna. Jak ją pamiętam?… Pamiętam pojedyncze rozbłyski…

Bombardowano nas, a myśmy się chowali w sadzie pod starymi jabłoniami. Całą naszą piątką. Bo miałem jeszcze czterech braci, najstarszy miał dziesięć lat. To on nauczył nas, jak należy chować się przed samolotami – pod wielkimi jabłoniami, bo mają dużo liści. A mama zabierała nas do piwnicy. W piwnicy było strasznie. Mieszkały tam szczury z malutkimi świdrującymi oczkami. Te oczka płonęły w ciemnościach, płonęły nienaturalnym blaskiem. A szczury popiskiwały nocami. Bawiły się.

Kiedy niemieccy żołnierze weszli do domu, schowaliśmy się na piecu. Pod starymi szmatkami. Leżeliśmy z zamkniętymi oczami. Wtedy nie jest tak strasznie.

Niemcy spalili naszą wieś. Zbombardowali cmentarz wiejski. Ludzie tam pobiegli, nieboszczycy leżeli na wierzchu… Leżeli, jakby ich jeszcze raz zabito… Leżał tam nasz dziadek, który niedawno umarł. Znowu ich pochowaliśmy…

I podczas wojny, i po wojnie bawiliśmy się „w wojnę”. Kiedy znudziło nam się „w białych i czerwonych”, „w Czapajewa”, bawiliśmy się „w Rosjan i Niemców”. Walczyliśmy. Braliśmy do niewoli. Rozstrzeliwali. Chodziliśmy w hełmach – naszych i niemieckich, a było ich pełno, leżały wszędzie – w lesie, na polu. Nikt nie chciał być Niemcem, przez to dochodziło nawet do bójek. Bawiliśmy się w prawdziwych bunkrach i okopach. Bili-

śmy się na kije albo na pięści, a matki kręciły głowami. Nie podobało im się to. Płakały.

Dziwiliśmy się, bo przedtem, przed wojną, nigdy na nas za to nie krzyczały…

Zrozumiałem, że to naprawdę ojciec… Drżały mi kolana…

Lonia Chosieniewicz – 5 lat
Obecnie – konstruktor

W mojej pamięci pozostał kolor…

Miałem pięć lat, ale doskonale pamiętam… Dom dziadka – żółty, drewniany, a za płotem, na trawie – belki. Piasek, w którym się bawiliśmy, jak prasowany. Bielusieńki. Pamiętam jeszcze, jak mama nas z siostrzyczką prowadziła do fotografa w mieście i jak Ełłoczka płakała, a ja ją pocieszałem. To zdjęcie się zachowało, nasze jedyne zdjęcie sprzed wojny… Nie wiadomo, czemu zapamiętałem je w kolorze zielonym.

Potem wszystkie wspomnienia miały ciemne barwy… Bo te poprzednie były jasne, taka jasna akwarela, trawa bardzo zielona, bielusieńki piasek, żółty płot… A potem – wszystko ciemne: wynoszą mnie dokądś, krztuszę się dymem, nasze rzeczy są na ulicy, tobołki, krzesło, nie wiadomo czemu tylko jedno… Puste… Ludzie stoją koło niego i płaczą. Długo idziemy ulicami, ja trzymam się spódnicy mamy. Każdemu, kto z nami rozmawia, mama powtarza to samo: „Spalił się nasz dom”.

Nocowaliśmy w jakiejś bramie. Było mi zimno. Żeby się zagrzać, wsadziłem ręce do kieszeni maminej bluzki. Wyczuwałem tam coś zimnego. A to był klucz do naszego domu…

Nagle – nie ma mamy. Mama znika, zostają babcia i dziadek. Pojawia się mój przyjaciel Żenia Sawoczkin. Mam pięć lat, a on siedem. Uczy mnie czytać z książki braci Grimm. Babcia uczy mnie swoją metodą, można od niej dostać prztyczka w głowę: „Ej, ty!”. Żenia też mnie uczy, czyta książkę i pokazuje mi litery. Ale najbardziej lubię słuchać bajek, szczególnie kiedy opowiada babcia. Bo jej głos przypomina głos mamy. Kiedyś wieczorem

przyszła ładna pani i przyniosła coś bardzo dobrego do jedzenia. Z jej słów domyśliłem się, że mama żyje i walczy tak samo jak tato. Krzyczałem uszczęśliwiony: „Mama niedługo wraca!”. Chciałem wybiec na dwór i podzielić się wiadomością z przyjacielem. Dostałem jednak pasem od babci. A dziadek stanął w mojej obronie. Kiedy położyli się spać, zebrałem wszystkie paski w domu i wrzuciłem za szafę.

Cały czas chce mi się jeść. Chodzimy z Żenią w zboże rosnące tuż za domami. Rozcieramy kłosy i żujemy ziarna. A pole jest już niemieckie i kłosy też… Kiedyś zobaczyliśmy samochód osobowy i dalej w nogi. Dosłownie w naszej furtce dopadł mnie oficer w zielonym mundurze z lśniącymi naramiennikami i zaczął bić szpicrutą, a potem łoić pasem. Skamieniałem ze strachu i nawet nie czułem bólu. Nagle zobaczyłem babcię. „Paneczku, kochany, oddaj mi wnuka. Zaklinam na Boga, proszę, oddaj!” Babcia upadła przed oficerem na kolana. Oficer odszedł, a ja leżałem na ziemi. Babcia zaniosła mnie na rękach do domu… Z trudem poruszałem ustami. Potem długo leżałem chory…

Pamiętam jeszcze, że kiedyś ulicą jechały wozy. A dziadek z babcią otwierali bramę. To byli uchodźcy, potem u nas mieszkali. Po pewnym czasie zachorowali na tyfus. Zabrali ich do szpitala, tak mi powiedziano. Później z kolei zapadł na tyfus dziadek. A ja spałem razem z nim. Babcia była wychudzona i ledwie chodziła po domu. Wyszedłem kiedyś bawić się z chłopcami, wieczorem wracam, a tu nie ma ani dziadka, ani babci. Sąsiedzi mówią, że zabrali ich do szpitala. Poczułem się strasznie, bo zostałem sam. Już się domyślałem, że z tego szpitala, do którego zabrali uchodźców, a teraz dziadka i babcię, już się nie wraca. Strach żyć samemu w domu, nocą dom jest wielki i nieznany, nawet w dzień jest straszny. Brat dziadka zabrał mnie do siebie. Miałem odtąd nowego dziadka.

Zaczęły się bombardowania Mińska, chowamy się do piwnicy. Kiedy wychodzę stamtąd na światło, słońce mnie oślepia i głuchnę od warkotu motorów. Ulicą jadą czołgi. Chowam się za słup. Nagle widzę czerwoną gwiazdę na wieżyczce czołgu. Nasi! Od razu pędzę do domu – skoro nasi przyszli, to znaczy, że wróciła mama! Podchodzę do domu – koło ganku stoją jakieś kobiety z karabinami, porywają mnie na ręce i zaczynają wypytywać. Jedna z nich jest jakoś znajoma. Kogoś mi przypomina. Podchodzi do mnie blisko, ściska. Reszta kobiet zaczyna płakać. A ja jak się nie rozedrę: „Mama!”. Potem jakbym się gdzieś zapadł…

Wkrótce mama przywiozła z domu dziecka siostrzyczkę, ale ona mnie nie poznawała, w ogóle nie pamiętała. Zapomniała przez lata wojny. A ja tak się cieszyłem, że znowu mam siostrę.

Kiedy pewnego dnia przyszedłem ze szkoły do domu, zobaczyłem, że ojciec wrócił z wojny i śpi na kanapie. Spał, a ja wyjąłem dokumenty z jego mapnika i przeczytałem. Zrozumiałem, że to naprawdę ojciec. Siedziałem i patrzyłem na niego, dopóki się nie obudził.

Cały czas drżały mi kolana.

Zamknij oczy, synku… Nie patrz…

Wołodia Parabkowicz – 12 lat
Obecnie – zasłużony emeryt

Rosłem bez mamy…

Nigdy nie pamiętam siebie małego… Mama umarła, kiedy miałem siedem lat. Mieszkałem u cioci. Pasłem krowy, rąbałem drwa, wyganiałem konie na nocny wypas. Dosyć pracy miałem też w ogródku. Za to zimą jeździliśmy na drewnianych sankach i łyżwach własnego wyrobu – też drewnianych, podbitych kawałkami żelaza i przywiązanych sznurkiem do łapci. Biegaliśmy na nartach wystruganych z desek albo klepek z rozwalonej beczki. Wszystko robiłem sam…

Do dzisiaj pamiętam, jak włożyłem swoje pierwsze buty, kupione przez ojca. I swoją rozpacz, kiedy zawadziłem w lesie o konar i zadrapałem skórę na bucie. Tak mi było szkoda, że pomyślałem: „Lepiej, żebym rozciął sobie nogę, toby się zagoiła”. W tych samych butach uciekałem z ojcem z Orszy, kiedy miasto bombardowały niemieckie samoloty.

Strzelali prosto do nas… Ludzie padali na ziemię… W piasek, w trawę… „Zamknij oczy, synku… Nie patrz…” – prosił ojciec. Bałem się patrzeć i w niebo, gdzie było czarno od samolotów, i w ziemię, bo wszędzie leżeli zabici. Samolot przeleciał blisko nas… Ojciec też upadł i już nie wstał. Siedziałem nad nim i prosiłem: „Tato, otwórz oczy… Tato, otwórz oczy…”. Jacyś ludzie krzyczeli: „Niemcy!” i ciągnęli mnie ze sobą. A do mnie nie docierało, że ojciec już nie wstanie i muszę go zostawić tak leżącego na drodze, w kurzu. Nie było widać na nim krwi, po prostu leżał i nic nie mówił. Odciągnięto mnie od niego siłą, ale przez wiele dni szedłem i oglądałem się, czekałem, aż ojciec mnie dogoni. Budziłem się w nocy… Budziłem

się, bo słyszałem jego głos… Nie mogłem uwierzyć, że już nie mam ojca. Zostałem sam, w jednym sukiennym ubraniu.

Po długiej tułaczce… Jechałem pociągiem, szedłem pieszo… Zabrano mnie do domu dziecka w mieście Melekes[6] w obwodzie kujbyszewskim. Kilka razy próbowałem uciec do wojska, ale ani razu mi się to nie udało; łapali mnie i przywozili z powrotem. A potem miałem, jak to się mówi, szczęście w nieszczęściu. W lesie, kiedy rąbaliśmy drwa, nie utrzymałem siekiery, ostrze odleciało od drzewa i uderzyło mnie w palec prawej ręki. Wychowawczyni przewiązała mi ranę swoją chustką i wysłała mnie do przychodni miejskiej.

W drodze powrotnej do domu dziecka z Saszą Lapinem, którego wysłano razem ze mną, zobaczyliśmy marynarza w czapce ze wstążkami. W pobliżu komitetu miejskiego Komsomołu marynarz przyklejał ogłoszenie. Kiedy podeszliśmy bliżej, zobaczyliśmy, że podane są tam zasady przyjęć do szkoły jungów marynarki wojennej na Wyspach Sołowieckich. Przyjmowano tylko ochotników. Pierwszeństwo mieli synowie marynarzy i wychowankowie domów dziecka. Jak dzisiaj słyszę głos tego marynarza:

– No co, chcecie być marynarzami?

Odpowiedzieliśmy:

– Jesteśmy z domu dziecka.

– To idźcie do komitetu i złóżcie podanie.

Nie sposób oddać zachwytu, jaki nas ogarnął w owej chwili. Przecież to była najprostsza droga, żeby pomścić ojca. A już przestałem w to wierzyć! „Zdążę na wojnę” – pomyślałem.

Weszliśmy do siedziby Komsomołu i napisali podanie. Już po kilku dniach stanęliśmy przed komisją lekarską. Jeden z członków komisji popatrzył na mnie.

– Bardzo chudy i niski.

A drugi, w mundurze oficera, westchnął:

– Nie szkodzi, podrośnie.

Przebrano nas, z trudem znalazłszy odpowiednie rozmiary. Kiedy zobaczyłem się w lustrze w mundurze i czapce marynarskiej, byłem uszczęśliwiony. Już następnego dnia płynęliśmy statkiem na Wyspy Sołowieckie.

Wszystko było dla mnie nowe. Niezwykłe. Głęboka noc… Stoimy na pokładzie… Marynarze nas wyganiają, każą iść spać.

– Poszlibyście, chłopcy, do kubryku. Tam jest ciepło.

Wczesnym rankiem zobaczyliśmy klasztor, błyszczący w słońcu, i złocący się las. To właśnie były Wyspy Sołowieckie, gdzie powstała pierwsza w kraju szkoła chłopców okrętowych marynarki wojennej. Zanim jednak przystąpiliśmy do zajęć, musieliśmy zbudować szkołę, ściśle mówiąc, wykopać ziemianki. Ziemia na Sołówkach to istny kamień. Brakowało pił, siekier, łopat. Nauczyliśmy się robić wszystko rękami: kopać twardy grunt, piłować wiekowe drzewa, karczować pnie, nauczyliśmy się też ciesiołki. Po pracy szliśmy odpoczywać do zimnych namiotów, do spania mieliśmy materace i powłoczki wypchane trawą, pod nimi leżały gałązki świerkowe. Przykrywaliśmy się szynelami. Praliśmy je sami wodą z lodem i płakaliśmy, tak nas ręce bolały.

W czterdziestym drugim roku złożyliśmy przysięgę wojskową… Wydano nam czapki z napisem „Szkoła jungów MW", ale niestety, czapki nie miały długich wstążek spadających na kark, lecz kokardę z prawej strony. Wręczono nam karabiny. Na początku czterdziestego trzeciego… Przydzielono mnie do służby na gwardyjskim stawiaczu min Soobrazitielnyj[7]. Wszystko widziałem po raz pierwszy: dziób okrętu rozcinający grzebienie fal, „ścieżkę", którą zostawiały śruby, pracowicie mieszające słoną morską wodę… Zapierało mi dech…

– Strach bierze, synku, co? – pytał dowódca.

– Nie – odpowiedziałem bez namysłu. – Jest pięknie!

– Byłoby pięknie, gdyby nie wojna – powiedział dowódca i nie wiem dlaczego się odwrócił.

Miałem czternaście lat.

Braciszek płacze, bo go nie było, kiedy był tata…

Łarisa Lisowska – 6 lat
Obecnie – bibliotekarka

Wspominam swojego tatę… I braciszka…

Tato był w partyzantce. Niemcy złapali go i rozstrzelali. Kobiety powiedziały mamie, gdzie stracono tatę i jeszcze paru innych. Pobiegła tam, gdzie leżeli… Później przez całe życie wspominała, że było zimno, kałuże pokryły się cienkim lodem. A oni leżeli w skarpetkach…

Mama była w ciąży. Oczekiwała naszego braciszka.

Musieliśmy się ukrywać, bo rodziny partyzantów Niemcy aresztowali. Zabierali razem z dziećmi… Samochodami, pod plandeką…

Długo siedzieliśmy u sąsiadów w piwnicy. Już zaczynała się wiosna… Leżeliśmy na kartoflach, a kartofle zaczynały przerastać… Zasypiało się, a w nocy kiełek wyrastał i łaskotał człowieka w nos. Jak jakiś robaczek. W moich kieszeniach żyły rozmaite żuczki. W skarpetkach też. Nie bałam się ich ani w dzień, ani w nocy.

W końcu wyszliśmy z piwnicy, a mama urodziła braciszka. Podrósł, zaczął mówić, a my wspominałyśmy tatę:

– Tata był wysoki…

– Silny… Jak podrzucał mnie na rękach!

Tak mówiłyśmy z siostrą, a braciszek pytał:

– A gdzie ja byłem?

– Ciebie wtedy nie było…

Wtedy zaczął płakać, że nie było go, kiedy był tata…

Ta dziewczynka przyszła pierwsza…

Nina Jaroszewicz – 9 lat
Obecnie – nauczycielka wychowania fizycznego

W domu przeżywaliśmy wielkie wydarzenie…

Wieczorem do starszej siostry przyszedł w swaty narzeczony. Wszyscy do późnej nocy omawiali, kiedy będzie wesele, gdzie młodzi wezmą ślub, ilu gości zaprosimy. A rano ojca wezwano do komendy uzupełnień. Już po wsi poszła wieść – wojna! Mama była w kłopocie. Co robić? Ja myślałam tylko o jednym: żeby przeżyć ten dzień. Nikt mi jeszcze nie wytłumaczył, że wojna to nie jeden dzień czy dwa, że może trwać bardzo długo.

No więc było lato, upalny dzień. Chciałoby się pójść nad rzekę, a mama szykuje nas do drogi. Mieliśmy jeszcze brata, dopiero wrócił ze szpitala, gdzie mu zoperowano nogę, więc chodził o kulach. Ale mama powiedziała, że musimy iść wszyscy. Dokąd? Nikt nie wiedział. Przeszliśmy pięć kilometrów. Brat kulał i płakał. No i jak tu z nim iść! Zawróciliśmy. W domu czekał na nas ojciec. Mężczyźni, którzy rano poszli do komendy uzupełnień, wszyscy wrócili, bo Niemcy już zajęli Słuck – główne miasto naszego rejonu.

Niemcy zrzucili pierwsze bomby, a ja stałam i patrzyłam na nie, dopóki nie spadły na ziemię. Ktoś podpowiedział, że trzeba otwierać usta, aby nie ogłuchnąć. No więc otwierałam usta, zatykałam uszy, ale i tak słyszałam, jak lecą. Jak wyją. To było takie straszne, że nie tylko na twarzy, ale i na całym ciele napinała się skóra. Na naszym podwórzu wisiało wiadro. Kiedy wszystko ucichło, zdjęliśmy je i naliczyli pięćdziesiąt osiem dziur od kul. Wiadro było białe, a lotnikom w górze wydawało się, że ktoś stoi w białej chuście, więc strzelali…

Niemcy wjechali do wsi na wielkich samochodach, zamaskowanych brzozowymi gałęziami. Tak ozdabiano u nas domy, kiedy było wesele. Nałamie się pełno brzozowych gałązek… Obserwowaliśmy Niemców zza płotu, wtedy nie było takich płotów jak dzisiaj, tylko plecione. Z łoziny. Przypatrywaliśmy się… Niemcy wyglądali na zwykłych ludzi… Chciałam zobaczyć, jakie mają głowy. Nie wiadomo czemu wyobrażałam sobie, że głowy mają nie jak ludzie… Już krążyły słuchy, że zabijają. Palą. A ci jechali i śmiali się. Weseli, opaleni.

Rano gimnastykowali się na szkolnym podwórzu. Oblewali się zimną wodą. Podwinęli rękawy, wsiedli na motocykle i pojechali. Weseli, opaleni…

Po kilku dniach za wsią koło kołchozu mleczarskiego wykopali wielki dół. Codziennie o piątej, szóstej rano dolatywały stamtąd strzały. Jak zaczynali strzelać, to nawet koguty przestawały piać i chowały się. Kiedyś pod wieczór ojciec wziął wóz i pojechał tam ze mną. Zatrzymał konia w pobliżu tamtego dołu. „Pójdę – mówi – zobaczę”. Bo tam rozstrzelali jego cioteczną siostrę. Poszedł, a ja za nim.

Nagle ojciec się odwraca i zasłania mi ten dół. „Wracaj. Nie możesz iść dalej”. Ale kiedy przechodziłam przez strumień, zobaczyłam, że woda w nim jest czerwona… I wrony się zerwały. Było ich tak wiele, że zaczęłam krzyczeć… Potem ojciec przez kilka dni nie mógł jeść. A kiedy zobaczył wronę, to pędził do chałupy i cały się trząsł… Jak w gorączce…

W słuckim parku Niemcy powiesili dwie rodziny partyzanckie. Były wielkie mrozy, powieszeni pozamarzali, tak że kiedy nimi poruszał wiatr, wydawali dźwięk. Taki jak zmarznięte drzewa w lesie… Taki sam…

Kiedy przyszło wyzwolenie, ojciec wstąpił do wojska. Poszedł na zachód. Już kiedy go nie było, uszyto mi pierwszą w czasie wojny sukienkę. Mama szyła ją z onuc – były białe, więc ufarbowała je atramentem. Tylko na jeden rękaw atramentu nie starczyło, a ja chciałam pokazać koleżankom nową sukienkę. Stanęłam więc w furtce bokiem, tak żeby ładny rękaw pokazać, a ten brzydki schować. Wydawało mi się, że jestem taka wystrojona, taka śliczna!

W szkole przede mną siedziała Ania. Mieszkała u babci, bo jej rodzice zginęli. Byli uciekinierami spod Smoleńska. Szkoła kupiła jej płaszczyk, walonki i lśniące kalosze. Nauczycielka przyniosła to wszystko i położyła jej na ławce. A myśmy siedzieli w ciszy, bo nikt z nas nie miał ani takich

walonków, ani takiego płaszcza. Zazdrościliśmy jej. Któryś z chłopców szturchnął Anię i powiedział: „Ty to masz szczęście!”. Ania opadła głową na ławkę i zaczęła płakać. Płakała tak przez cztery kolejne lekcje.

Ojciec wrócił z wojny, wszyscy przyszli na niego popatrzeć. Na nas także, bo to do nas wrócił tato.

Pierwsza przyszła Ania.

Ja jestem twoją mamą…

Tamara Parchimowicz – 7 lat
Obecnie – sekretarka

Przez całą wojnę myślałam o mamie. Straciłam ją w pierwszych dniach…

Śpimy, a na nasz obóz pionierski lecą bomby. Wyskakujemy z namiotów, biegamy i krzyczymy: „Mamo! Mamo!”. Wychowawczyni potrząsa mną, żebym się uspokoiła, a ja krzyczę: „Mama! Gdzie moja mama?!”, dopóki ona mnie nie przycisnęła do siebie i nie powiedziała: „Ja jestem twoją mamą”.

Na moim łóżku wisiały spódniczka, biała bluzka i czerwona chusta. Włożyłam je i poszliśmy piechotą do Mińska. Po drodze wiele dzieci spotkało swoich rodziców, a mojej mamy nie było. W pewnej chwili powiedzieli nam, że Niemcy są w mieście… Wtedy wszyscy zawróciliśmy. Ktoś mówił, że widział moją mamę zabitą.

Tutaj w mojej pamięci następuje luka.

Nie pamiętam, jak dojechaliśmy do Penzy, jak przywieźli mnie do domu dziecka – też nie… Czyste kartki w pamięci… Pamiętam tylko, że dzieci było dużo, spaliśmy po dwoje w jednym łóżku. Jeśli jedna dziewczynka zapłakała, to i druga zaraz w płacz: „Mama! Gdzie jest mama?”. Byłam mała, jedna z opiekunek chciała mnie adoptować. Ale ja myślałam o mamie…

Wracam ze stołówki, wszystkie dzieci wołają: „Przyjechała twoja mama!”. A mnie w uszach brzęczy tylko: „Twoja maaama… Twoja maaamaa…”. Każdej nocy mi się śniła. Moja prawdziwa mama. I nagle jest na jawie, ale mnie się zdawało, że to sen. Patrzę – mama! I nie wierzę. Przez kilka dni mnie przekonywano, ale bałam się podejść do mamy. Bo może to sen? Sen! Mama płacze, a ja krzyczę: „Nie podchodź! Moją mamę zabili”. Bałam się… Bałam się uwierzyć w swoje szczęście…

Nawet teraz… Przez całe życie płakałam w chwilach szczęścia. Oblewam się łzami. Całe życie… Mój mąż… Wiele już lat żyjemy razem i nadal się kochamy. Kiedy mi się oświadczył: „Kocham cię. Pobierzmy się…”, ja wtedy w płacz… Przestraszył się.

– Czy obraziłem cię czymś?

– Nie! Nie! Jestem szczęśliwa!

Ale nie potrafię być naprawdę szczęśliwa. Tak do końca. Szczęście mi nie wychodzi. Boję się go. Zawsze mam wrażenie, że za chwilę się skończy. Zawsze mieszka we mnie to „za chwilę”. Ten dziecięcy strach…

Pytamy, czy można wylizać…

Wiera Taszkina – 10 lat
Obecnie – pracownik niewykwalifikowany

Przed wojną często płakałam.

Mój ojciec umarł. Mama miała na utrzymaniu siedmioro dzieci.

Żyliśmy w ubóstwie. Było ciężko. Ale potem, w czasie wojny, tamto pokojowe życie wydawało się nam szczęśliwe.

Dorośli płaczą, że wojna, a myśmy się nie przestraszyli. Często bawiliśmy się w wojnę, to słowo było nam dobrze znane. Dziwiłam się więc, że mama całą noc płacze. Chodzi z zaczerwienionymi oczami. Dopiero później zrozumiałam…

Jedliśmy… wodę… Kiedy przychodziła pora obiadu, mama stawiała na stole garnek z gorącą wodą. Rozlewaliśmy ją do misek. Wieczór. Kolacja. Na stole garnek z gorącą wodą. Zwykłą gorącą wodą, zimą nawet okrasić jej nie mieliśmy czym. Nawet trawy nie było.

Z głodu mój brat zjadł narożnik pieca. Codziennie gryzł go, gryzł, a kiedyśmy zauważyli, w piecu już była dziurka. Mama brała ostatnie rzeczy, jeździła na rynek i wymieniała na kartofle, na kukurydzę. Ugotuje wtedy mamałygę, rozdzieli, a my na rondel popatrujemy i pytamy, czy można wylizać. Wylizywaliśmy kolejno. A po nas jeszcze lizała kotka, też chodziła głodna. Nie wiem, co tam jeszcze dla niej w rondlu zostawało. Po nas już nic nie było, nawet zapachu jedzenia. Zapach też wylizywaliśmy.

Cały czas oczekiwaliśmy naszych…

Kiedy nasze samoloty zaczęły zrzucać bomby, to zamiast się schować, pobiegłam patrzeć na nasze bomby. Znalazłam odłamek…

– Gdzie cię tam nosi? – powitała mnie w domu przestraszona matka. – Co tam chowasz?

– Nic nie chowam. Przyniosłam odłamek.
– Jak cię zabije, to będziesz miała.
– Coś ty, mamo! Przecież to od naszej bomby. Jak mógłby mnie zabić?
Długo przechowywałam ten odłamek.

…jeszcze pół łyżeczki cukru

Emma Lewina – 13 lat
Obecnie – pracownik drukarni

Tego dnia do czternastu lat brakowało mi dokładnie miesiąca…

„Nie! Nigdzie nie pojedziemy. Też wymyślili – wojna! Nie zdążymy nawet wyjechać za miasto, jak się skończy. Nie pojedziemy! Nie je-dzie-my!” – tak mówił ojciec, członek partii od tysiąc dziewięćset piątego roku. Za cara wiele razy siedział w więzieniu, brał udział w rewolucji październikowej.

Mimo wszystko musieliśmy wyjechać. Dobrze podlaliśmy kwiaty w oknach, mieliśmy ich mnóstwo, pozamykaliśmy okna i drzwi, tylko lufcik zostawiliśmy otwarty, żeby kotka mogła wyjść, kiedy będzie chciała. Wzięliśmy ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy. Tato przekonywał wszystkich, że po kilku dniach wrócimy. A Mińsk płonął…

Nie poszła z nami tylko średnia siostra, o trzy lata starsza ode mnie. Długo nie wiedzieliśmy, co się z nią dzieje. Martwiliśmy się. Dopiero kiedy już zamieszkaliśmy na Ukrainie, przyszedł od siostry list z frontu, potem jeszcze następny, i jeszcze jeden. Po nich dostaliśmy list z podziękowaniami od dowództwa jednostki, w której służyła jako sanitariuszka. Komu tego podziękowania mama nie pokazywała! Była dumna. Przewodniczący kołchozu wydał nam z tej okazji kilogram mąki paszowej. Mama wszystkich częstowała smacznymi placuszkami.

Wykonywaliśmy różne wiejskie prace, choć przecież byliśmy „miastowi”. Ale pracowaliśmy solidnie. Starsza siostra, która przed wojną była sędzią, wyuczyła się na traktorzystkę. Ale wkrótce zaczęli bombardować i Charków, więc pojechaliśmy dalej.

Już w drodze dowiedzieliśmy się, że wiozą nas do Kazachstanu. W wagonie jechało z nami dziesięć rodzin, w jednej z nich córka była w ciąży. Nagle przyleciały samoloty, Niemcy zaczęli bombardować pociąg, nikt nie zdążył wyskoczyć z wagonu. Nagle słyszymy krzyk. Tej dziewczynie w ciąży oderwało nogę. Do dzisiaj pamiętam to przerażające wydarzenie. Zaczęła rodzić, a jej własny ojciec zaczął przyjmować poród. I to działo się w obecności nas wszystkich. Huk bomb. Krew, brud. A tu dziecko się rodzi…

Wyjechaliśmy spod Charkowa latem, a do końcowej stacji dotarliśmy w zimie. Przyjechaliśmy w stepy kazachskie. Długo nie mogłam przywyknąć, że nas nikt nie bombarduje, nie ostrzeliwuje. Mieliśmy za to innego wroga – wszy! Wielkie, średnie, małe! Czarne! Szare! – najróżniejsze. Ale wszystkie jednakowo bezlitosne, niedające spokoju ani w dzień, ani w nocy. Nie, źle mówię! Kiedy pociąg jechał, wtedy nas tak nie gryzły. Zachowywały się mniej lub bardziej spokojnie. Ledwie jednak weszliśmy do domu… Boże, co zaczęły wtedy wyprawiać!… Boże święty! Całe plecy i ręce miałam pogryzione, całe we wrzodach. Kiedy zdjęłam bluzkę, to mi ulżyło, ale nic więcej nie miałam do ubrania. Mimo wszystko trzeba było tę bluzkę spalić, tak była zawszawiona, a ja nakrywałam się gazetą, chodziłam ubrana w gazetę. Taką miałam bluzeczkę. Gospodyni myła nas taką gorącą wodą, że gdybym się teraz takim ukropem polała, od razu zlazłaby mi cała skóra. A wtedy… To takie szczęście – ciepła woda! Gorąca!

Nasza matka była świetną gospodynią, świetną kucharką. Tylko ona potrafiła tak przyrządzić susła, że dało się go jeść, bo to mięso raczej nie jest uważane za jadalne. Suseł leży na stole… Na kilometr dookoła bucha okropny zapach, ale innego mięsa nie było, nic w ogóle nie mieliśmy. Jedliśmy więc te susły…

Mieszkała obok nas bardzo dobra, porządna pani. Widziała wszystkie nasze cierpienia, więc powiedziała do mamy: „Niech pani córka pomaga mi w gospodarstwie”. Bo już byłam bardzo słaba. Poszła w pole, a mnie zostawiła z wnukiem, pokazała, gdzie co leży, żebym dała dziecku jeść i sama podjadła. Podejdę do stołu, popatrzę na jedzenie, ale boję się zjeść. Wydawało mi się, że jeśli cokolwiek wezmę, to wszystko od razu zniknie, że to tylko sen. Mało jeść, ale nawet dotknąć palcem się bałam, żeby to nie zniknęło. Wolałam już patrzeć na jedzenie. Długo patrzeć. To z boku podcho-

dzę, to z tyłu. Bałam się zamknąć oczy. Przez cały dzień nic nie wzięłam do ust. A ta kobieta miała krowę, owce, kury. I zostawiła mi masło, jajka…

Przyszła wieczorem i pyta:

– Jadłaś?

Ja na to:

– Jadłam…

– No to idź do domu. A to zanieś mamie. – I daje mi chleba. – Jutro przyjdź znowu.

Wróciłam do domu, a ta kobieta zaraz za mną przybiegła. Przestraszyłam się, czy przypadkiem coś nie zginęło. A ona całuje mnie i płacze.

– Czegoś ty, głuptasko, nic nie zjadła? Dlaczego wszystko leży na miejscu? – I głaszcze, głaszcze mnie po głowie.

Zimy w Kazachstanie są surowe. Nie ma czym palić w piecu. Ratował nas krowi nawóz. Raniutko wstaje się i czeka, aż krowy wyjdą z obory. Podstawia się wiadro i biega od krowy do krowy. A przecież nie ja jedna, wszystkie ewakuowane są tutaj. Jak się wiadro zapełniło, trzeba było wylać zawartość koło swego domu i prędko z powrotem. Potem wszystko to mieszało się ze słomą i suszyło. Wychodziły z tego takie czarne placki, które nazywają się kiziaki. Tym się ogrzewaliśmy.

Umarł tato… Pewnie serce mu pękło z żalu, kiedy na nas patrzył. Od dawna już chorował na serce.

Wzięto mnie do szkoły rzemieślniczej. Wydano mundur – płaszcz i buty – i kartkę na chleb. Chodziłam przedtem ostrzyżona, a nagle odrosły mi włosy, zaplatałam warkoczyki. Wręczyli mi legitymację Komsomołu. Sfotografowali dla gazety. Niosłam tę legitymację w rękach, nie w kieszeni. Taką cenną rzecz… Bałam się włożyć do kieszeni, żeby nie zgubić. Serce mi biło: puk, puk, puk. Gdyby tato mnie wówczas zobaczył, byłby bardzo szczęśliwy.

Myślę teraz, że czas był straszny, ale ludzie – wspaniali. Dziwię się, jacy byliśmy wtedy! Jak wierzyliśmy! Nie chce się tego zapomnieć!… Od dawna nie wierzę w Stalina, w komunistyczne idee. Tę część swojego życia wolałabym zapomnieć, ale tamte przeżycia chowam w sercu. Tamtą wzniosłość. Nie chcę zapominać swoich uczuć… Są mi drogie…

Tamtego wieczora mama zaparzyła prawdziwą herbatę, esencję. No bo jak – takie święto! A ja, ponieważ to było moje święto, dostałam dokładkę – jeszcze pół łyżeczki cukru…

Domku, nie pal się! Domku, nie pal się!…

Nina Raczicka – 7 lat
Obecnie – robotnica

Przypominają mi się jakieś fragmenty… Czasem nawet bardzo wyraźnie…

Niemcy przyjechali na motocyklach… Każdy miał wiadro, więc brzęczeli tymi wiadrami. A myśmy się schowali… Miałam dwóch małych braci – czteroletniego i dwuletniego. Schowałam się razem z nimi pod łóżko i przesiedzieliśmy tam cały dzień, dopóki nie przestali brzęczeć.

Bardzo się dziwiłam, że młody oficer niemiecki, który u nas zamieszkał, miał okulary. A ja sobie wyobrażałam, że w okularach mogą chodzić tylko nauczyciele. Mieszkali z ordynansem w jednej połowie domu, a my w drugiej. Braciszek, ten najmłodszy, się przeziębił i mocno kaszlał. Miał wysoką temperaturę, cały był rozpalony, płakał w nocy. Następnego dnia oficer wchodzi na naszą połowę i mówi do mamy, że jeśli *kind* będzie płakał i nie dawał mu spać po nocach, to on go „pif-paf” – i pokazuje swój pistolet. Nocą kiedy tylko brat zakaszle albo zapłacze, to matka go otula w kołdrę, wybiega na ulicę i tam kołysze, dopóki mały nie zaśnie albo przynajmniej się nie uspokoi. Pif-paf…

Zabrali nam wszystko, tak że głodowaliśmy. Do kuchni nie wpuszczali, gotowali tylko dla siebie. Brat był mały, poczuł zapach i popełznął na podłodze w tym kierunku. Tamci codziennie gotowali grochówkę, a ta zupa pachnie bardzo mocno. Po pięciu minutach rozległ się krzyk mojego brata, straszny pisk. Oblali go wrzątkiem z kuchni, oblali za to, że prosił o jedzenie. A on był taki głodny, że proponował mamie: „Ugotujemy moją kaczuszkę”. Kaczuszka była jego ulubioną zabawką, nikomu przedtem jej nie oddawał, spał z nią.

Nasze dziecięce rozmowy…

Siadamy i zastanawiamy się, czy moglibyśmy zjeść mysz (a w czasie wojny bardzo się rozpleniły – w domu, w polu), gdybyśmy złapali. Czy sikorki są do jedzenia? A sroki? Dlaczego mama nie ugotuje zupy z tłustych żuków?

Nie dawaliśmy wyrosnąć kartoflom, grzebaliśmy w ziemi rękami i sprawdzali, jakie są, duże czy małe. I dlaczego wszystko tak powoli rośnie: i kukurydza, i słoneczniki…

Ostatniego dnia przed odejściem Niemcy podpalili nasz dom. Mama stała, patrzyła na ogień, ale nie uroniła ani jednej łzy. A myśmy we troje biegali i krzyczeli: „Domku, nie pal się! Domku, nie pal się!”. Wynieść z domu nic nie zdążyliśmy, ja tylko złapałam elementarz. Przez całą wojnę go strzegłam, dbałam o niego. Spałam z nim nawet, zawsze miałam go pod poduszką. Bardzo chciałam się uczyć. Potem, kiedyśmy w czterdziestym czwartym roku poszli do pierwszej klasy, mieliśmy jeden elementarz na trzynaścioro uczniów. Na całą klasę.

W pamięci został mi pierwszy powojenny koncert w szkole. Jak śpiewali, jak tańczyli… Miałam opuchnięte dłonie… Klaskałam i klaskałam… Było mi wesoło, dopóki jakiś chłopiec nie wyszedł na scenę i nie zaczął recytować wiersza. Mówił głośno, wiersz był długi, ale ja usłyszałam tylko jedno słowo: „wojna”. Oglądam się – wszyscy siedzą spokojnie. A ja czuję strach… Dopiero się wojna skończyła i teraz znowu wojna? Nie mogłam słuchać tego słowa. Zrywam się i pędzę do domu. Przybiegam, a mama coś gotuje w kuchni, to znaczy, że nie ma żadnej wojny. Wtedy biegnę z powrotem do szkoły. Na koncert. Znowu klaszczę.

Nasz tato z wojny nie wrócił, przysłano dokument, że zaginął bez wieści. Mama wyszła do pracy, a my się zebraliśmy we trójkę i płaczemy, że taty nie ma. Przetrząsnęliśmy dom, szukali papieru, na którym było napisane o tacie. Przecież nie napisali, że tata zabity. Jest tam mowa tylko o tym, że zaginął bez wieści. Jeśli podrzemy ten papier, to przyjdzie wiadomość, że tato się znalazł. Ale nie znaleźliśmy dokumentu. Kiedy mama wróciła z pracy, nie mogła zrozumieć, dlaczego w domu jest taki bałagan. Zapytała mnie: „Coście tu wyrabiali?”. Młodszy brat odpowiedział za mnie: „Szukaliśmy taty…”.

Przed wojną lubiłam, jak tato opowiadał bajki, znał ich wiele i umiał opowiadać. Po wojnie już nie chciałam czytać bajek…

Przyszła w białym fartuchu, jak mama…

Sasza Sujetin – 4 lata
Obecnie – ślusarz

Pamiętam mamę… Pojedyncze obrazki…

Pierwszy obrazek…

Mama zawsze jest w białym fartuchu… Ojciec był oficerem, mama pracowała w szpitalu. To mi potem opowiadał starszy brat. A ja pamiętam tylko biały fartuch mamy… Nawet twarzy nie pamiętam, tylko biały fartuch… A poza tym – biały czepek; zawsze stał na stoliku mamy, właśnie stał, a nie leżał, taki wykrochmalony.

Drugi obrazek…

Mama nie wróciła… Do tego, że tato nie przychodził, byłem przyzwyczajony, ale mama dotąd zawsze wracała do domu. Kilka dni siedzieliśmy w mieszkaniu sami z bratem, nigdzie nie wychodziliśmy. A może mama przyjdzie? Pukają obcy ludzie, ubierają nas i dokądś prowadzą. Płaczę…

– Mama? Gdzie jest mama?

– Nie płacz, mama nas znajdzie – pociesza mnie braciszek, starszy ode mnie o trzy lata.

Wylądowaliśmy na pryczy w jakimś długim domu, czy też w szopie. Cały czas chce mi się jeść, ssę guziki na koszuli, bo przypominają mi cukierki, które ojciec przywoził z delegacji. Czekam na mamę.

Trzeci obrazek…

Jakiś mężczyzna wpycha mnie i brata w róg pryczy, nakrywa kołdrą, zarzuca szmatami. Zaczynam płakać, a on głaszcze mnie po głowie. Uspokajam się.

I tak powtarza się każdego dnia. Ale kiedyś znudziło mi się długo siedzieć pod kołdrą. Zaczynam cicho, a potem coraz głośniej płakać. Ktoś

zrzuca ze mnie i z brata szmaty, ściąga kołdrę. Otwieram oczy – koło nas stoi pani w białym fartuchu. „Mama!” Gramolę się do niej. Ona też mnie głaszcze. Najpierw po głowie… Potem po ręce… Potem bierze coś z metalowego pudełka. Ale nie zwracam na to w ogóle uwagi, widzę tylko biały fartuch i biały czepek.

Nagle czuję ostry ból w ręku. Mam igłę pod skórą. Nie zdążyłem nawet krzyknąć, jak zemdlałem. Kiedy wraca mi przytomność, nad sobą widzę tego samego mężczyznę, który nas chował. Obok mnie leży brat.

– Nie bój się – mówi ten pan. – Żyje, tylko śpi.

– To nie była mama?

– Nie…

– Przyszła w białym fartuchu, jak mama… – powtarzam ciągle.

– Zrobiłem ci zabawkę… – Mężczyzna podaje mi szmacianą piłeczkę.

Biorę szmaciankę i przestaję płakać.

Dalej już nic nie pamiętam i nie wiem, kto i jak nas ocalił od śmierci w niemieckim obozie. Od dzieci pobierano tam krew dla rannych żołnierzy… Potem wszystkie umierały… Jak znaleźliśmy się z bratem w domu dziecka, a pod koniec wojny dostaliśmy zawiadomienie, że nasi rodzice zginęli? Coś się stało z moją pamięcią. Nie pamiętam twarzy, nie pamiętam słów…

Wojna się skończyła. Poszedłem do pierwszej klasy. Inni przeczytają wiersz dwa, trzy razy i już umieją. A ja czytam dziesięć razy i nie mogę zapamiętać. Ale jakoś nauczyciele mi nie stawiali dwójek. Innym stawiali, mnie nie.

Taka jest moja historia.

Niech mnie ciocia weźmie na kolana…

Marina Karianowa – 4 lata
Obecnie – filmowiec

Jakże nie lubię wspominać… Nie lubię. Krótko mówię: nie lubię… Można zapytać wszystkich, co to jest dzieciństwo. Każdy powie coś własnego. A dla mnie dzieciństwo to mama z tatą i cukierki. Tego pragnęłam przez całe dzieciństwo – mamy, taty i cukierków. Przez całą wojnę nie tylko nie spróbowałam, ale nawet nie widziałam cukierka. Pierwszego zjadłam kilka lat po wojnie… Po trzech latach… Byłam już dużą dziewczynką. Miałam dziesięć lat.

Nie rozumiałam, że ktoś może nie mieć ochoty na czekoladowy cukierek… No jak to? Niemożliwe…

A mamy i taty nie znalazłam. Nie znam nawet swojego prawdziwego nazwiska. Znaleźli mnie w Moskwie na dworcu Siewiernym[8].

– Jak się nazywasz? – pytali w domu dziecka.

– Marinka.

– A jak nazwisko?

– Nie pamiętam…

Napisali: „Marina Siewierna”.

Cały czas chciało mi się jeść. Ale jeszcze większą miałam ochotę, żeby ktoś mnie przytulił, popieścił. Pieszczot było mało, trwała wojna, wszystkich dotknęły nieszczęścia. Idę ulicą… Przede mną mama prowadzi dzieci. Jedno weźmie na ręce, niesie, potem postawi na ziemi i bierze drugie. Usiedli na ławce, a wtedy ona to młodsze wzięła na kolana. A ja stoję, stoję. Patrzę, patrzę. Podchodzę do nich: „Niech mnie ciocia weźmie na kolana…”. Zdziwiła się…

Wtedy ja znowu: „Ciociu, no proszę, weź mnie na kolana…”.

…i zaczęła kołysać jak lalkę

Dima Sufrankow – 4 lata
Obecnie – inżynier mechanik

Przedtem bałem się tylko myszy. A tu nagle tyle strachów… Tysiące…

Dla mojej dziecięcej świadomości nie było straszne słowo „wojna”, przerażało mnie inne słowo: „samoloty”. „Samoloty!” – i matka ściąga nas z pieca. A my boimy się złazić z pieca, boimy się wychodzić z chałupy, kiedy mama ściągnie jednego z nas, drugi włazi z powrotem. Było nas pięciu. I jeszcze nasz ulubiony kot.

Samoloty do nas strzelają…

Młodszych braciszków mama przywiązywała do siebie *rusznikami* [9], a starsi biegli sami. Kiedy dziecko jest małe, żyje w innym świecie, nie patrzy z wysokości, ale żyje blisko ziemi. Samoloty są jeszcze straszniejsze, bomby jeszcze straszniejsze. Pamiętam, jak zazdrościłem żuczkom, że są takie malutkie, że zawsze mogą gdzieś się ukryć, chowają się w ziemi… Wyobrażałem sobie, że kiedy umrę, to zostanę zwierzęciem i ucieknę do lasu.

Samoloty do nas strzelają…

Moja siostra cioteczna, miała dziesięć lat, niosła naszego trzyletniego braciszka. Biegła, biegła, aż sił jej zabrakło i upadła. Przeleżeli w śniegu całą noc, on zamarzł, a ona przeżyła. Wykopano dół, żeby go pochować, a ona nie pozwala: „Miszeńka, nie umieraj! Dlaczego umierasz?”.

Uciekliśmy od Niemców i żyli na bagnach… Na wysepkach… Zbudowaliśmy sobie tam kurenie i w nich mieszkaliśmy. To były takie szałasy: same bierwiona i u góry dziura… na dym. A na dole – goła ziemia. Woda. Mieszkaliśmy tam latem i w zimie. Spali na sosnowych gałązkach. Wróciliśmy raz z mamą z lasu do wsi, chcieliśmy coś zabrać ze swojej chaty. A tam

Niemcy. Wszystkich, którzy przyszli, spędzili do szkoły. Kazali uklęknąć i wycelowali w nas karabiny maszynowe. A my, dzieci, miałyśmy głowy na poziomie luf tych karabinów.

Nagle słyszymy, że w lesie strzelają. Niemcy w krzyk: „Partyzanci! Partyzanci!” – i do samochodów. Szybko odjechali. A my – do lasu.

Po wojnie bałem się żelaza. Leży odłamek, a ja się boję, że wybuchnie raz jeszcze. Dziewczynka od sąsiadów miała trzy lata i dwa miesiące… Zapamiętałem, że jej mama nad trumną powtarzała: „Trzy lata i dwa miesiące… Trzy lata i dwa miesiące…”. Dziewczynka znalazła granat i zaczęła kołysać jak lalkę… Zawinęła w szmatki i kołysze. Granat był mały, jak zabawka, ale ciężki. Matka nie zdążyła dobiec…

Po wojnie w naszej wsi Stare Hołowczyce w rejonie pietrikowskim grzebano dzieci jeszcze przez dwa lata. Wszędzie poniewierało się wojenne żelastwo. Rozbite czarne czołgi. Odłamki min, bomb… A myśmy nie mieli zabawek… Potem zaczęto je zbierać i wysyłać gdzieś do fabryk. Mama wyjaśniała, że z tego żelaza będą odlewać traktory. Obrabiarki, maszyny do szycia… Gdy widziałem nowy traktor, nie podchodziłem do niego, bałem się, że wybuchnie. I będzie czarny jak czołg…

Wiedziałem, z jakiego jest żelaza…

Już mi kupili elementarz…

Lila Mielnikowa – 7 lat
Obecnie – nauczycielka

Miałam iść do pierwszej klasy…

Już mi kupili elementarz i teczkę. Byłam najstarsza z sióstr. Raja miała pięć lat, a Toma – trzy. Mieszkaliśmy w Rossonach, ojciec był dyrektorem przedsiębiorstwa leśnego, ale rok przed wojną umarł. Mieszkałyśmy z mamą.

Tamtego dnia, kiedy dotarła do nas wojna, byłyśmy w przedszkolu, najmłodsza siostra też. Wszystkie dzieci odebrano, a myśmy zostały, nikt po nas nie przyszedł. Ogarnął nas strach. Mama przybiegła ostatnia. Pracowała też w tym przedsiębiorstwie leśnym, palili tam jakieś dokumenty, zakopywali. Dlatego została dłużej.

Powiedziała, że musimy wyjechać. Dostaliśmy wóz. Trzeba było zabrać ze sobą tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Pamiętam, że na korytarzu stał kosz, załadowałyśmy go na wóz, a siostrzyczka zabrała lalkę. Mama chciała tę lalkę zostawić… Bo lalka była duża… Ale siostra zaczęła płakać. Krzyczała: „Nie zostawię jej!”. Kiedy wyjechaliśmy za Rossony, nasz wóz się przewrócił, kosz się otworzył i wysypały się stamtąd buty. Okazało się, że nic ze sobą nie zabraliśmy: ani do jedzenia, ani odzieży na zmianę. Mama w zamieszaniu pomyliła kosze – wzięła ten, do którego wrzucała buty do naprawy.

Nie zdążyłyśmy pozbierać tych butów, bo nadleciały samoloty i zaczęły zrzucać bomby, ostrzeliwać nas z karabinów maszynowych. Kula przebiła na wylot lalkę, ale nawet nie drasnęła siostry, która z płaczem mówiła: „Ja jej i tak nie zostawię”.

Wróciłyśmy jednak do domu i zaczęły mieszkać pod okupacją. Mama wyprzedawała rzeczy ojca, pamiętam, że pierwszy raz wymieniła garnitur na groch. Przez miesiąc jadłyśmy grochówkę. Ale groch się skończył. Miałyśmy starą watowaną kołdrę. Mama szyła z niej burki, jeśli ktoś poprosił, a ludzie płacili jej, czym mogli. Raz jadłyśmy zacierkę, innym razem jajko – jedno na wszystkie… A często nie było po prostu nic. Mama tylko obejmowała nas i głaskała…

Nigdy nie wyjawiła tego, że pomaga partyzantom, ale ja się domyślałam. Często gdzieś wychodziła i nie mówiła dokąd. Wiedziałyśmy zawsze, kiedy idzie coś wymienić, a tu pewnego razu nagle wychodzi i już. Byłam dumna z mamy i mówiłam do sióstr: „Niedługo przyjdą nasi. Przyjdzie wujek Wania (to brat taty)”. Bo stryj walczył w partyzantce.

Tamtego dnia mama nalała mleka do butelki, ucałowała nas i poszła, a drzwi zamknęła na klucz. We trzy wlazłyśmy pod stół, ze stołu zwisał duży obrus, pod nim było nam ciepło. Bawiłyśmy się tam w matkę i córki. Nagle słyszymy warkot motocykli, potem straszne łomotanie w drzwi i męski głos wypowiadający nazwisko mamy. Niepoprawnie, kalecząc. Poczułam, że coś złego się stanie. A pod oknem od strony ogródka stała drabina, myśmy po niej wyszły. Szybciutko. Złapałam jedną siostrę za rękę, drugą wzięłam na plecy, to się u nas nazywało „aty-baty”, i tak wyszłyśmy na ulicę.

Zebrało się tam sporo ludzi. Także dzieci. Ci, którzy przyjechali po mamę, nas nie znali, więc nas nie znaleźli. Wyłamywali drzwi… A ja widzę, że na drodze pokazała się mama, taka mała, chudziutka. Kiedy Niemcy ją zobaczyli, pobiegli pod górę, złapali mamę, wykręcili jej ręce i zaczęli ją bić. A my biegniemy we trzy i krzyczymy ile sił: „Mama! Mama!”. Wepchnęli ją do przyczepy motocykla, ona tylko zawołała do sąsiadki: „Fienia, kochana, zajmij się moimi dziećmi”. Sąsiedzi odprowadzili nas na bok, ale każdy bał się wziąć nas do siebie, żeby i po nich nie przyszli Niemcy. Tak więc usiadłyśmy w rowie i płakały. Do domu nie można było wracać, bo już nam ludzie powiedzieli, że w sąsiedniej wsi zabrali rodziców, a dzieci spalili – zamknęli w chacie i spalili. Bałyśmy się więc wracać… Trwało to pewnie ze trzy dni. To poszłyśmy po cichu do naszego kurnika, to do ogródka. Chciało się nam jeść, ale niczego w ogródku nie tknęłyśmy, bo mama krzyczała, że marchew jeszcze nie wyrosła, a my już ją wyrywamy, że skubiemy groch. No więc nic nie wzięłyśmy i tylko mówiłyśmy między

sobą: „Pewnie mama się martwi, że my tu bez niej wszystko zniszczymy w ogródku. Na pewno tak myśli. I nie wie, że nic nie ruszamy. Że jej słuchamy”. Dzieci przynosiły nam to, co dostawały od dorosłych: jedno – gotowaną brukiew, drugie – kartofle, jeszcze inne – buraka…

Potem zabrała nas do siebie ciocia Arina. U niej został jeden chłopiec, a dwóch straciła, kiedy szła z uciekinierami. Cały czas wspominałyśmy mamę, a ciocia Arina wzięła nas do komendanta więzienia i poprosiła o widzenie. Komendant powiedział, że rozmawiać z mamą nie wolno. Jedno, na co zezwala, to przejść koło okienka.

Kiedy mijałyśmy okienko, dostrzegłam mamę… Prowadzili nas tak szybko, że tylko ja ją zobaczyłam, siostrzyczki nie zdążyły. Miała czerwoną twarz, a ja zrozumiałam, że mocno ją bili. Ona też nas widziała i tylko zawołała: „Dzieci! Moje dziewczynki!”. I już nie wyjrzała przez okienko. Potem nam przekazano, że kiedy nas zobaczyła, straciła przytomność…

Po kilku dniach dowiedziałyśmy się, że mamę rozstrzelano. Ja i siostra Raja zrozumiałyśmy, że mamy już nie ma, ale najmłodsza Tomoczka mówiła, że kiedy mama wróci, to się jej poskarży, jak zrobimy jej coś złego albo nie będziemy jej brały na ręce. Kiedy dostawałyśmy od kogoś jedzenie, oddawałam Tomce najlepszy kawałek. Bo tak właśnie robiła mama…

Kiedy mamę rozstrzelali, pod nasz dom podjechał samochód… Zaczęli zabierać rzeczy. Sąsiedzi nas zawołali i mówią: „Idźcie, poproście, może oddadzą walonki, ciepłe palta. Wkrótce będzie zima, a wy tak po letniemu”. Poszłyśmy we trzy, małą Tomkę wzięłam na barana i proszę: „Niech pan da jej walonki”. A policjant w tym czasie zabrał je i niesie. Nawet nie dokończyłam, gdy tak mnie kopnął, że Tomka upadła… I uderzyła głową o kamień. Następnego dnia zobaczyłyśmy, że wyrósł jej wielki ropień. Ciocia Arina miała grubą chustę, obwiązała jej główkę, a ropień i tak było widać. W nocy obejmuję siostrzyczkę, a ona ma taką wielgachną główkę. Byłam w strachu, że umrze.

Kiedy dowiedzieli się o tym partyzanci, to zabrali nas do siebie. W oddziale partyzanckim wszyscy pocieszali nas, jak mogli, bardzo nas lubili. Zapomniałyśmy nawet na pewien czas, że zostałyśmy bez mamy i taty. Jak się komuś podarła koszula, to rękaw oddarli, narysowali oczy, nos i zrobili nam lalki. Uczyli nas czytać, o mnie nawet wiersz ktoś napisał, o tym, że nie lubię się myć w zimnej wodzie. No bo w lesie – jakież są warunki? Zimą trzeba się myć śniegiem…

Lila siedzi sobie w wannie
I skarży się nieustannie:
„Ojojoj! Jaka to szkoda,
Że taka zimna jest woda!”.

Kiedy zrobiło się niebezpiecznie, odwieziono nas z powrotem do cioci Ariny. Dowódca – a był nim legendarny Piotr Maszerow – zapytał: „Czego wam trzeba? Co byście chciały?”. A myśmy potrzebowały wielu rzeczy, na przykład bluz. No więc partyzanci z takiego materiału jak na bluzy wojskowe uszyli nam sukienki. Takie zielone, z odstającymi kieszonkami. Wszystkim nam porobili walonki, rękawiczki, wszystkim trzem uszyli kożuszki. Pamiętam, że przywieźli nas do cioci Ariny na wozie razem z tobołkami, a w nich była kasza, mąka. Nawet kawałki skóry, żeby ciocia mogła nam zrobić buty.

A kiedy u cioci była rewizja, mówiła, że jesteśmy jej córkami. Wypytywali ją długo, pytali, dlaczego my jesteśmy takie jasne, a syn ciemnowłosy. Coś jednak wiedzieli… Załadowali na samochód nas i ciocię Arinę z synkiem i zawieźli do obozu koncentracyjnego w Igricach. To było zimą, spaliśmy wszyscy na podłodze, na deskach była tylko słoma. Kładliśmy się tak: ja, potem mała Toma, obok niej Raja, a dalej ciocia Arina i jej synek. Ja znalazłam się z brzegu, ludzie obok mnie często się zmieniali. Jak dotknęłam w nocy zimnej ręki, to już wiedziałam, że ten człowiek umarł. Rano patrzę, a on jest jakby żywy, tyle że zimny. Kiedyś się przestraszyłam… Zobaczyłam, jak martwemu człowiekowi szczury wyżarły wargi i policzki. Były tłuste i zuchwałe… Bałam się ich najbardziej… A ropień naszej siostrzyczki, który u partyzantów zniknął, w obozie pojawił się znowu. Ciocia Arina cały czas ukrywała, że Tomka ma ropień, bo wiedziała, że jak zobaczą, że dziewczynka jest chora, to zastrzelą. Obwiązywała Tomie głowę grubymi chustami. W nocy słyszałam, jak się modli: „Boże, zabrałeś ich matkę, zostaw chociaż dzieci”. A ja się modliłam… Prosiłam: „Niech zostanie chociaż mała Tomeczka, jest taka malutka, nie powinna umierać”.

Z obozu dokądś nas powieźli… Wieźli w bydlęcych wagonach… Na podłodze leżały zaschnięte krowie placki. Pamiętam, że dojechaliśmy tylko na Łotwę, a tamtejsi mieszkańcy wzięli nas do siebie. Pierwszą zabrali Tomeczkę. Ciocia Arina zaniosła ją do starego Łotysza, uklękła przed nim i błagała:

– Niechże pan ją uratuje. Niech pan ją uratuje.

Powiedział:

– Jeżeli doniosę ją do domu, to będzie żyła. To jest dwa kilometry stąd. Trzeba przejść przez rzeczkę, potem jest cmentarz…

Każde z nas trafiło do innych ludzi. Ciocię Arinę też od nas zabrano…

W końcu słyszymy – zwycięstwo. Poszłam do ludzi, u których mieszkała Raja, i mówię:

– Nasza mama nie żyje… Pójdziemy teraz po naszą Tomę. I musimy odnaleźć ciocię Arinę.

No więc poszłyśmy szukać cioci. To, żeśmy jednak ją znalazły, było cudem. A znalazłyśmy dzięki temu, że bardzo dobrze szyła. Weszłyśmy do jednego domu napić się wody. Pytają nas, dokąd idziemy. Odpowiadamy, że szukamy cioci Ariny. Córka gospodyni od razu się odzywa: „Chodźcie, to wam pokażę, gdzie ona mieszka”. Ciocia Arina aż krzyknęła, kiedy nas zobaczyła. Wszystkie chudziutkie, jak deszczułki. To był koniec czerwca, przednówek: stare zboże zjedzone, nowe jeszcze nie dojrzało. Jadłyśmy kłosy, jeszcze zielone. Rozcierałyśmy garść i tak łykałyśmy, nawet bez gryzienia, takie byłyśmy głodne.

Stamtąd, gdzie mieszkałyśmy, niedaleko było do Krasławia. Ciocia Arina powiedziała, że musimy pojechać do tego miasta, do domu dziecka. Była wtedy już bardzo chora, poprosiła więc, żeby nas tam odwieziono. Przywieziono nas wcześnie rano, brama jeszcze była zamknięta. Posadzili nas pod oknem domu dziecka i odjechali. Rano wstaje słonko… Z domu wybiegły dzieci, wszystkie w czerwonych kapciach, majtkach, bez koszulek, z ręcznikami. Biegną do rzeczki, śmieją się… A my patrzymy, nie wierząc, że życie może tak wyglądać. Dzieci nas zobaczyły, a my siedzimy obdarte, brudne. One w krzyk: „Nowe przyjechały!”. Zawołały wychowawczynie. Nikt nie chciał od nas żadnych dokumentów. Od razu przynieśli nam kawałek chleba i konserwy. Ale my nie jemy, boimy się, że to szczęście zaraz się skończy. To niesłychane szczęście… Uspokojono nas: „Dziewczynki, posiedźcie tu na razie, a my napalimy w łaźni. Umyjemy was i pokażemy, gdzie będziecie mieszkały”.

Wieczorem przyjechała dyrektorka. Zobaczyła nas i mówi, że trzeba nas zawieźć do izby dziecka w Mińsku, a stamtąd nas wyślą do jakiegoś innego domu, bo ten ich jest przepełniony. A my jak tylko usłyszałyśmy, że znowu mamy dokądś jechać, zaczęłyśmy płakać i błagać, żeby nas zostawili. Dy-

rektorka powiedziała: „Dzieci, przestańcie płakać, bo nie mogę patrzeć na wasze łzy”. Zadzwoniła gdzieś, no i zostałyśmy w tym domu dziecka. To był cudowny dom, były takie wychowawczynie, jakich teraz na pewno nie ma. Takie miały dobre serca! Jak im się udało przez wojnę zachować tę dobroć?

Bardzo nas tam lubili. Uczyli, jak trzeba się do siebie odnosić. Kiedyś zdarzyło się coś takiego. Nauczono nas, że jeśli się kogoś częstuje, to nie należy wyjmować cukierków z torebki, tylko podawać całą torebkę. A ten, kto bierze, powinien wziąć jeden cukierek, a nie wszystkie. Ale kiedy o tym mówiono, jeden z chłopców był nieobecny. Przyszła siostra jednej z dziewczynek i przyniosła pudełko cukierków. Dziewczynka podaje temu chłopcu paczkę cukierków, a on bierze całą. My w śmiech. Chłopiec się zawstydził i pyta: „A co trzeba zrobić?”. Odpowiadamy mu, że trzeba brać jednego cukierka. Wtedy się domyślił: „Teraz rozumiem – trzeba się zawsze dzielić. Bo tak to ja mam dobrze, a wy wszyscy – źle”. Właśnie, uczono nas tak postępować, żeby dobrze było wszystkim, a nie tylko jednemu. I łatwo było nas tego uczyć, bo wszyscyśmy wiele przeżyli. Pod tym względem byliśmy dorośli.

Starsze dziewczynki szyły każdemu teczki, szyły nawet ze starych spódnic. W święta dyrektorka zawsze wałkowała surowe ciasto, aż zrobił się z niego naleśnik, olbrzymi jak prześcieradło. Każdy sobie po kawałku mógł odkrajać i lepić pierogi, kto jakie chce: małe, duże, okrągłe, trójkątne…

Kiedy nas było dużo i przebywaliśmy razem, rzadko wspominaliśmy o mamach i tatach. Ale w izolatce, kiedy ktoś chorował, to się leżało i nic nie robiło, tylko mówiło właśnie o nich, o tym, jak kto się dostał do domu dziecka. Mnie jeden chłopiec opowiadał, że z jego rodziny wszystkich spalili, a on w tym czasie pojechał konno do sąsiedniej wsi. Mówił, że bardzo żal mu mamy, bardzo żal taty, ale najbardziej żal mu małej Nadieńki, która leżała w pieluszkach i spłonęła. Albo kiedy zebraliśmy się w ciasnym kółku na polanie, zaraz zaczynaliśmy opowiadać sobie o domu. O tym, jak żyliśmy przed wojną.

Przywieźli małą dziewczynkę. Pytają:

– Jak się nazywasz?

– Maria Iwanowna.

– A jak masz na imię?

– Maria Iwanowna.

– A jak twoja mama się nazywała?

– Maria Iwanowna.

Reagowała tylko na „Marię Iwanowną”. Nasza nauczycielka była Maria Iwanowna, i ta dziewczynka też.

Na Nowy Rok powiedziała wiersz Marszaka *Miałem kurkę krasnopiórkę*, dlatego dzieci przezwały ją „kurką”. Dzieciom, jak to dzieciom, znudziło się nazywać ją Marią Iwanowną. Jeden z chłopców odwiedził kiedyś przyjaciela w szkole rzemieślniczej, która była naszą szkołą patronacką. Zaczęli się o coś kłócić i wtedy nasz kolega nazwał tamtego „kurką”. Ten drugi się obraził: „Dlaczego tak mnie nazwałeś? Czy ja przypominam kurę?”.

A nasz kolega mówi: „U nas w domu dziecka jest dziewczynka, bardzo podobna do ciebie. Ma taki sam nos, takie same oczy, i wszyscy mówimy na nią „kurka”. I opowiedział dlaczego.

Okazało się wtedy, że to rodzona siostra tamtego chłopaka. Kiedy się spotkali, przypomniało im się, jak jechali wozem… Jak babcia im coś grzała w puszce od konserw, jak zginęła podczas bombardowania… Jak stara sąsiadka, przyjaciółka babci, wołała do niej, już nieżywej: „Mario Iwanowna, niech się pani podniesie, zostało pani dwoje wnuków… Jak pani mogła umrzeć, Mario Iwanowna? Dlaczego pani umarła, Mario Iwanowna?”. Okazało się, że dziewczynka wszystko pamiętała, ale nie była pewna, czy to się naprawdę zdarzyło. W uszach brzmiały jej tylko te dwa słowa: „Maria Iwanowna”.

Wszyscy się ucieszyliśmy, że znalazła brata, bo każdy jednak kogoś tam miał, a ona nikogo. Ja na przykład miałam dwie siostry, inni mieli braci albo kuzynów. A ci, którzy nie mieli, zawierali pokrewieństwa: ty będziesz moim bratem albo moją siostrą. I wtedy dbali o siebie, troszczyli się. W naszym domu dziecka zebrało się jedenaście Tamar… Dostały nazwiska: Tamara Nieznana, Tamara Nieznajoma, Tamara Bezimienna, Tamara Wielka albo Tamara Mała…

Co jeszcze pamiętam? Pamiętam, że w domu dziecka specjalnie na nas nie krzyczano, właściwie wcale. Kiedy zimą zjeżdżaliśmy na sankach z tutejszymi dziećmi, to widziałam, jak matka obsztorcowuje dziecko, a nawet bije w twarz za to, że włożyło walonki na bosą nogę. Kiedy myśmy tak wybiegali, to nikt na nas nie krzyczał. No więc specjalnie tak wkładałam walonki, żeby ktoś mnie skrzyczał. Bo chciałam, żeby na mnie krzyczeli.

Uczyłam się dobrze, więc powiedziano mi, że powinnam podciągnąć w nauce jednego z chłopców. Ze wsi. A uczyliśmy się razem – dzieci wiejskie i te z domu dziecka. Trzeba było pójść do niego, do rodziny. Do domu. Bałam się tego. Zastanawiałam się: „Jakie tam są rzeczy, jak i gdzie stoją, jak tam trzeba się zachowywać?”. Dom był czymś dla nas niedostępnym, a zarazem – najbardziej upragnionym.

Kiedy zapukałam do drzwi, zamarło mi serce…

Ani nie narzeczeni, ani nie żołnierze…

Wiera Nowikowa – 7 lat
Obecnie – dyspozytorka w zajezdni tramwajowej

Tyle lat minęło… A mimo to jest strasznie…

Pamiętam taki słoneczny dzień, wiatr unosi pajęczynę… Nasza wieś płonie, pali się nasz dom. Wychodzimy z lasu. Małe dzieci krzyczą: „Ognisko! Ognisko! Jak ładnie!”. A reszta płacze, mama płacze. Robi znak krzyża.

Dom spłonął… Grzebaliśmy w popiele, ale tam nic nie znaleźliśmy. Tylko osmalone widelce. Piec jak był, tak został, stało w nim jedzenie – placki. Placki kartoflane. Mama wyjęła patelnię: „Jedzcie, dzieci”. Placki nie nadawały się do zjedzenia, bo czuć je było dymem, ale i tak jedliśmy, bośmy nie mieli nic innego. Została trawa i ziemia.

Tyle lat minęło… A mimo wszystko to jest straszne…

Naszą kuzynkę powiesili… Jej mąż dowodził oddziałem partyzanckim, a ona była w ciąży. Niemcy przyjechali, ktoś im doniósł. Spędzili wszystkich na plac. Wydali rozkaz, żeby nikt nie płakał. Koło rady wiejskiej rosło wysokie drzewo, przyprowadzili konia. Kuzynka stoi na saniach… Miała długi warkocz… Narzucili pętlę, ona wyjęła z niej warkocz. Konie ruszyły, a ona zawisła i zaczęła się obracać… Baby w krzyk… Krzyczały, nie płacząc, krzyczały jednym głosem. Bo płakać nie pozwalali… Można było krzyczeć, ale nie płakać – bo nie wolno się litować. A Niemcy chodzili i zabijali tych, którzy płaczą. Chłopaków szesnasto-, siedemnastoletnich zastrzelili… Bo płakali.

Tacy młodzi… Ani nie narzeczeni, ani nie żołnierze…

Po co ja to pani opowiadam? Teraz dla mnie to jest jeszcze straszniejsze niż wtedy. Dlatego nigdy nie wspominam…

Żeby choć jeden synek został…

Sasza Kawrus – 10 lat
Obecnie – doktor nauk filologicznych

Chodziłem do szkoły…

Wyszliśmy na ulicę, zaczęli grać jak zwykle, a w tej chwili nadleciały samoloty niemieckie i zrzuciły bomby na naszą wieś. A myśmy już słyszeli o walkach w Hiszpanii, o losie hiszpańskich dzieci. Teraz bomby leciały na nas. Stare kobiety padły na ziemię i modliły się… Tak… Na całe życie zapamiętałem głos spikera Lewitana, ogłaszającego początek wojny. Mowy Stalina nie pamiętam. Ludzie stali całymi dniami pod kołchozowym głośnikiem i na coś czekali, a ja stałem obok ojca… Właśnie tak…

Pierwszy do naszej wsi Brusy w rejonie miadziolskim wkroczył oddział pacyfikacyjny. Otworzyli ogień, wystrzelali wszystkie psy i koty, potem zaczęli wypytywać, gdzie mieszkają aktywiści. W naszym domu przed wojną była rada wiejska, ale nikt ojca nie wskazał. Tak… Nie wydał… Nocą mi się śniło, że mnie rozstrzelali. A ja leżałem i myślałem, dlaczego jeszcze nie umarłem…

Zapamiętałem, jak Niemcy gonili kury. Gdy taki złapał kurę, podnosił ją i tak długo nią kręcił, póki jej łba nie urwał. Potem rechotał. A mnie się wydawało, że nasze kury krzyczą… Jak ludzie… Ludzkim głosem… I koty, i psy, kiedy do nich strzelali… Nigdy przedtem nie widziałem śmierci. Ani ludzkiej, ani żadnej innej. Kiedyś w lesie martwe pisklęta i tyle. Więcej nigdy… Tak właśnie…

Naszą wieś podpalono w czterdziestym trzecim roku… Tego dnia kopaliśmy kartofle. Sąsiad Wasilij, który był na pierwszej wojnie światowej i znał trochę niemiecki, powiedział: „Pójdę i poproszę Niemców, żeby nie palili

wsi. Tu są dzieci. Poszedł i jego też spalili. Spalili szkołę. Spłonęły wszystkie książki. Nasze ogródki spłonęły. Sady. Właśnie tak…

Dokąd mieliśmy iść? Ojciec poprowadził nas w lasy kozińskie, do partyzantów. Idziemy, spotykamy ludzi z innej wsi, ich też spalono. Mówią, że przed nami są Niemcy, że idą w tym kierunku. Wleźliśmy do jakiegoś dołu: ja, brat Wołodia, mama z malutką siostrą i ojciec. Ojciec wziął granat i umówił się z nami, że jeśli Niemcy nas zauważą, to wyrwie zawleczkę. Już się pożegnaliśmy. Zdjęliśmy z bratem paski i zrobili pętle, żeby się powiesić, nawet założyliśmy je sobie na szyję. Mama ucałowała nas wszystkich. Słyszałem, jak powiedziała do ojca: „Żeby choć jeden synek został…”. Wtedy ojciec mówi: „Niech uciekają. Są młodzi, może się uratują”. A mnie tak było żal mamy, że zostałem… Tak… Nie uciekłem…

Słyszymy szczekanie psów, słyszymy obce komendy, słyszymy, że strzelają. A to był taki wiatrołom, powyrywane świerki, widoczność więc najwyżej dziesięć metrów. Tamci musieli przechodzić gdzieś obok, ale po chwili głosy zaczęły się coraz bardziej oddalać. Kiedy ucichły zupełnie, mama nie mogła wstać, po prostu nie miała władzy w nogach. Tato niósł ją na plecach. Tak, tak…

Po kilku dniach spotkaliśmy partyzantów, którzy znali ojca. Byliśmy głodni, już ledwie się wlekliśmy. Nogi poocierane. Idziemy, a jeden z partyzantów pyta mnie: „Co byś chciał znaleźć pod sosną: cukierki czy ciastka? Kawałek chleba?”. A ja mówię: „Garść naboi”. Partyzanci potem długo to wspominali. Tak znienawidziłem Niemców za wszystko… I za mamę…

Mijaliśmy spalone wsie. Żyto niezżęte, kartofle niewykopane. Jabłka leżą na ziemi. Gruszki… A ludzi nie ma. Koty i psy biegają samopas. Tak… Nie ma ludzi. Ani jednego człowieka. Tylko głodne koty…

Pamiętam, że po wojnie w naszej wsi był jeden elementarz, a pierwszą książką, którą znalazłem i przeczytałem, był zbiór zadań z arytmetyki.

Czytałem go jak wiersze… Tak, tak…

Ociera łzy rękawem…

Oleg Bołdyriew – 8 lat
Obecnie – mistrz w fabryce

To jest problem… Co lepiej – wspominać czy zapomnieć? Może lepiej nic nie mówić? Zapominałem przez wiele lat…

Do Taszkentu jechaliśmy miesiąc. Cały miesiąc! Daleko na tyły. Ojca skierowano tam jako specjalistę. Wywożono fabryki. Zakłady pracy. Cały kraj przenosił się na tyły. Na zaplecze. Dobrze, że kraj był wielki.

Tam się dowiedziałem, że mój starszy brat zginął pod Stalingradem. Wyrywał się na wojnę, a mnie nie chcieli brać nawet do fabryki, bo byłem za mały. „Brakuje ci jeszcze pół roku do dziesięciu lat. – Matka kręciła głową. – Wybij sobie z głowy te niemądre pomysły”. Ojciec też marszczył brwi. Mówił: „Fabryka nie przedszkole, trzeba pracować jak wszyscy, po dwanaście godzin. I to jak pracować!”.

Fabryka produkowała miny, pociski, bomby lotnicze. Nastolatków dopuszczano do szlifowania… Odlane z metalu półprodukty trzeba było szlifować ręcznie… Sposób prosty – z węża pod wysokim ciśnieniem kierowało się strumień piasku, rozgrzanego do temperatury stu pięćdziesięciu stopni. Piasek odbijał się od metalu, parzył płuca, bił w twarz, w oczy. Rzadko kto wytrzymywał dłużej niż tydzień. Trzeba było mieć charakter.

Ale w czterdziestym trzecim roku… Skończyłem dziesięć lat, i wtedy ojciec mnie jednak wezwał. Przyprowadził na swój wydział, numer trzy. Na odcinek, gdzie spawano zapalniki do bomb.

Pracowaliśmy we trzech: ja, Oleg i Waniuszka, ledwie o dwa lata starsi ode mnie. Montowaliśmy zapalnik, a spawał go Jakow Mironowicz Sapożnikow (nazwisko wbiło mi się w pamięć), doskonały mistrz w swoim fachu. Potem trzeba było wejść na skrzynkę, żeby dosięgnąć do imadła, ścisnąć tu-

leję zapalnika i gwintownikiem zrobić gwint we wnętrzu tulei. Wprawiliśmy się w tej robocie, pracowaliśmy szybko… A potem szło jeszcze łatwiej: wstawiało się bezpiecznik i… do skrzyni. Jak się skrzynia wypełni – odstawić na miejsce. Do załadunku. Była, co prawda, dosyć ciężka, miała z pięćdziesiąt kilo, ale we dwóch dawaliśmy radę. Nie odrywaliśmy Jakowa Mironowicza od pracy, bo była najbardziej precyzyjna, najbardziej odpowiedzialna – spawanie!

Przy spawaniu najbardziej nieprzyjemny jest łuk elektryczny. Niby człowiek stara się nie patrzeć na niebieskie błyski, ale przez dwanaście lat nałapie się „zajączków”. Potem czuje się tak, jakby oczy mu zasypali piaskiem. Trze się je, a to bez sensu. I przez to, a także na skutek monotonnego huku prądnicy, która dostarczała prądu spawarce, a poza tym po prostu ze zmęczenia od czasu do czasu strasznie chciało nam się spać. Zwłaszcza w godzinach nocnych. Spać! Spać!

Jeśli Jakow Mironowicz widział, że może nam dać chociaż odrobinę czasu na odpoczynek, komenderował:

– Marsz do elektrodowego!

Nie trzeba było nas namawiać, bo w całej fabryce nie było kąta bardziej zacisznego i cieplejszego niż ten, gdzie suszono elektrody gorącym powietrzem. Wdrapywaliśmy się na ciepłą drewnianą półkę i momentalnie zasypiali. A po kwadransie Jakow Mironowicz przychodził i nas budził.

Kiedyś obudziłem się, zanim wujek Jasza zrobił pobudkę. Widzę, że patrzy na nas… Że zwleka… I ociera łzy rękawem…

Wisiał na sznurku jak dziecko…

Luba Aleksandrowicz – 11 lat
Obecnie – robotnica

Nie chcę… Nie chcę nawet wymawiać słowa „wojna”…

Wojna dotarła do nas szybko. Pamiętam, że już po paru tygodniach, dziewiątego lipca, toczyły się walki o Sienno, główną miejscowość naszego rejonu. Pojawiło się wielu uciekinierów, tak wielu, że nie mieli gdzie się podziać, brakowało domów. U nas na przykład kwaterowało sześć rodzin z dziećmi. I tak u każdego.

Najpierw szli ludzie, potem zaczęła się ewakuacja bydła. Zapamiętałam to bardzo dobrze, bo taki strach mnie ogarniał. Straszne obrazy. Najbliższą stacją kolejową był Bogdań, to między Orszą i Lepelem, ta stacja istnieje do dzisiaj. Właśnie tam pędzono bydło nie tylko z naszej rady wiejskiej, ale i z całego obwodu witebskiego. Lato było gorące, pędzono wielkie stada zwierząt domowych: krowy, owce, świnie, cielęta. Konie pędzono osobno. Pastuchowie byli tak zmęczeni, że w ogóle ich nie obchodziło, ile sztuk bydła mają i dokąd je pędzą. Krowy szły niewydojone, wchodziły na podwórza i stały przed gankiem dopóty, dopóki ich nie wydojono. Mleko lało się prosto na ziemię… Cierpiały też świnie, które nie znoszą gorąca i długiej drogi. Szły i padały. Upał powodował, że wszystkie te trupy pęczniały. To było tak straszne, że wieczorem bałam się wychodzić z domu. Wszędzie leżały martwe konie… owce… krowy… Nie nadążano z zakopywaniem ich, toteż w upale codziennie puchły coraz bardziej… Rozdymały się… Ze strachu krzyczałam po nocach…

Chłopi wiedzą, co to znaczy wyhodować jedną krowę, jaka to praca. Ile trzeba cierpliwości, ile czasu. Płakali, widząc, jak giną żywe stworzenia. To

przecież nie drzewo, które pada i milczy, to wszystko krzyczało, rżało, beczało… Jęczało…

Zapamiętałam słowa dziadka: „No a te niewinne – za co giną? Nie umieją nawet nic powiedzieć”. Nasz dziadek był miłośnikiem książek, wieczorami zawsze czytał.

Moja starsza siostra przed wojną pracowała w komitecie rejonowym partii, toteż zostawiono ją, żeby działała w podziemiu. Przyniosła do domu wiele książek z biblioteki komitetu. Portrety, czerwone sztandary. Myśmy zakopywali to w sadzie pod jabłonkami. Także jej legitymację partyjną. Zakopaliśmy w nocy, a ja miałam takie uczucie, że ten czerwony kolor będzie widać nawet pod ziemią. Że ziemia w naszym sadzie jest czerwona…

Chwili, w której przyszli Niemcy, jakoś nie pamiętam… Pamiętam, że kiedy już byli, i to dość długo, spędzono nas wszystkich, całą wieś. Ustawili przed nami karabiny maszynowe i kazali powiedzieć, gdzie są partyzanci i do kogo przychodzą. Nikt się słowem nie odezwał. Wtedy odliczyli i co trzeciego wyprowadzili na rozstrzelanie. Rozstrzelali sześć osób: dwóch mężczyzn, dwie kobiety i dwóch nastolatków. Potem odjechali.

Nocą spadł świeży śnieg… To był Nowy Rok… A pod tym śniegiem leżeli zabici. Nie miał kto ich chować, wykopywać grobów. Mężczyźni ukrywali się w lesie. Stare kobiety paliły kłody, żeby chociaż trochę rozgrzać ziemię i wykopać groby. Długo stukały łopatami w zmarzniętą ziemię…

Niemcy prędko wrócili… Po kilku dniach… Zebrali wszystkie dzieci, było nas trzynaścioro, i wypchnęli przed swoją kolumnę. Bali się min partyzanckich, więc kazali nam iść z przodu, a sami jechali za nami. Jeśli trzeba było na przykład zatrzymać się i zaczerpnąć wody ze studni, to najpierw nas wysyłali. Szliśmy piętnaście kilometrów. Chłopacy tak bardzo się nie bali, ale dziewczęta szły i płakały. A oni za nami na samochodach… Nie dało się uciec… Pamiętam, że szliśmy boso, a dopiero zaczynała się wiosna. Pierwsze dni…

Chcę zapomnieć…

Niemcy chodzili po chałupach… Wyciągali matki tych, których dzieci poszły do partyzantki… I odrąbali im głowy pośrodku wsi… A nam rozkazali: „Patrzcie!”. W jednej z chat nie zastali nikogo, wtedy złapali ich kota i powiesili. Wisiał na sznurku jak dziecko…

Chcę o wszystkim zapomnieć…

Teraz będziecie moimi dziećmi…

Nina Szunto – 6 lat
Obecnie – kucharka

Ajajaj! Od razu serce zaczęło mnie boleć…

Przed wojną mieszkaliśmy tylko z tatą… Mama umarła. Kiedy tato poszedł na wojnę, zostaliśmy z ciocią. Nasza ciocia mieszkała we wsi Zadory w rejonie lepelskim. Po miesiącu, kiedy tato nas do niej przywiózł, nieszczęśliwie nadziała się na gałąź i straciła oko. Dostała zakażenia krwi i umarła. Nasza jedyna ciocia. Zostaliśmy sami z bratem, a on był jeszcze malutki. Poszliśmy z nim szukać partyzantów, bo jakoś nam się wydawało, że tam będzie nasz tatuś. Nocowaliśmy, gdzie się dało. Pamiętam, że kiedy nadciągnęła burza, zanocowaliśmy w stogu siana, wygrzebaliśmy tam jamkę i się schowaliśmy. Takich dzieci jak my było wiele. Wszystkie szukały swoich rodziców, nawet jeśli wiedziały, że zginęli, to też mówiły, że szukają mamy i taty. Albo kogoś z bliskich.

Szliśmy i szli… W jakiejś wsi… W pewnej chacie było otwarte okno. I widocznie tam niedawno pieczono kartoflane pierożki. Kiedyśmy się więc zbliżyli, brat poczuł zapach tych pierożków i zemdlał. Weszłam do tej chaty, żeby poprosić o kawałek dla brata, boby inaczej nie wstał, a ja bym go nie podniosła, miałam za mało sił. W chałupie nikogo nie zastałam, ale nie powstrzymałam się i odłamałam kawałek pierożka. Siedzimy i czekamy na gospodarzy, żeby nie pomyśleli, że kradniemy. Wróciła gospodyni, która mieszkała tam sama. Nie wypuściła nas, mówiąc: „Teraz będziecie moimi dziećmi…”. Od razu, kiedy to powiedziała, oboje z bratem zasnęliśmy. Przy stole, na siedząco. Tak się dobrze poczuliśmy. Mieliśmy teraz dom…

Wkrótce wieś spalili Niemcy. Razem z ludźmi. Naszą nową ciocię też. A myśmy przeżyli, bo wczesnym rankiem poszliśmy na jagody… Siedzieli-

śmy na pagórku i patrzyli na płomienie… Już wszystko rozumieliśmy… Nie wiedzieliśmy tylko, dokąd teraz iść… Jak znaleźć jeszcze jedną ciocię? Bo tylko tę pokochaliśmy. Nawet między sobą mówiliśmy, że będziemy ją nazywać mamą. Była taka dobra, zawsze całowała nas przed snem.

Trafiliśmy do partyzantów. Z oddziału przerzucono nas samolotem za linię frontu…

Co wyniosłam z wojny? To, że nie wiem, co to znaczy „obcy ludzie”, bo oboje z bratem wyrośliśmy wśród obcych ludzi. Obcy ludzie nas uratowali. Ale jacyż to obcy? Wszyscy ludzie są swoi. Z takim poczuciem żyję…

Całowaliśmy im ręce…

Dawid Goldberg – 14 lat
Obecnie – muzyk

Szykowaliśmy się do święta…

Owego dnia miało się odbyć uroczyste otwarcie naszego obozu pionierskiego „Talka”. Czekaliśmy na gości – żołnierzy straży granicznej, rano poszliśmy do lasu po kwiaty. Zrobiliśmy świąteczne wydanie gazetki ściennej, przystroiliśmy bramę. Miejsce było cudowne, pogoda śliczna. Mieliśmy wakacje! Nawet nie zaniepokoił nas huk samolotów, który słyszeliśmy przez całe rano, tacy byliśmy szczęśliwi.

Nagle każą nam stanąć do apelu i ogłaszają, że rano, kiedyśmy spali, Hitler napadł na nasz kraj. W mojej świadomości wojna łączyła się z wydarzeniami nad Chałchyn Goł[10]; to było coś, co jest daleko i niedługo trwa. Nie miałem też wątpliwości, że nasza armia jest niezwyciężona, że mamy najlepsze czołgi i samoloty. To wszystko mówiono nam w szkole. W domu tak samo. Chłopcy byli bardzo pewni, ale wiele dziewczynek się przestraszyło i płakało. Starszym dziewczynkom kazano wtedy chodzić po oddziałach i uspokajać je, zwłaszcza te małe. Wieczorem chłopcom, którzy już mieli czternaście czy piętnaście lat, wydano karabinki małokalibrowe. Świetnie! Ogólnie rzecz biorąc, poczuliśmy dumę. Podnieśliśmy głowy. W obozie były cztery karabiny, staliśmy trójkami i pilnowali obozu. Mnie to się nawet podobało. Wchodziłem z tym karabinkiem do lasu i sprawdzałem – boję się czy nie? Nie chciałem wyjść na tchórza.

Kilka dni czekaliśmy, aż po nas przyjadą. Nie doczekaliśmy się jednak nikogo, sami więc poszliśmy na stację Puchowicze. Tam długo siedzieliśmy. Dyżurny powiedział, że z Mińska żaden pociąg już nie przyjedzie, a łączność jest zerwana. Nagle biegnie jakieś dziecko i woła, że jedzie jakiś

ciężki skład. Stanęliśmy przy torach… Najpierw machaliśmy rękami, a potem zdjęli czerwone chusty… Machaliśmy nimi, żeby zatrzymać pociąg. Maszynista zobaczył nas i zaczął rozpaczliwie pokazywać nam rękami, że nie może się zatrzymać, jeśli stanie, to się nie ruszy. „Wrzucajcie dzieci na platformy, jeśli dacie radę!” – krzyczał. Na platformach siedzieli ludzie, którzy też do nas krzyczeli: „Ratujcie dzieci! Ratujcie dzieci!”.

Zaczęliśmy rzucać ku nim maluchy. Pociąg tylko trochę zwolnił. Otworzyły się wagony, stamtąd wyciągali ręce ranni, łapali dzieci. Wszystkim, co do jednego, udało się wskoczyć do tego pociągu. To był ostatni skład idący z Mińska…

Jechaliśmy długo… Pociąg jechał powoli. Dobrze było widać… Na nasypie leżeli zabici, poukładani starannie, jak podkłady. W pamięci utkwiło mi, jak nas bombardowano, jak piszczeliśmy i jak świszczały odłamki. Jak na stacjach karmiły nas kobiety, skądś już wiedziały, że jedzie pociąg z dziećmi, a my całowaliśmy im ręce. Jak znalazło się wśród nas niemowlę przy piersi, jego matka zginęła podczas ostrzału. I jak kobieta na stacji zobaczyła je i zdjęła z głowy chustkę, oddała na pieluszki…

Koniec! Dosyć! Bardzo się denerwuję… Nie powinienem się tak denerwować. Mam chore serce. Pewnie pani tego nie wie, ale często ci, którzy byli dziećmi podczas wojny, umierają wcześniej niż ich ojcowie, którzy walczyli na froncie. Wcześniej niż byli żołnierze. Wcześniej…

Już tylu przyjaciół pochowałem…

Patrzyłam na nich oczami małej dziewczynki…

Zina Gurska – 7 lat
Obecnie – szlifierz

Patrzyłam na nich oczami dziewczynki… Małej wiejskiej dziewczynki. Szeroko otwartymi oczami…

Z bliska zobaczyłam pierwszego Niemca… Wysoki, niebieskie oczy. Zdziwiłam się, że taki ładny, a zabija. Bo byli ładni…

To na pewno moje najmocniejsze wrażenie. Moje pierwsze wspomnienie wyniesione z wojny…

Mieszkaliśmy z mamą, dwiema siostrami, braciszkiem i kurą. Została nam ta jedna, mieszkała z nami w chałupie, z nami spała. I razem z nami chowała się przed bombardowaniem. Przyzwyczaiła się i chodziła za nami jak piesek. Choćbyśmy nie wiem jaki głód cierpieli, to kury byśmy nie zabili. A głód był taki, że matka w zimie ugotowała stary kożuch i rzemienne baty, bo nam pachniały mięsem. Braciszek jeszcze ssał… Zalewałyśmy wrzątkiem jajko i tę wodę dawały mu zamiast mleka. Przestawał wtedy płakać i umierać…

A dookoła zabijano. Zabijano. Zabijano… Ludzi, konie, psy… W czasie wojny wybito wszystkie nasze konie. Wszystkie psy. Co prawda, ocalały koty.

Przychodzą w dzień Niemcy i rozkazują: „Matka, daj jajka. Matka, daj słoninę”. Strzelają. A w nocy partyzanci… Partyzantom trudno było przeżyć w lesie, zwłaszcza zimą. Nocą pukali do okien. Raz zabiorą po dobroci, drugi raz siłą… Wyprowadzili od nas krówkę… Mama płacze. Partyzanci też płaczą… Tego się nie da opowiedzieć. Nie opowiem pani, kochana. Nie! Nie!

Mama z babcią orały tak: najpierw mama wkładała chomąto na szyję, a babcia szła za pługiem. Potem się zmieniały, druga była koniem. Marzyłam, żeby dorosnąć jak najszybciej. Bo tak mi żal było mamy i babci…

Po wojnie na całą wieś były jeden pies (obcy, przybłąkał się) i nasza jedyna kura. Nie jedliśmy jajek. Zbieraliśmy, żeby wyhodować kurczęta.

Poszłam do szkoły… Oderwałam ze ściany kawałek starej tapety i to był mój zeszyt. Zamiast gumki miałam korek od butelki. Jesienią wyrosły buraki, wtedy cieszyliśmy się, że teraz zetrzemy buraki i zrobimy z nich atrament. Dzień czy dwa taki przecier postoi i będzie gotowy. Już mamy czym pisać.

Pamiętam jeszcze, że mama i ja lubiłyśmy wyszywać płaskim haftem, koniecznie żeby były wesołe kwiatki. Nie lubiłam czarnych nitek. Nawet teraz nie lubię czarnego koloru…

Nasza mama się nie uśmiechała…

Kima Murzicz – 12 lat
Obecnie – radiotechnik

Nasza rodzina…

Byłyśmy we trzy: Rema, Maja i Kima. Imię Rema oznacza „Rewolucja, Elektryfikacja i *Mir*[11]”. Maja – od Pierwszego Maja, Kima – od *Kommunisticzeskij Internacjonał Mołodioży* (Międzynarodówka Młodzieżowa). Takie imiona dał nam ojciec. Był komunistą, do partii należał od dawna. I tak nas wychowywał. W domu mieliśmy wiele książek, wisiały też portrety Lenina i Stalina. Pierwszego dnia wojny zakopaliśmy je w szopie, zostawiłam sobie tylko *Dzieci Kapitana Granta* Juliusza Verne’a. Jedną ukochaną książkę. W czasie wojny czytałam ją wiele razy.

Mama chodziła na wieś pod Mińskiem, wymieniała chusty na jedzenie. Miała parę dobrych pantofli. Odniosła nawet swoją jedyną krepdeszynową sukienkę. Myśmy z Mają siedziały i czekały na mamę – wróci czy nie wróci? Każda starała się oderwać tę drugą od złych myśli, wspominałyśmy, jak przed wojną chodziłyśmy nad jezioro, kąpały się, opalały, jak tańczyłyśmy w szkolnym kółku. Jaką chodziłyśmy do szkoły bardzo długą aleją. Wspominałyśmy zapach konfitur wiśniowych, które mama smażyła na kamieniach na podwórzu… To wszystko było takie dalekie, takie dobre. Mówiłyśmy o Remie, najstarszej siostrze. Przez całą wojnę myślałyśmy, że zginęła. Jak dwudziestego trzeciego czerwca poszła do pracy w fabryce, tak do domu nie wróciła… Kiedy skończyła się wojna, mama na wszystkie strony rozsyłała zapytania, szukała Remy. Było takie biuro adresów, w którym zawsze panował tłok, pełno ludzi się nawzajem szukało. Zanosiłam tam ciągle listy od mamy. A do nas listu nie było. Kiedy nadchodził dzień wolny,

mama siadała przy oknie i czekała na listonoszkę. A ta zawsze omijała nasz dom…

Któregoś dnia, kiedy mama wróciła z pracy, odwiedziła nas sąsiadka. Mówi do mamy: „Będzie pani tańczyła”, a za plecami coś ukrywa. Mama się domyśliła, że to list. Nie zatańczyła jednak, tylko usiadła na ławce i nie mogła wstać. Nie mogła nawet słowa z siebie wydobyć.

Tak odnalazła się nasza siostra. Została ewakuowana. Mama zaczęła się wtedy uśmiechać. Bo przez całą wojnę, dopóki nie znalazłyśmy siostry, nasza mama się nie uśmiechała.

Nie mogłam się przyzwyczaić do swojego imienia…

Lena Krawczenko – 7 lat
Obecnie – księgowa

Oczywiście nic nie wiedziałam o śmierci… Nikt nie zdążył mi wytłumaczyć, od razu ją zobaczyłam…

Kiedy karabiny maszynowe strzelają z samolotu, to człowiekowi wydaje się, że to tylko do niego. Że wszystkie kule lecą w jego stronę. Prosiłam: „Mamo, połóż się na mnie…”. Jak się położyła, to już nic nie widziałam i nie słyszałam.

Najstraszniejsza była utrata mamy. Widziałam zabitą młodą kobietę, a dziecko ssało jej pierś. Widać zginęła przed chwilą. Dziecko nawet nie płakało. A ja siedziałam obok…

Byle tylko nie stracić mamy… Mama cały czas trzymała mnie za rękę i głaskała po głowie: „Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze”.

Jechaliśmy jakimś samochodem, wszystkim dzieciom wkładano tam wiadra na głowy. Nie słuchałam mamy…

Potem pamiętam, że pędzili nas kolumną… I tam zabierają moją mamę… Chwytam ją za ręce, czepiam się jej markizetowej sukienki, bo tak się ubrała, zupełnie jak nie na wojnę. Wystroiła się. Nie puszczam… Płaczę… A hitlerowiec odpycha mnie najpierw automatem, a potem, kiedy upadłam, odtrąca kopniakiem. Jakaś kobieta mnie podnosi. I potem nie wiem, czemu jestem z nią w wagonie, jedziemy. Dokąd? Ona nazywa mnie Anieczką… Ale ja myślę, że mam inne imię… Zapamiętałam tylko, że mam inne, ale jakie – zapomniałam. Ze strachu… Ze strachu, że odebrano mi mamę… Dokąd jedziemy? Pewnie z rozmów dorosłych wywnioskowałam, że wiozą nas do Niemiec. Pamiętam swoje myśli… Po co ja, taka mała, jestem Niemcom potrzebna? Co ja tam u nich będę robiła? Kiedy się

ściemniło, kobiety zawołały mnie do drzwi i po prostu wypchnęły z wagonu: „Uciekaj! Może się uratujesz”.

Upadłam do jakiegoś rowu, tam zasnęłam. Było zimno. Śniło mi się, że mama otula mnie czymś ciepłym i mówi łagodnymi słowami. To śni mi się przez całe życie, do dzisiaj…

Dwadzieścia pięć lat po wojnie odnalazłam tylko jedną ciocię. Powiedziała mi, jak mam naprawdę na imię, ale długo nie mogłam się do niego przyzwyczaić…

Nie reagowałam na nie…

Bluzę miał mokrą…

Wala Matiuszkowa – 5 lat
Obecnie – inżynier

Zdziwi się pani! A ja chciałabym wspomnieć coś śmiesznego. Wesołego. Lubię się śmiać, nie chcę płakać… Oooo… Już płaczę…

Tato prowadzi mnie do kliniki położniczej i mówi, że zaraz kupimy chłopczyka. Chcę sobie wyobrazić, jakiego będę miała braciszka. Pytam taty: „Jaki będzie?”. Tato mówi: „Malutki”.

Nagle jesteśmy z tatą gdzieś wysoko, a przez okno wpełza dym. Tato niesie mnie na rękach, a ja proszę, żebyśmy wrócili po moją dziecięcą torebkę. Grymaszę. Tata nic nie mówi, tylko mocno przyciska mnie do siebie, tak mocno, że trudno mi oddychać. Wkrótce taty zabrakło, a ja idę ulicą z jakąś panią. Idziemy wzdłuż drutów, za którymi są jeńcy. Jest gorąco, jeńcy proszą o wodę. Ja mam tylko dwa cukierki w kieszeni. Rzucam za druty te cukierki. Ale skąd je miałam? Już nie pamiętam. Ktoś rzuca chleb… Ogórki… Wartownik strzela, my uciekamy…

Zdumiewające, ale wszystko to pamiętam… W szczegółach…

Potem pamiętam siebie w izbie dziecka, była już ogrodzona drutem. Pilnowali nas żołnierze z owczarkami alzackimi. Były tam też takie dzieci, które nie umiały jeszcze chodzić, tylko raczkowały. Kiedy chciały jeść, lizały podłogę… Zlizywały kurz… Te dzieci szybko umierały. Karmiono nas źle, dawano jakiś chleb, po którym języki puchły, tak że nie mogliśmy nawet mówić. Myśleliśmy tylko o jedzeniu. Zje się śniadanie i myśli, co będzie na obiad… Zje się obiad i myśli, co będzie na kolację. Przełaziliśmy pod drutami i uciekali do miasta. Mieliśmy jeden cel – śmietniki. Niesłychana radość, kiedy się znalazło skórkę od śledzia albo obierzyny kartoflane. Zjadaliśmy je na surowo.

Pamiętam, jak na śmietniku przyłapał mnie jakiś pan. Przestraszyłam się.

– Proszę pana, już więcej nie będę.

On zapytał:

– A czyjaś ty?

– Niczyja. Jestem z izby dziecięcej.

Zaprowadził mnie wtedy do domu i dał jeść. Mieli tylko kartofle. Ugotowali je, a ja zjadłam cały rondel. Z izby dziecięcej przewieźli mnie potem do domu dziecka. Naprzeciwko tego domu był instytut medyczny, w którym mieścił się szpital niemiecki. Pamiętam niskie okna, ciężkie okiennice, które zamykano na noc.

Tutaj karmili nas przyzwoicie, więc wydobrzałam. Bardzo polubiła mnie kobieta, która tam sprzątała. Litowała się nad wszystkimi, a zwłaszcza nade mną. Kiedy przychodzili do nas pobierać krew, wszyscy się chowali i szeptali: „Lekarze idą…”. Ta kobieta ukrywała mnie w jakimś kącie. I cały czas powtarzała, że jestem podobna do jej córki. Inni włazili pod łóżka, aż ich stamtąd wyciągano. Albo wywabiano. To dadzą kawałek chleba, to pokażą zabawkę. Zapamiętałam czerwoną piłeczkę…

„Lekarze” odchodzili, a wtedy ja wracałam do pokoju… Pamiętam małego chłopczyka, któremu ręka zwisała z łóżka, płynęła z niej krew. A inne dzieci płakały… Po dwóch, trzech tygodniach dzieci się zmieniały. Jedne dokądś wywożono, wszystkie one były blade, słabe. Wtedy przywożono następne. Odkarmiano.

Niemieccy lekarze uważali, że krew pobrana od dziecka do lat pięciu pozwala rannym szybciej wracać do zdrowia. Że ma odmładzające właściwości. Teraz to wiem…

A wtedy… Chciałam dostać ładną zabawkę. Czerwoną piłeczkę…

Kiedy Niemcy uciekali z Mińska i już się szykowali do wyjazdu, kobieta, która mnie ratowała, wyprowadziła nas za bramę. „Te, które mają bliskich, niech ich szukają. Te, co nie mają nikogo, niech idą na wieś – tam was ludzie uratują”.

Poszłam. Mieszkałam u jednej babci… Nie pamiętam ani nazwiska, ani nazwy wsi. Pamiętam, że aresztowano jej córkę, a my zostałyśmy we dwie – stara i malutka. Miałyśmy jeden kawałek chleba na tydzień.

O tym, że we wsi są nasi, dowiedziałam się ostatnia. Byłam chora. Kiedy to usłyszałam, wstałam i pobiegłam do szkoły. Zobaczyłam pierwszego żołnierza i przykleiłam się do niego. Pamiętam, że bluzę miał mokrą…

Ściskaliśmy go, całowali i płakali…

Jak gdyby mu uratowała córkę…

Gienia Zawojner – 7 lat
Obecnie – radiotechnik

Co najbardziej utkwiło mi w pamięci? Z tamtych czarnych dni…

Pamiętam, jak zabierali ojca… Miał na sobie waciak, ale nie pamiętam jego twarzy, całkiem zatarła mi się w pamięci. Pamiętam jego ręce… Związano je sznurem… Ręce taty… Ale choćbym nie wiem jak wytężała pamięć, tych, którzy po niego przyszli, też nie pamiętam…

Mama nie płakała.

Cały dzień przestała przy oknie.

Ojca zabrano, a nas wysiedlono do getta, zaczęliśmy żyć za drutami. Nasz dom stał przy drodze, codziennie na nasze podwórze wlatywały pałki. Koło furtki widziałam hitlerowca – kiedy prowadzono na rozstrzelanie grupę ludzi, bił ich tymi pałkami. Pałki się łamały, a on ciskał je za siebie. Do nas na podwórze. Widziałam tylko jego plecy, więc chciałam mu się lepiej przyjrzeć. No i kiedyś zobaczyłam, że był niski, miał łysinę. Stękał i sapał. Moją dziecięcą wyobraźnią wstrząsnęło to, że jest taki zwyczajny…

Babcię znaleźliśmy zabitą w mieszkaniu… Sami ją pochowaliśmy… Naszą wesołą i mądrą babcię, która lubiła niemiecką muzykę. Niemiecką literaturę…

Mama poszła wymieniać rzeczy na jedzenie, a w getcie zaczął się pogrom. Zazwyczaj chowaliśmy się w piwnicy, ale wtedy wleźliśmy na strych. Był z jednej strony całkiem rozwalony i to nas uratowało. Niemcy weszli do naszego domu i bagnetami szturchali w sufit. Na strych nie weszli właśnie dlatego, że był rozwalony. A do piwnicy rzucili granaty.

Pogrom trwał trzy dni, i te trzy dni przesiedzieliśmy na strychu. Ale mamy z nami nie było. Myśleliśmy tylko o niej. Kiedy skończył się po-

grom, staliśmy przed bramą i czekali. Żyje czy nie? Nagle zza zakrętu wyłonił się nasz dawny sąsiad. Minął nas, nie zatrzymując się, ale usłyszeliśmy od niego, że nasza mama żyje. Kiedy mama wróciła, staliśmy we trójkę i patrzyli na nią, nikt nie płakał, nie było łez, nastąpiło jakieś uspokojenie. Nawet nie czuliśmy głodu.

Stoimy z mamą przy drutach, obok przechodzi ładna pani. Zatrzymuje się koło nas po tamtej stronie i mówi do mamy: „Jakże mi was żal". Mama jej na to: „Jeśli pani żal, to proszę zabrać do siebie moją córkę". Ta pani zastanowiła się i mówi: „Dobrze". Resztę omówiły szeptem.

Następnego dnia mama przyprowadziła mnie do bramy getta i powiedziała: „Gieniusia, weźmiesz wózek z lalką i pójdziesz do cioci Marusi (to nasza sąsiadka)".

Pamiętam, jak byłam wtedy ubrana: błękitna bluzka, sweterek z białymi pomponikami. Wszystko, co najlepsze, odświętne.

Mama mnie wypycha za bramę getta, a ja się tulę do niej. Mama mnie odpycha, ale sama zalewa się łzami. W końcu jednak poszłam, dobrze to pamiętam… Pamiętam, gdzie była brama, gdzie była wartownia…

Przyszłam z wózeczkiem we wskazane przez mamę miejsce. Ubrali mnie w kożuszek i posadzili na furmankę. Jak długo jechaliśmy, tak długo płakałam i powtarzałam: „Gdzie ty, mamusiu, tam i ja. Gdzie ty…".

Przywieźli mnie do chutoru, usadzili na takiej długiej ławie. W rodzinie, do której trafiłam, było czworo dzieci. I jeszcze ja na dodatek. Chcę, żeby wszyscy znali nazwisko kobiety, która mnie uratowała: Olimpia Pożaricka ze wsi Gieniewicze w rejonie wołożyńskim. Bo jak długo u nich mieszkałam, tak długo strach gościł w tej rodzinie. Mogli ich w każdej chwili rozstrzelać… Całą rodzinę. Czworo dzieci… Za to, że ukrywają żydowskie dziecko. Z getta. Byłam ich śmiercią… Jak wielkie trzeba mieć serce! Ludzkie i zarazem nadludzkie! Kiedy pojawiali się Niemcy, to od razu gdzieś mnie wysyłano. Las był w pobliżu, las mnie ratował. Ta kobieta była dla mnie bardzo dobra, jednakowo dobra dla swoich dzieci i dla mnie. Jeśli coś dawała, to dawała wszystkim, jeśli całowała, to też nas wszystkie. I głaskała jednakowo. Nazywałam ją „matulką". Gdzieś tam miałam „mamusię", a tutaj „matulkę"…

Pasłam krowy, kiedy czołgi zbliżały się do chutoru. Jak tylko je zobaczyłam, zaraz się schowałam. Nie wierzyłam, że to nasze, ale kiedy zobaczyłam na nich czerwone gwiazdy, wyszłam na drogę. Z pierwszego czołgu

wyskoczył wojskowy, złapał mnie i podniósł – wysoko, wysoko. Wtedy przybiegła gospodyni chutoru, była taka szczęśliwa, taka ładna, jej też chciało się czymś dobrym podzielić, powiedzieć, że i oni też przyczynili się do tego zwycięstwa. Opowiedziała wtedy, jak mnie uratowali. Żydowską dziewczynkę… Ten wojskowy przycisnął mnie do siebie, a ja byłam taka chudziutka, że schowałam się pod jego ręką, a on objął tę kobietę z taką miną, jakby mu uratowała córkę. Powiedział, że wszyscy jego bliscy zginęli, więc jak się skończy wojna, to przyjedzie i zabierze mnie do Moskwy. A ja za nic nie chciałam się zgodzić, chociaż nie wiedziałam, czy mama żyje, czy nie.

Przybiegli inni ludzie, też mnie ściskali. I wszyscy przyznali się, że się domyślali, kogo w chutorze chowają.

Potem przyjechała po mnie mama… Weszła na podwórze i uklękła przed tą kobietą i jej dziećmi…

Do oddziału nieśli mnie na rękach… Wszystko miałem odbite, od stóp do głów…

Wołodia Ampiłogow – 10 lat
Obecnie – ślusarz

Miałem dziesięć lat, dokładnie dziesięć lat… I wojna… Ta cholera…

Bawiliśmy się na podwórku z chłopcami w chowanego. Wtem zajeżdża wielka ciężarówka, wyskakują z niej niemieccy żołnierze, zaczynają nas łapać i wrzucać na skrzynię, pod plandekę. Potem zawieźli nas na dworzec, samochód podjechał tyłem i jak worki powrzucali nas do wagonu, na słomę.

Wagon był tak wypełniony, że początkowo dało się tylko stać. Dorosłych nie było, tylko dzieci i nastolatki. Przez dwa dni i dwie noce wieźli nas z zamkniętymi drzwiami, nic nie widzieliśmy, słyszeliśmy tylko, jak koła stukają po szynach. Za dnia jeszcze jakoś światło przenikało przez szpary, ale nocą robiło się tak strasznie, że wszyscy płakaliśmy. Wiozą nas gdzieś daleko, a rodzice nie wiedzą, gdzie jesteśmy… Trzeciego dnia otworzyły się drzwi i żołnierz wrzucił do wagonu kilka bochenków chleba. Ci, którzy byli bliżej, zdążyli złapać i w jednej sekundzie pochłonąć chleb. Ja stałem daleko od drzwi i nie widziałem chleba, tylko wydało mi się, że przez chwilę poczułem jego zapach, kiedy usłyszałem słowo „chleb”. Tylko zapach.

Nie pamiętam już, który to był dzień drogi… Nie mieliśmy już czym oddychać, bo przecież wszystkie potrzeby załatwialiśmy w wagonie. I małą, i dużą… Nagle pociąg zaczęto bombardować… Z mojego wagonu zerwało dach. Nie byłem sam, był ze mną mój przyjaciel Grisza – też miał dziesięć lat, przed wojną chodziliśmy do jednej klasy. Od pierwszej chwili, kiedy zaczęły lecieć na nas bomby, trzymaliśmy się siebie, żeby się nie zgubić.

Kiedy zerwało dach, postanowiliśmy wyleźć górą z wagonu i uciec. Uciekać! Już dobrze wiedzieliśmy, że wiozą nas na zachód. Do Niemiec…

W lesie było ciemno, a my się oglądaliśmy – nasz pociąg płonął, wyglądał jak jedno wielkie ognisko. Wysokim płomieniem. Szliśmy całą noc, nad ranem dotarliśmy do jakiejś wsi, ale wsi nie było – zamiast domów… Pierwszy raz coś takiego widziałem… Stały same czarne piece. Czarne pomniki. Snuła się mgła… Szliśmy jak przez cmentarz… Szukaliśmy czegokolwiek do zjedzenia, ale piece stały puste i zimne. Poszliśmy dalej. Pod wieczór znowu natknęliśmy się na zagaszone pogorzelisko i puste piece… Szliśmy i szli… Grisza nagle upadł, serce przestało mu bić. Przesiedziałem nad nim całą noc, czekałem, aż nadejdzie ranek. Rano wykopałem rękami dołek w piasku i pochowałem Griszę. Chciałem to miejsce zapamiętać, ale jak to zrobić, kiedy wszystko dookoła jest nieznane?

Idę, a z głodu kręci mi się w głowie. Nagle słyszę: „Stój! Dokąd idziesz, chłopcze?”. Zapytałem: „Kim jesteście?”. Oni na to: „Swoi. Partyzanci”. Od nich się dowiedziałem, że znajduję się w obwodzie witebskim, trafiłem do brygady partyzanckiej „Aleksiej”[12]…

Kiedy trochę okrzepłem, zacząłem prosić partyzantów, żeby pozwolili mi walczyć. Natrząsali się ze mnie i zamiast do walki wysłali do pomocy w kuchni. Ale zdarzyło się coś takiego… Taka historia… Trzykrotnie wysyłano do stacji zwiadowców, a oni nie wrócili. Po trzecim razie dowódca oddziału zrobił zbiórkę i powiedział:

– Czwarty raz nikogo nie wyznaczę. Pójdą ochotnicy…

Stałem w drugim szeregu i kiedy usłyszałem: „Kto na ochotnika?”, podniosłem rękę jak w szkole. A kufajkę miałem długą, rękawy sięgały mi aż do ziemi. Podnoszę rękę, ale tego nie widać, rękawy zwisają, a ja z nich nie mogę wyleźć.

Dowódca daje rozkaz:

– Ochotnicy, wystąp!

Zrobiłem krok do przodu.

– Synku… – mówi dowódca. – Synku…

Dali mi torbę i starą uszankę z urwanym uchem.

Kiedy wyszedłem na gościniec, poczułem, że ktoś mnie śledzi. Oglądam się – nikogo nie ma. Wtedy zobaczyłem trzy gęste kędzierzawe sosny. Przyjrzałem się im uważnie i dostrzegłem, że siedzą tam niemieccy strzelcy wyborowi. I „zdejmują” każdego, kto wychodzi z lasu. Przed strzelcem wy-

borowym nie sposób uciec, no ale chłopczyka, który pojawił się na skraju lasu, w dodatku z torbą, zostawili w spokoju.

Wróciłem do oddziału i zameldowałem dowódcy, że na sosnach siedzą Niemcy. W nocy zgarnęliśmy ich bez wystrzału i przyprowadzili żywych. To był mój pierwszy zwiad…

W końcu czterdziestego trzeciego we wsi Stare Czełnyszki w rejonie bieszenkowickim złapali mnie esesmani… Bili wyciorami. Kopali, a buty mieli podkute. Jak kamienie… Po torturach wyciągnęli mnie na ulicę i oblali wodą. To było zimą, więc zaraz pokryła mnie warstewka krwawego lodu. Słyszałem stukanie nad sobą, ale nie wiedziałem, skąd dociera. A to zbijali szubienicę. Zobaczyłem ją dopiero, kiedy mnie podnieśli i postawili na belce. Ostatnie, co zapamiętałem? Zapach świeżego drewna… Taki mocny zapach…

Pętla się zacisnęła, ale ktoś ją zerwał… Zdążył… To partyzanci zrobili zasadzkę. Kiedy odzyskałem przytomność, poznałem naszego lekarza. „Jeszcze dwie sekundy i koniec, już bym cię nie uratował – powiedział. – Masz, synku, szczęście, że żyjesz”.

Do oddziału nieśli mnie na rękach… Wszystko miałem odbite, od stóp do głów. Bolało mnie tak, że zastanawiałem się, czy jeszcze choć trochę urosnę.

A dlaczego ja jestem taki malutki…

Sasza Strielcow – 4 lata
Obecnie – lotnik

Ojciec nawet mnie nie widział…

Urodziłem się w czasie jego nieobecności. Walczył na dwóch wojnach – kiedy wrócił z fińskiej, zaczęła się ojczyźniana. Drugi raz wyszedł z domu.

Po mamie zostało mi w pamięci wspomnienie, jak idziemy lasem, a ona mnie uczy: „Nie spiesz się… Posłuchaj, jak spadają liście… Jak szumi las…”. Siedzimy z nią na drodze, a ona patykiem na piasku rysuje ptaszki.

Pamiętam jeszcze, że chciałem być wysoki i pytałem mamy:

– Tato jest wysoki?

Mama odpowiadała:

– Bardzo wysoki i przystojny. Ale nigdy się tym nie przechwala.

– A dlaczego ja jestem taki malutki?

Dopiero rosłem… Nie została nam ani jedna fotografia ojca, a ja potrzebowałem potwierdzenia, że jestem do niego podobny.

– Podobny. Bardzo podobny – uspokajała mama.

W czterdziestym piątym dowiedzieliśmy się o śmierci ojca. Mama go tak kochała, że po prostu popadła w obłęd… Nikogo nie poznawała, nawet mnie. Tak że, o ile pamiętam, potem już zawsze była ze mną tylko babcia. Miała na imię Aleksandra, ja też jestem Aleksandr, więc żeby nas nie mylono, umówiliśmy się z nią, że ja jestem Szurik, a ona – babcia Sasza.

Babcia Sasza nie opowiadała bajek, od rana do późnej nocy prała, orała, gotowała, bieliła. Pasła krowę. A w święta lubiła wspominać, jak się urodziłem. I kiedy pani to opowiadam, mam w uszach głos babci: „Był ciepły dzień. Akurat ocieliła się krowa dziadka Ignata, a złodzieje zakradli się do ogrodu starego Jakimszczuka. Wtedy ty przyszedłeś na świat…”.

Nad chałupą cały czas przelatywały samoloty… Nasze samoloty. W drugiej klasie podjąłem decyzję, że zostanę lotnikiem.

Babcia poszła do komendy uzupełnień. Poprosili ją o moje dokumenty, ale ich nie miała, wzięła tylko zawiadomienie o śmierci ojca. Wróciła ze słowami: „Wykopiemy kartofle, a potem pojedziesz do Mińska do szkoły imienia Suworowa”.

Zanim mnie wyprawiła, pożyczyła od kogoś mąki i napiekła pierożków. Szef komendy uzupełnień wsadził mnie do samochodu i powiedział: „W ten sposób uczcimy twojego ojca”.

Pierwszy raz w życiu jechałem samochodem.

Po kilku miesiącach szkołę odwiedziła babcia i przywiozła mi w prezencie jabłko. Powiedziała: „Masz, zjedz”.

A ja nie chciałem się rozstać z jej podarkiem…

Przyciągał je zapach ludzi…

Nadia Sawicka – 12 lat
Obecnie – robotnica

Czekaliśmy na powrót brata z wojska… Napisał do nas, że przyjeżdża w czerwcu…

Myśleliśmy, że brat wróci i będziemy budowali mu dom. Ojciec już zwoził końmi belki, wieczorem wszyscyśmy na tych belkach siedzieli, a ja pamiętam, że mama mówiła do ojca, że postawią spory dom. Będą mieli dużo wnuków.

Wybuchła wojna, więc oczywiście brat z wojska nie wrócił. A było nas pięć sióstr i ten jeden brat, najstarszy z nas. Przez całą wojnę mama płakała, i przez całą wojnę na niego czekaliśmy. Pamiętam, że czekaliśmy codziennie.

Ledwie usłyszymy, że gdzieś prowadzą naszych jeńców, od razu tam biegniemy. Mama upiecze z dziesięć kartofelków, bierze do węzełka i idziemy. Raz nie mieliśmy czego ze sobą zabrać, a w polu już dojrzało żyto. Nałamaliśmy kłosów, roztarli ziarna w rękach. I trafiliśmy na patrol niemiecki, który pilnował pola. Wysypują nasze ziarno na ziemię i pokazują, żebyśmy się ustawiły, bo chcą nas rozstrzelać. My w płacz, a mama im buty całuje. Oni siedzą na koniach, wysoko, ona ich chwyta za nogi, całuje i prosi: „Paneczkowie! Zlitujcie się… Paneczkowie, to wszystko moje dzieci. Widzicie, to same dziewczynki…”. No i pojechali, nie zastrzelili nas.

Kiedy odjechali, zaczęłam się śmiać. Śmieję się i śmieję, mija dziesięć minut, a ja się nadal śmieję… Skręcam się ze śmiechu. Mama mnie obsztorcowała – nie pomogło, zaczęła prosić – też na nic. Wracamy do domu, a ja się śmieję. Wsadziłam głowę w poduszkę, nie mogę się uspokoić, ciągle się zaśmiewam. I tak przez cały dzień. Myśleli, że ja… No wie pani…

Wszystkie w strachu… Bały się, że mi się rozum pomieszał. Że zwariowałam.

To mi zostało do dzisiaj: jeśli się przestraszę, to zaczynam się głośno śmiać. Strasznie głośno.

Rok czterdziesty czwarty… Przyszło wyzwolenie, a wtedy dostaliśmy list, że brat zginął. Mama płakała, płakała, aż oślepła. Mieszkaliśmy w niemieckich okopach za wsią, bo cała wieś się spaliła, spaliły się nasza stara chata i wszystkie belki na nowy dom. Nic nam nie zostało, znaleźliśmy w lesie hełmy wojskowe i w nich gotowaliśmy. Te niemieckie hełmy były duże jak sagany. Żywiliśmy się w lesie, tylko że strach było chodzić na jagody i grzyby. W lesie grasowało dużo niemieckich owczarków, które rzucały się na ludzi, zagryzały małe dzieci. Były w końcu przyuczone do ludzkiego mięsa, do ludzkiej krwi. Do jej zapachu… Kiedy szliśmy do lasu, zbieraliśmy się w duże grupy. Po dwadzieścia osób… Matki nas uczyły, że trzeba chodzić po lesie i krzyczeć, wtedy psy się przestraszą. Zanim człowiek nazbiera kosz jagód, to się tak nakrzyczy, że straci głos. Ochrypnie. Aż nam gardła puchły. A te psy były duże jak wilki.

Przyciągał je zapach ludzi…

Dlaczego strzelali w buzię? Mama była taka ładna…

Wołodia Korszuk – 7 lat
Obecnie – profesor historii

Mieszkaliśmy w Brześciu… Na granicy…

Wieczorem byliśmy w kinie we trójkę: mama, tato i ja. Rzadko się zdarzało, żebyśmy we trójkę dokądś poszli, bo ojciec był ciągle zajęty. Pracował jako kierownik obwodowego wydziału nauki i oświaty, zawsze był gdzieś w delegacji.

Ostatni wieczór bez wojny… Ostatnia noc…

Kiedy mnie rankiem zerwała mama, wszystko dookoła dudniło, stukało, huczało. Było bardzo wcześnie, zapamiętałem, że za oknami było jeszcze ciemno. Rodzice w pośpiechu się krzątali, pakowali walizkę, jakoś nic nie mogli znaleźć.

Mieliśmy dom, duży sad. Ojciec dokądś poszedł, myśmy z mamą spojrzeli przez okno: w sadzie stali jacyś wojskowi i rozmawiali łamaną ruszczyzną, ubrani byli w nasze mundury. Mama powiedziała, że to dywersanci. Nie mieściło mi się to w głowie, że do naszego sadu, gdzie od wczorajszego wieczora na stoliku stał jeszcze samowar, nagle weszli dywersanci! A gdzie nasza straż graniczna?

Uciekaliśmy z miasta pieszo. Na moich oczach rozsypał się murowany dom naprzeciwko, przez okno wyleciał telefon. Na ulicy stało łóżko, a na nim, pod kołdrą, leżała zabita dziewczynka. Łóżko było nienaruszone, wyglądało tak, jakby je skądś wyniesiono i ustawiono, tylko kołdra była trochę osmalona. Od razu za miastem zaczynało się pole żyta, samoloty ostrzeliwały nas z karabinów. Wszyscy szli nie drogą, ale przez to pole.

Weszliśmy do lasu, wtedy już nie było tak strasznie. Z lasu zobaczyłem wielkie samochody. To jechali Niemcy, weseli, głośno się śmiali. Dolatywa-

ła do nas obca mowa. Słyszało się w niej wiele r-r-r…

Rodzice cały czas pytali siebie, gdzie są nasi. Gdzie nasze wojsko? Wyobrażałem sobie, że zaraz przycwałuje Budionny na koniu… A Niemcy uciekną… Jeszcze niedawno ojciec przekonywał mnie, że nic nie dorówna naszej kawalerii.

Szliśmy długo. Nocą wchodziliśmy do chutorów, gdzie nam dawano jeść, pozwalano się ogrzać. Wielu znało ojca, i ojciec też wielu ludzi znał. Weszliśmy do jednej zagrody; pamiętam do dziś, że nauczyciel, który tam mieszkał, nazywał się Pauk[13]. Mieli dwa domy – nowy i tuż obok stary. Proponowali, żebyśmy zostali, zamieszkali w jednym z tych domów. Ale ojciec odmówił. Gospodarz doprowadził nas do drogi, mama próbowała dać mu pieniądze, ale on pokręcił głową i powiedział, że za pomoc w ciężkiej chwili nie bierze się pieniędzy. To sobie zapamiętałem.

Tak doszliśmy do miasta Uzdy; z tej okolicy pochodził mój ojciec. Zamieszkaliśmy u dziadka we wsi Mroczki…

Partyzantów w naszym domu pierwszy raz zobaczyłem zimą i od tej pory zawsze wyobrażałem ich sobie, że to ludzie w białych płaszczach. Wkrótce ojciec poszedł z nimi do lasu, a my z mamą zostaliśmy u dziadka.

Mama coś szyła… Nie… Siedziała przy dużym stole i robiła na drutach, a ja grzałem się na piecu.

Niemcy weszli do chałupy ze starostą, który wskazał mamę i powiedział: „To ona”. Wtedy kazali się mamie zbierać. A ja bardzo się przestraszyłem. Kiedy wyprowadzili mamę na podwórze, zawołała mnie, żeby się ze mną pożegnać. Wlazłem pod ławkę, tak że nie mogli mnie stamtąd wyciągnąć…

Mamę zabrali z dwiema kobietami, których mężowie też byli w partyzantce, i wywieźli. Nikt nie wiedział dokąd. W którą stronę? Następnego dnia znaleziono je zaraz za wsią, leżały w śniegu… Bo śnieg padał całą noc… Kiedy mamę przywieźli, zobaczyłem, że na policzku ma kilka czarnych dziurek od kul. Nie wiedziałem, dlaczego strzelali w twarz. Cały czas pytałem dziadka: „Dlaczego strzelali w buzię? Mama była taka ładna…”. Mamę pochowano… Za trumną szło nas troje: dziadek, babcia i ja. Ludzie się bali. W nocy przyszli ją pożegnać… Przez całą noc u nas nie zamykały się drzwi, a w dzień byliśmy sami. Nie mogłem zrozumieć, za co zabili moją mamę… Co złego było w tym, że siedziała i robiła na drutach?

Kiedyś w nocy przyszedł ojciec i powiedział, że zabiera mnie ze sobą. Byłem szczęśliwy. Początkowo moje życie w partyzantce mało się różniło

od życia u dziadka. Ojciec szedł wykonać zadanie, a mnie zostawiał u kogoś we wsi. Pamiętam, jak przywieźli zabitego męża tej gospodyni, u której mnie zostawił. Tłukła wtedy głową o stół ze stojącą na nim trumną i powtarzała ciągle: „Herody”.

Ojca długo, długo nie było, a ja czekałem na niego i myślałem: „Nie mam mamy, gdzieś daleko są babcia i dziadek, i co ja, taki mały, zrobię, jeśli ojca przywiozą saniami, nieżywego?”. Nim ojciec wrócił, wydało mi się, że minęła wieczność. A kiedy czekałem, dałem sobie słowo, że będę mówił do niego przez „pan”. Chciałem w ten sposób pokazać, jak go kocham, jak tęsknię, i to, że mam tylko jego. Początkowo ojciec chyba nie zauważył, jak się do niego zwracam, a potem zapytał: „Dlaczego mówisz mi »pan«?”. Powiedziałem mu wtedy, co sobie przyrzekłem i dlaczego. A on mi wyjaśnił: „Ja też mam tylko ciebie i dlatego musimy być na ty. Bo jesteśmy dla siebie najbliższymi ludźmi”. Poprosiłem go jeszcze, żebyśmy się nigdy nie rozstawali. „Jesteś już dorosły, jesteś mężczyzną” – tłumaczył mi.

Zapamiętałem ojcowską troskę. Kiedy nas ostrzeliwano, leżeliśmy na chłodnej ziemi. Był kwiecień, trawa jeszcze nie wyrosła… Ojciec znalazł głębszy dołek i powiedział: „Kładź się na dół, ja będę na górze, jeśli mnie zabiją, ty będziesz żył”. W oddziale wszyscy o mnie dbali. Pamiętam, że starszy partyzant podszedł kiedyś, zdjął mi z głowy czapkę i długo mnie głaskał, mówiąc do ojca, że też ma takiego syna. A kiedy przedzieraliśmy się przez bagna, po pas w wodzie, ojciec spróbował mnie nieść na plecach, ale szybko się zmęczył. Wtedy partyzanci nieśli mnie po kolei. Nigdy tego nie zapomnę. Nie zapomnę, jak kiedyś znaleźli trochę szczawiu i cały mi oddali. A sami poszli spać głodni.

Kiedy tylko wyzwolono Homel, mnie i kilkoro innych dzieci partyzantów wysłano samolotem do tamtejszego domu dziecka. I tam ktoś wręczył mi pieniądze od ojca, duży czerwony banknot. Poszliśmy z kolegami na bazar i za to wszystko kupili cukierków. Dostaliśmy bardzo dużo, więc starczyło dla wszystkich. Wychowawczyni spytała: „Co zrobiłeś z pieniędzmi, które przekazał ojciec?”. Przyznałem się, że kupiłem cukierków… „I nic więcej?” – zdziwiła się.

Wyzwolono Mińsk… Przyjechał po mnie jakiś mężczyzna i powiedział, że odwiezie mnie do ojca. Do pociągu wsiedliśmy z trudem. Ten pan wsiadł, a mnie podali mu przez okno.

Kiedy spotkaliśmy się z ojcem, poprosiłem go znowu, żebyśmy się już nigdy, nigdy nie rozstawali, bo w samotności jest źle. Pamiętam, że powitał mnie nie sam, ale z nową mamą. Objęła mnie za głowę i przytuliła, a ja tak byłem złakniony matczynych pieszczot i tak dobrze się poczułem, że od razu w samochodzie usnąłem. W jej objęciach.

Kiedy miałem dziesięć lat, poszedłem do pierwszej klasy. A ponieważ byłem duży i umiałem czytać, pół roku później przenieśli mnie do klasy drugiej. Czytać umiałem, ale pisać nie. Wezwano mnie do tablicy, trzeba było napisać słowo z literą „u”. Stałem i z przerażeniem uświadomiłem sobie, że nie wiem, jak się pisze „u”. A już umiałem strzelać… Dobrze strzelałem…

Któregoś dnia nie znalazłem w szafie pistoletu ojca. Przetrząsnąłem całą szafę, ale pistoletu nie było.

– Jak to tak, co teraz będziesz robił? – spytałem ojca, kiedy wrócił z pracy.

– Będę uczył dzieci – odrzekł.

Zdziwiłem się… Myślałem, że praca to tylko wojna…

Prosisz, żebym cię zastrzelił…

Wasia Bojkaczow – 12 lat
Obecnie – specjalista do spraw szkolenia zawodowego

Zima czterdziestego pierwszego roku… Długo ją wspominałem… To były ostatnie dni mojego dzieciństwa…

W czasie wakacji zimowych cała nasza szkoła wzięła udział w grze wojennej. Przedtem uczyliśmy się musztry, strugali drewniane karabiny, szyli płaszcze maskujące, ubrania dla sanitariuszy. Dowództwo z jednostki wojskowej przyleciało samolotami – kukuruźnikami. Wpadliśmy w absolutny zachwyt!

A w czerwcu już latały nad nami niemieckie samoloty i zrzucały szpiegów. To byli ludzie w wieku od dwudziestu dwóch do dwudziestu sześciu lat, w szarych kraciastych marynarkach i czapkach. Razem z dorosłymi złapaliśmy kilku takich i zaprowadzili do rady wiejskiej. Bardzo byliśmy dumni, że braliśmy udział w operacji wojskowej, przypominało nam to grę zimową. Lecz wkrótce pojawili się inni… Nie mieli kraciastych marynarek i czapek, ale zielone mundury z podwiniętymi rękawami, chodzili w butach z szerokimi cholewami, podkutymi obcasami, na plecach mieli plecaki z cielęcej skóry, u boku długie puszki masek gazowych i automaty przewieszone przez ramię. Ciężcy, najedzeni. Śpiewali i wołali: „Cwaj monat Moskwa kaput”. Ojciec mi wytłumaczył, że te „cwaj monat” to dwa miesiące… Tylko dwa miesiące? Tylko tyle? Ta wojna wcale nie przypominała tamtej, w którą niedawno się bawiliśmy i która mi się podobała.

W pierwszych dniach Niemcy nie zatrzymali się w naszej wsi Malewicze, jechali do stacji Żłobin. Pracował tam mój ojciec, ale już na stację nie chodził – spodziewał się, że lada chwila wróci nasze wojsko i wypędzi Niemców z powrotem za granicę. Wierzyliśmy ojcu i też oczekiwali na-

szych. Czekaliśmy ich każdego dnia. A oni… Nasi żołnierze leżeli dookoła: na drogach, w lesie, w rowach, w polu… W ogrodach… W torfowych dołach… Leżeli martwi. Razem ze swoimi karabinami. Ze swoimi granatami. Było ciepło, a oni puchli od tego ciepła, wydawało się, że przybywa ich z każdym dniem. Cała armia. Nikt ich nie grzebał…

Ojciec zaprzągł konia i pojechaliśmy w pole. Zaczęliśmy zbierać zabitych… Kopaliśmy doły i kładli tam rzędami po dziesięciu, po dwunastu… Moja szkolna teczka wypełniła się dokumentami. Z adresów wynikało, że żołnierze pochodzili z obwodu kujbyszewskiego, z Uljanowska.

Po kilku dniach znalazłem za wsią zabitego ojca i mojego wiernego przyjaciela, czternastoletniego Wasię Szewcowa. Wasia był trzykrotnie przebity bagnetem. Tamtego dnia pojechali beze mnie zbierać zabitych…

Przyjechaliśmy z dziadkiem w to miejsce… Ale zaczęło się bombardowanie, nie zdołaliśmy więc pogrzebać ojca. A kiedy się skończyło, nie mieliśmy kogo chować. Nie było śladu po ojcu. Postawiliśmy krzyż na cmentarzu i tyle. Pod nim zakopaliśmy świąteczny garnitur ojca…

Po tygodniu już nie sposób było zbierać żołnierzy. Nie sposób było podnieść… Pod bluzami chlupała woda… Zbieraliśmy ich karabiny. Książeczki wojskowe.

Dziadek zginął w czasie bombardowania…

Jak teraz żyć? Jak żyć bez ojca. Bez dziadka? Mama ciągle płakała. Co robić z bronią, którą zebraliśmy i zakopali w bezpiecznym miejscu? Komu ją oddać? Nie było się kogo poradzić. Mama płakała.

Zimą nawiązałem kontakt z ludźmi podziemia. Ucieszyli się z mojego podarunku. Broń przekazali partyzantom…

Minął jakiś czas, ale jaki dokładnie, nie wiem. Może ze cztery miesiące. Pamiętam, że tamtego dnia zbierałem na polu zmarznięte zeszłoroczne kartofle. Wróciłem do domu mokry, głodny, ale przyniosłem pełne wiadro. Ledwie zdjąłem przemoknięte łapcie, gdy rozległo się stukanie w pokrywę piwnicy, w której mieszkaliśmy. Ktoś zapytał: „Bojkaczow jest?”. Kiedy ukazałem się w otworze piwnicy, kazano mi wyjść. W pośpiechu włożyłem budionówkę zamiast uszanki, za co od razu dostałem batem.

Koło piwnicy stały trzy konie, na których siedzieli Niemcy i policaje[14]. Jeden z policajów zlazł z konia, narzucił mi pasek na szyję i przytroczył do siodła. Matka zaczęła prosić: „Pozwólcie, żebym dała mu jeść”. Weszła do piwnicy po placek z tych zmarzniętych kartofli, ale tamci chlasnęli konie

batem i kłusem odjechali. Ciągnęli mnie tak pięć kilometrów do osiedla Wiesiołyj.

Na pierwszym przesłuchaniu oficer hitlerowski zadawał zwyczajne pytania: nazwisko, imię, rok urodzenia… Kim są ojciec i matka? Tłumaczem był młody policaj. Na końcu przesłuchania powiedział: „Zaraz pójdziesz i sprzątniesz izbę tortur. Przypatrz się tam dobrze ławce…”. Dali mi wiadro wody, miotełkę, szmatę i zaprowadzili…

Zobaczyłem tam straszny widok: pośrodku stała szeroka ława z przybitymi do niej pasami. Trzy pasy – żeby przywiązać człowieka za szyję, za lędźwie i za nogi. W kącie stały grube kije brzozowe i wiadro wody, zabarwionej na czerwono. Na podłodze były kałuże krwi… Moczu… Kał…

Nosiłem wodę i nosiłem. Szmata, którą myłem podłogę, nadal była czerwona.

Rano oficer znowu mnie wezwał: „Gdzie jest broń? Z kim z podziemia utrzymujesz łączność? Jakie ci przydzielono zadania?” – pytania sypały się jedne po drugich.

Zaprzeczałem, mówiłem, że nic nie wiem, jestem jeszcze mały, a w polu zbierałem nie broń, tylko zmarznięte kartofle. „Do piwnicy z nim” – powiedział oficer do żołnierza.

Spuścili mnie do piwnicy z zimną wodą. Przedtem pokazali mi partyzanta, którego dopiero co stamtąd wyciągnęli. Nie wytrzymał tortury i utonął… A teraz leżał na ulicy…

Stałem po szyję w wodzie… Czułem, jak mi bije serce, jak płynie krew w żyłach i ogrzewa otaczającą mnie wodę. Myślałem tylko, żeby nie stracić przytomności. Nie zachłysnąć się. Nie utonąć.

Następne przesłuchanie: lufa pistoletu przytknięta do mojego ucha, wystrzał – trzasnęła sucha deska w podłodze. Strzelili w podłogę! Cios kijem w kark, upadam… Nade mną stoi ktoś wielki i ciężki, roztacza zapach kiełbasy i samogonu. Mdli mnie, ale nie mam czym wymiotować. Słyszę: „Zaraz wyliżesz to, co wyrzygasz na podłogę… Językiem, rozumiesz? Rozumiesz, czerwone nasienie?!”.

W celi nie zasypiałem, traciłem przytomność z bólu. Czasem wydawało mi się, że stoję na apelu w szkole i nauczycielka Lubow Iwanowna Łaszkiewicz mówi: „Jesienią, dzieci, przyjdziecie do piątej klasy, a teraz – do widzenia. Przez lato wszystkie podrośniecie. Wasia Bojkaczow jest teraz najniższy, ale będzie najwyższy”. Lubow Iwanowna się uśmiecha…

To znów jestem z ojcem na polu, szukamy naszych zabitych żołnierzy. Ojciec poszedł naprzód, a ja znajduję pod sosną człowieka… Któregoś dnia znalazłem nie człowieka, ale to, co z niego zostało… Było to w pierwszych dniach. Prosił: „Nie mam nóg, nie mam rąk, zastrzel mnie, synku…”. Ktoś zdążył go opatrzyć, ale nie zdążyli go zabrać. Przerażony uciekłem. Zawołałem ojca…

Staruszek, który leżał obok w celi, budzi mnie:

– Nie krzycz, synku.

– A co ja krzyczę?

– Prosisz, żebym cię zastrzelił…

Minęły dziesiątki lat, a ja ciągle się dziwię. Naprawdę żyję?!

To uczucie mnie nie opuszcza…

A nie miałam nawet chustki…

Nadia Gorbaczowa – 7 lat
Obecnie – pracownik telewizji

W wojnie ciekawi mnie to, czego nie da się wytłumaczyć… Do dzisiaj wiele o niej myślę…

Nie pamiętam tej chwili, kiedy ojciec szedł na wojnę…

Bo nic nam nie powiedzieli. Pożałowali nas. Ojciec zaprowadził nas rano do przedszkola. Wszystko odbyło się jak zwykle. Wieczorem oczywiście spytałyśmy, dlaczego nie ma ojca, ale mama nas uspokoiła: „Wkrótce wróci. Za kilka dni”.

Pamiętam drogę… Jechały samochody, na skrzyniach muczały krowy, kwiczały świnie, na jednej z ciężarówek jakiś chłopiec trzymał kaktus, a wstrząsy miotały nim od burty do burty… Wydawało się, że tak biega, a mnie i siostrę to śmieszyło. Patrzyłyśmy na pola, widziałyśmy motyle. Podobała nam się ta jazda. Mama nas pilnowała, siedziałyśmy pod jej „skrzydłami”. W świadomości tkwiło przekonanie, że wprawdzie zdarzyło się nieszczęście, ale jest z nami mama, i tam, dokąd jedziemy, wszystko będzie dobrze. Chroniła nas przed bombami, przed rozmowami wystraszonych dorosłych, od wszelkiego złego. Gdybyśmy mogły czytać z twarzy mamy, to wyczytałybyśmy z niej wszystko. Ale ja nie pamiętam twarzy mamy, pamiętam wielką ważkę, która usiadła na karku siostrze. Gdy zawołałam: „Samolot!”, dorośli nie wiadomo czemu zeskoczyli z wozów i zadarli głowy do góry.

Przyjechaliśmy do dziadka, do wsi Horodec w rejonie siennieńskim. Dziadek miał wielką rodzinę, zamieszkaliśmy w letniej kuchni. Zaczęto nas nazywać „letnikami”, i tak zostało do końca wojny. Nie pamiętam, żebyśmy się bawiły, w każdym razie w żadne letniskowe zabawy. Mały braciszek do-

rastał, nosiłyśmy go na rękach, bo mama kopała, sadziła, szyła. Zostawiała nas same – musiałyśmy umyć łyżki, talerze, wyszorować podłogi, dorzucać do pieca, nazbierać chrustu na następny dzień, przynieść wody, przy czym nosiłyśmy po pół wiadra, bo pełnego byśmy nie udźwignęły. Wieczorem mama wyznaczała: „Ty będziesz dyżurną w kuchni, ty – przy bracie”. Każda odpowiadała wtedy za swoją działkę.

Chociaż cierpiałyśmy głód, to przygarnęłyśmy kota, a po nim psa. To byli członkowie rodziny, wszyscy dzieliliśmy się z nimi po równo. Kiedy dla kota i psa brakowało jedzenia, to po kryjomu każda z nas starała się zostawić kawałek i dla nich. A kiedy kot zginął od odłamka, to wydawało się nam, że nie zniesiemy jego straty. Płakałyśmy dwa dni. Grzebaliśmy go uroczyście, z płaczem. Postawiłyśmy krzyżyk, posadziły kwiaty, podlewały.

Nawet teraz, jak sobie przypomnę, ileśmy wtedy łez wylały, to nie jestem w stanie sprawić sobie kota. Kiedy córka była mała, prosiła mnie, żebyśmy kupili psa. Ale ja nie chciałam.

A potem coś się z nami stało… Przestałyśmy się bać śmierci…

Nadjechały wielkie niemieckie samochody, wypędzono nas wszystkich z domów. Ustawili i odliczają: „Ajn, cwaj, draj…”. Mama była dziewiąta, a dziesiąty był nasz sąsiad – został rozstrzelany… Mama trzymała naszego braciszka, a wtedy wypadł jej z rąk.

Zapamiętywałam zapachy… Kiedy teraz widzę hitlerowców w filmie, to czuję zapach żołnierzy… Skóry, dobrego materiału, potu…

Nie mówiliśmy o śmierci. W naszej rodzinie staraliśmy się jak najmniej mówić o śmierci. Była taka umowa. Śmierć była wszędzie…

Siostra tamtego dnia dyżurowała przy bracie, a ja pełłam w ogródku. Jak się pochyliłam, to w kartoflach nie było mnie widać… Wie pani, w dzieciństwie wszystko wydaje się duże i wysokie. Kiedy dostrzegłam samolot, to już krążył nade mną, a ja zupełnie wyraźnie widziałam lotnika. Jego młodą twarz. Krótka seria z karabinu – bach, bach! Samolot znowu zawraca… Nie chciał mnie zabić, po prostu tak się zabawiał. Już wtedy, dziecięcym umysłem to pojęłam. A nie miałam nawet chustki, żeby się osłonić…

No i co to było? Jak to wytłumaczyć? Ciekawe, czy tamten lotnik żyje? Co wspomina i jak o tym opowiada? Jakimi słowami?

Powtarzam… W wojnie ciekawi mnie to, czego się nie da wytłumaczyć… Nie przestaję o niej myśleć…

Kiedy mijała ta chwila, kiedy się wszystko rozstrzygało – zginiesz od kuli albo umrzesz ze strachu, następowała strefa neutralna – jedno nieszczęście minęło, a o drugim ludzie jeszcze nie wiedzą. Wtedy było wiele śmiechu, zaczynaliśmy sobie docinać, żartować z siebie nawzajem: kto gdzie się chował, jak uciekaliśmy, jak leciała kula, ale nie trafiła. Dobrze to pamiętam. Nawet my, dzieci, zbierałyśmy się i natrząsały jedno z drugiego – kto się przestraszył, a kto nie. Śmiałyśmy się i płakały równocześnie.

Wspominam wojnę, żeby zrozumieć… Bo inaczej po co wspominać?

Mieliśmy dwie kury. Kiedy im mówiliśmy: „Cicho! Niemcy!”, to były cicho. Cichuteńko siedziały z nami pod łóżkiem, żadna nie gdaknie. Potem często widywałam w cyrku tresowane kury i w ogóle to mnie nie dziwiło. A nasze w dodatku sumiennie znosiły jajka w skrzynce pod łóżkiem – dwa na dzień. Czuliśmy się tacy bogaci!

Mimo wszystko ustrajaliśmy jakąś choinkę na Nowy Rok. Oczywiście mama pamiętała, że jesteśmy jeszcze dziećmi. Z książek wycięliśmy jasne obrazki, porobiliśmy kulki z papieru: jeden bok biały, drugi czarny, girlandy ze starych nici. I tego dnia wszyscy się do siebie częściej uśmiechali, zamiast prezentów (tych nie było) zostawialiśmy pod choinką liściki.

W tych liścikach pisałam do mamy: „Mamulko, bardzo cię kocham. Bardzo, bardzo!”. Obdarowywaliśmy się słowami.

Minęły lata… Przeczytałam mnóstwo książek… Ale o wojnie dowiedziałam się nie więcej niż wtedy, kiedy byłam dzieckiem. I o tym chciałam opowiedzieć…

Nie było z kim się bawić na ulicy…

Wala Nikitienko – 4 lata
Obecnie – inżynier

W pamięci dziecka wszystko utrwala się jak w albumie. Poszczególnymi zdjęciami…

Mama prosi: „Biegniemy, biegniemy… Uciekamy, uciekamy…”. Ma zajęte ręce. A ja grymaszę: „Nóżki mnie bolą”. Trzyletni braciszek szturcha mnie i mówi: „Usiekamy, bo Niemci naś dogonią” (tak mówił wtedy). I rzeczywiście, „usiekamy” w milczeniu.

Kiedy słyszę bomby, wciskam twarz w lalkę, a lalka już nie ma nóg ani rąk. Płaczę i proszę, żeby mama ją opatrzyła…

Ktoś przyniósł mamie ulotkę… Już wiem, co to jest… To taki wielki list z Moskwy, dobry list. Mama z babcią rozmawiają, a ja wiem, że nasz wujek jest u partyzantów. W sąsiedztwie mieszkała rodzina policaja. I wiecie, jak to u dzieci: wyjdą i każde się chwali swoim tatą. Ich chłopczyk mówi: „Mój tato ma automat…”. Ja też chciałam się pochwalić: „A nam wujek przyniósł ulotkę…”.

Usłyszała mnie matka policaja. Przyszła do mamy i ostrzegła, że gdyby któreś z dzieci powtórzyło to jej synowi, znaleźlibyśmy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Mama woła mnie do domu i prosi:

– Córeczko, nie będziesz o tym więcej mówić, dobrze?

– Będę!

– Nie wolno o tym opowiadać.

– On może, a ja nie?

Wtedy ona wyciągnęła rózgę z miotełki, ale żal jej mnie było bić. Postawiła mnie do kąta.

– Nie będziesz, dobrze? Bo mamusię zabiją.

– Wujek przyleci samolotem z lasu i cię uratuje.

No i tak zasnęłam w tym kącie…

Nasz dom się pali, wynoszą mnie zaspaną na rękach. Płaszczyk i buty się spaliły. Chodzę w garsonce mamy – długiej do ziemi.

Mieszkamy w ziemiance. Kiedyś wygramoliłam się z niej i poczułam zapach pszennej kaszy, omaszczonej słoniną. Do dzisiaj nie ma dla mnie smaczniejszej potrawy niż kasza pszenna ze słoniną. Ktoś krzyczy: „Nasi przyszli!”. W ogródku cioci Wasilisy – tak mówi na nią mama, a dzieci wołają „babcia Wasia” – stoi kuchnia polowa. Dają nam kaszę w kociołkach, pamiętam dokładnie, że w kociołkach. Nie wiem, jakeśmy ją jedli, bo łyżek nie było…

Dają mi mleka, a ja już przez wojnę zdążyłam zapomnieć jego smak. Nalali do kubka, ale upadł mi i się rozbił. Płaczę i wszyscy myślą, że to z powodu rozbitego kubka. Ja jednak martwiłam się, że wylałam mleko. Bałam się, że mi więcej nie dadzą, a było takie dobre.

Po wojnie zaczęły się choroby. Chorowały wszystkie, wszystkie dzieci. Częściej niż podczas wojny. Ciekawe, prawda?

Epidemia dyfterytu… Dzieci umierają. Zamknęli mnie, ale uciekłam, żeby pójść na pogrzeb chłopców od sąsiadów – bliźniaków, z którymi się bawiłam. Stoję przy ich trumienkach w maminej garsonce i boso. Mama wyciąga mnie stamtąd za rękę. Obie z babcią myślały, że i ja zarażę się dyfterytem. Ale nie, tylko kaszlałam.

W końcu dzieci zniknęły ze wsi. Nie miałam z kim się bawić na ulicy…

Otworzyła okno… I oddała listki wiatrowi…

Zoja Mażarowa – 12 lat
Obecnie – pracownik poczty

Przez całą wojnę widywałam anioła… Choć nie od razu się pojawił…

Pierwszy raz się pokazał… Przyszedł do mnie we śnie, kiedy wieziono nas do Niemiec. W wagonie… A tam nie było ani gwiazdki, ani kawałka nieba. A on przyszedł. Mój anioł…

Pani się mnie nie boi? Tego, co mówię?… Bo ja taka jestem… Raz usłyszę głosy, innym razem zobaczę anioła… Jak zacznę opowiadać, to niektórzy prędko przestają słuchać. Boją się mnie. Rzadko proszą mnie na święta w gości. Nawet sąsiedzi. Bo ja opowiadam i opowiadam… Może dlatego, że się zestarzałam? Jak zacznę, to nie mogę skończyć…

W czasie wojny… Zaczynam od początku… Pierwszego roku mieszkałam z mamą i z tatą. Orałam i żęłam, kosiłam i młóciłam. Wszystko oddawaliśmy Niemcom – ziarno, kartofle, groch. Przyjeżdżali do nas konno jesienią. Chodzili po podwórzach i pobierali… Jak to się mówi? Zapomniałam tego słowa… Czynsz. Nasi policaje też z nimi chodzili, wszystkich znaliśmy. Byli z sąsiedniej wsi. Tak żyliśmy. Można powiedzieć, że przywykliśmy. Mówili nam, że Hitler jest już pod Moskwą. Pod Stalingradem.

Nocami przychodzili partyzanci… Ci mówili co innego: Stalin za nic nie odda Moskwy… Stalingradu też nie odda…

A myśmy żyli… Orali i żęli… Wieczorami w dni wolne czy w święta urządzaliśmy tańce. Tańczyliśmy na ulicy. Mieliśmy harmonię.

Pamiętam, co się stało w Niedzielę Palmową… Nałamaliśmy bazi, poszli do cerkwi. Zebraliśmy się na ulicy. Czekamy na harmonistę. Wtedy przyjechali Niemcy. Wielkimi krytymi ciężarówkami. Mieli owczarki, wszystkie czarne, złe. Otoczyli nas i kazali włazić na ciężarówki. Popychają nas kol-

bami. Ludzie płaczą, krzyczą… Zanim przybiegli nasi rodzice, byliśmy już na skrzyni. Pod plandeką. Niedaleko naszej wsi była stacja kolejowa i tam nas zawieźli. Policaj ciągnie mnie do wagonu, a ja się wyrywam. Wtedy złapał mnie za warkocz, owinął go sobie wokół ręki i mówi:

– Nie drzyj się, głupia. Führer uwolni was od Stalina.

– A po co my tam, na tej obczyźnie?

Już przedtem nas agitowali, żebyśmy jechali do Niemiec. Obiecywali piękne życie.

– Pomożecie niemieckiemu narodowi zwyciężyć bolszewizm.

– Chcę do mamy.

– Będziesz mieszkała pod dachem krytym dachówką i jadła czekoladowe cukierki.

– Ja do mamy…

Oooj! Gdyby człowiek znał swój los, to nie dożyłby ranka.

Załadowali nas i powieźli. Jechaliśmy długo, ale jak długo, nie wiem. W moim wagonie wszyscy byli z naszego obwodu, witebskiego. Z różnych wsi. Wszyscy młodzi albo tacy jak ja, małoletni. Pytali mnie:

– A ty jak tu trafiłaś?

– Z tańców.

Z głodu i strachu traciłam przytomność. Leżę. Zamykam oczy. I wtedy pierwszy raz… Tam… Zobaczyłam anioła… Anioł był mały, skrzydełka też miał małe. Jak ptaszek. Widzę jednak, że chce mnie ocalić. „Jakże on mnie ocali – myślę – skoro jest taki malutki?” To był pierwszy raz, kiedy go zobaczyłam…

Pragnienie… Każdego z nas męczyło pragnienie, cały czas chciało się pić. Wszystko w środku wysychało, i to tak, że język wychodził na wierzch, nie można go było schować. W dzień jechaliśmy z wywalonymi językami. Z otwartymi ustami. Nocą było trochę lżej.

Będę to zawsze pamiętać… W życiu nie zapomnę…

W kącie stały wiadra. Tam chodziliśmy za małą potrzebą, kiedy jechaliśmy. I jedna dziewczynka… Dopełzła do tych wiader, objęła rękami jedno z nich, przywarła do niego i zaczęła pić. Piła dużymi łykami… A potem zaczęło ją skręcać… Zwymiotuje i znowu do tego wiadra… Potem znowu wymiotuje…

Oooj! Gdyby człowiek zawczasu znał swój los…

Zapamiętałam miasto Magdeburg… Tam nas ostrzygli na zero i wysmarowali ciała białym roztworem. Profilaktycznie. Od tego płynu paliła nas skóra, piekła żywym ogniem. Złaziła. Nie daj Boże! Nie chciałam żyć… Już nikogo mi nie było szkoda: ani siebie, ani mamy, ani taty. A jak podniosłam oczy, to dookoła widziałam tych z owczarkami. Miały straszne oczy. Pies nigdy nie patrzy człowiekowi w oczy, odwraca wzrok, a te patrzyły. Prosto w oczy… Odechciało mi się żyć… Jechała ze mną znajoma dziewczynka, którą zabrali razem z mamą. Nie wiem, jak to się stało, może mama wskoczyła za nią na samochód… Nie wiem…

Zawsze będę to pamiętała… W życiu nie zapomnę…

Ta dziewczynka stała i płakała, bo zgubiła mamę, kiedy nas pędzili na tę profilaktykę. Jej mama była młoda… Młoda i ładna… A myśmy jechali zawsze po ciemku – nikt nie otwierał drzwi, wagony były bez okien, towarowe. Przez całą drogę nie widziała mamy. Cały miesiąc. Stoi, płacze, a tu jakaś stara kobieta, też ostrzyżona na zero, wyciąga do niej ręce, chce ją pogłaskać. A ona od niej ucieka, dopóki ta nie zawoła: „Córeczko!”. I dopiero po głosie poznała, że to jej mama.

Ojojoj! Gdyby… Gdyby to człowiek wiedział…

Cały czas chodziliśmy głodni. Nie zapamiętałam ani tego, gdzie byłam, ani dokąd mnie wieźli… Nazw, nazwisk… Z głodu żyliśmy jak we śnie…

Pamiętam, że ciągnęłam jakieś skrzynie w fabryce amunicji i prochu. Wszystko tam pachniało zapałkami. Zapach dymu… Dymu nie było, ale się go czuło…

Pamiętam, że doiłam krowy u jakiegoś bauera. Rąbałam drwa… Po dwanaście godzin na dobę…

Dawali nam do jedzenia łupiny od kartofli, rzepę pastewną, a do picia herbatę z sacharyną. Tę herbatę odbierała mi dziewczyna, z którą razem pracowałam. Ukrainka. Była ode mnie starsza i silniejsza. Mówiła: „Muszę przeżyć. Moja mama została sama w domu”.

Śpiewała w polu ładne ukraińskie pieśni. Bardzo ładne.

Ja… Za jednym razem… Przez jeden wieczór nie opowiem wszystkiego. Nie zdążę. Sama nie wytrzymam…

Gdzie to było? Nie pamiętam… Ale to już było w obozie… To widocznie już trafiłam do Buchenwaldu…

Tam rozładowywaliśmy samochody z trupami i układali je w stosy, warstwami – warstwa trupów, warstwa osmalonych pokładów. Jedna warstwa,

druga… I tak od rana do nocy… Szykowaliśmy ogniska. Ogniska z… No, wiadomo… Z trupów… A wśród tych martwych trafiali się i żywi, którzy chcieli nam coś powiedzieć. Coś mówili. Ale nam nie wolno się było przy nich zatrzymywać, żeby chociaż posłuchać…

Ojojoj! Ludzkie życie… Nie wiem, czy łatwo żyje się drzewu, w ogóle wszelkiej istocie, którą człowiek oswoił. Bydlęciu, ptactwu domowemu… Ale o człowieku wiem…

Chciałam umrzeć, już mi nikogo nie było żal… Zbierałam się do tego, już, już szukałam noża… Nocą do mnie przylatywał anioł… Nie pamiętam, jakimi słowami mnie pocieszał, ale to były miłe słowa. Długo mnie namawiał… Kiedy opowiadałam innym o swoim aniele, wszyscy myśleli, że zwariowałam. Nikogo ze znajomych już dawno przy mnie nie było, dookoła sami obcy ludzie. Nieznajomi. Nikt nie chciał z nikim się poznawać, bo następnego dnia jeden albo drugi miał umrzeć. Po co zawierać znajomości? Ale kiedyś polubiłam małą dziewczynkę… Maszeńkę… Miała jasne włosy, taka spokojna. Przyjaźniłyśmy się przez miesiąc. W obozie miesiąc to całe życie, to wieczność. Pierwsza do mnie podeszła.

– Masz ołówek?

– Nie.

– A kawałek papieru?

– Też nie. A po co ci?

– Wiem, że niedługo umrę, więc chcę napisać list do mamy.

W obozie to było zabronione, nie wolno było mieć ołówków ani papieru. Ale dla niej znaleźliśmy. Wszystkim się podobała, taka jasnowłosa, spokojna. I cicho mówiła.

– Jakże ty poślesz list? – zapytałam.

– Otworzę w nocy okno… I oddam papierek wiatrowi…

Nie wiem… Miała może osiem lat, a może dziesięć. Jak to poznać po kostkach? Tam nie było ludzi, tylko szkielety… Wkrótce potem zachorowała, nie mogła wstawać ani chodzić do pracy. Prosiłam ją… Pierwszego dnia nawet dociągnęłam ją do drzwi, a ona zawisła na drzwiach, nie mogła iść. Dwa dni leżała, trzeciego dnia przyszli po nią i wynieśli ją na noszach. Wyjście z obozu było jedno – przez komin… Wszyscy to wiedzieliśmy. Od razu do nieba…

Zawsze będę to pamiętała… W życiu nie zapomnę…

Kiedy zachorowała, nocą rozmawiałyśmy:

– Do ciebie przylatuje anioł?

Chciałam jej opowiedzieć o swoim aniele.

– Nie, do mnie przychodzi mama. Zawsze w białej bluzce. Pamiętam tę bluzkę, białą z wyszytymi bławatkami.

Jesienią… Dożyłam do jesieni… Jakim cudem? Nie wiem… Rano wygnali nas do pracy w polu. Zbieraliśmy marchew, ścinali kapustę, a ja lubiłam tę pracę. Już dawno nie wychodziłam w pole, nie widziałam nic zielonego. W obozie nie widać nieba, nie widać ziemi, bo zasłania je dym. Komin jest wysoki, czarny. Dym buchał z niego dniem i nocą… W polu zobaczyłam żółty kwiatek, a już zdążyłam zapomnieć, jak wyglądają kwiaty. Pogłaskałam kwiatek… I inne kobiety też pogłaskały. Wiedziałyśmy, że przywozi się tutaj popiół z naszego krematorium, a każdej z nas ktoś zginął. Jednej siostra, innej mama… A mnie – Maszeńka…

Gdybym wiedziała, że przeżyję, spytałabym o adres jej mamy… Ale nie sądziłam…

Jak przeżyłam, skoro umierałam ze sto razy? Nie wiem… To anioł mnie uratował. Wymodlił. On nawet teraz się pojawia, wybiera takie noce, żeby księżyc jasno świecił przez okno. Białym blaskiem…

A pani nie czuje strachu, jak ze mną rozmawia? Nie boi się mnie słuchać?…

Ojojoj…

Kopcie tutaj…

Wołodia Barsuk – 12 lat
Obecnie – przewodniczący Białoruskiej Republikańskiej Rady Towarzystwa Sportowego „Spartak”

Od razu poszliśmy do partyzantki… Całą rodziną: tata, mama i ja z bratem.

Brat był starszy. Dali mu karabin. Zazdrościłem mu, brat uczył mnie strzelać.

Kiedyś nie wrócił z zadania… Mama długo nie chciała wierzyć, że zginął. Do oddziału dotarła wieść, że grupa partyzantów, którą otoczyli Niemcy, wysadziła się w powietrze miną przeciwpancerną, żeby nie dać się wziąć żywcem. Mama podejrzewała, że był tam i nasz Aleksandr. Nie posłano go z tamtą grupą, ale mógł ją spotkać. Poszła do dowódcy oddziału i mówi: „Czuję, że tam leży mój syn. Pozwólcie mi tam pojechać”.

Przydzielili jej kilku partyzantów i pojechaliśmy. A jednak co znaczy serce matki! Miejscowi ludzie już pochowali poległych. Partyzanci zaczynają kopać w jednym miejscu, a mama pokazuje inne: „Kopcie tutaj…”. Zaczynają tam kopać i znajdują brata, chociaż był już nie do rozpoznania, cały poczerniały. Mama rozpoznała jego grzebień w kieszeni, a na ciele – szew po operowanym wyrostku.

Zawsze wspominam swoją mamę…

Pamiętam, kiedy pierwszy raz zapaliłem skręta. Zobaczyła, zawołała ojca.

– Popatrz tylko, co robi nasz Wowka!

– A co robi?

– Pali.

Ojciec podszedł do mnie, popatrzył.

– Niech pali. Po wojnie porozmawiamy.

Podczas wojny ciągle wspominaliśmy, jakeśmy żyli przed wojną. A żyliśmy razem, kilka spokrewnionych rodzin w jednym dużym domu. Żyło się wesoło i w zgodzie. Ciocia Lena w dniu wypłaty kupowała bardzo dużo ciastek i serów, zbierała wszystkie dzieci i częstowała. Ciocia zginęła, zginęli jej mąż i syn. Zginęli wszyscy moi wujowie…

Wojna się skończyła… Zapamiętałem, jak szliśmy ulicą i mama niosła kartofle. Dostała trochę w fabryce, gdzie pracowała. Z ruin wychodzi do nas jeniec niemiecki, który tam pracował przy budowie.

– Muter, bite kartofel…

Mama odpowiada:

– Nie dam ci. Może to ty zabiłeś mojego syna?

Niemiec się speszył i nic nie mówi. Mama poszła… Potem wróciła, wyjęła parę kartofli i podała mu.

– Masz, jedz…

Teraz ja się speszyłem… Bo jak to? Zimą kilka razy jeździliśmy na zamarzniętych trupach Niemców, długo jeszcze znajdowaliśmy je za miastem. Zjeżdżaliśmy na nich jak na sankach… Mogliśmy kopać martwych… Skakać po nich… Nadal ich nienawidziliśmy.

A mama uczyła mnie kochać. To była moja pierwsza powojenna lekcja miłości…

Dziadka pochowaliśmy pod oknem…

Waria Wyrko – 6 lat
Obecnie – tkaczka

Zapamiętałam zimę, mroźną zimę… Zimą Niemcy zabili naszego dziadka…

Zabili go na podwórzu naszego domu. Przed bramą.

Pochowaliśmy go pod oknem…

Nie pozwolili nam pochować go na cmentarzu, bo uderzył Niemca. Policaje stali przy furtce i nikogo do nas nie puszczali. Ani krewnych, ani sąsiadów. Mama i babcia same zbiły trumnę z jakichś skrzyń. Same obmyły dziadka, chociaż bliscy nie powinni tego robić. Zawsze powinni to być obcy, takie są u nas zwyczaje. Pamiętam, jak w domu o tym rozmawiano… Same niosły trumnę… Doniosły do bramy… Tamci krzyknęli na nie: „Zawracać natychmiast! Bo wystrzelamy wszystkich! Chowajcie go jak psa, w swoim ogrodzie”.

I tak przez trzy dni… Kiedy dojdą do bramy, to je zawracają. Każą im wracać…

Trzeciego dnia babcia zaczęła kopać dół, pod oknem… Zimno, babcia całe życie potem wspominała, że na dworze było czterdzieści stopni. Bardzo trudno pogrzebać kogoś w taki mróz. Ja miałem wtedy z siedem lat, nie, chyba już osiem, to jej pomagałem. A mama wyciągnęła mnie z dołu z płaczem. Z krzykiem.

Tam, w tym miejscu, gdzie leży dziadek, wyrosła jabłoń. Stoi zamiast krzyża. Jest już stara…

Jeszcze łopatami przyklepali, żeby było ładnie

Leonid Szakinko – 12 lat
Obecnie – artysta plastyk

Kiedy nas rozstrzeliwali…

Zapędzili do domu brygadzisty… Całą wieś… Ciepły dzień, trawa ciepła. Jedni stali, inni siedzieli. Kobiety w białych chustach, dzieci boso. W tym miejscu, gdzie nas spędzono, zawsze zbierano się w święta. Śpiewaliśmy pieśni. Na zażynki[15], na dożynki. Wtedy też jedni siedzieli, inni stali. Odbywały się tam również wiece.

Tamtego dnia nikt nie płakał. Nikt nic nie mówił… Nawet wtedy to mnie zdumiało. Czytałem, że zwykle ludzie płaczą, krzyczą, przeczuwając śmierć, ale nie pamiętam, żeby ktoś wówczas zapłakał. Nikt nawet łzy nie uronił… Teraz, kiedy to wspominam, przychodzi mi na myśl, że może wtedy ogłuchłem i nic nie słyszałem. Dlaczego nie było płaczu?

Dzieci zbiły się w osobne stadko, chociaż nikt nas od dorosłych nie oddzielał. Z jakiegoś powodu nasze matki nie trzymały nas przy sobie. Dlaczego? Do dzisiaj nie mogę tego zrozumieć. Zazwyczaj my, chłopcy, nie zadawaliśmy się z dziewczynkami, uważaliśmy, że jak dziewczyna, to trzeba przylać, za warkocz potarmosić. A wtedy wszyscy się do siebie przytulili. Ma pani pojęcie? Nawet psy łańcuchowe nie szczekały.

O kilka kroków od nas ustawiono karabin maszynowy, przy nim usiadło dwóch żołnierzy SS i zaczęło o czymś spokojnie rozmawiać. Żartowali i nawet się roześmiali.

Zapamiętałem właśnie takie szczegóły…

Podszedł młody oficer. Tłumacz przełożył:

– Pan oficer chce, żebyście wymienili nazwiska tych, którzy mają kontakty z partyzantami. Jak nie powiecie, rozstrzelamy wszystkich.

Ludzie jak stali czy też siedzieli, tak nadal stali lub siedzieli.

– Trzy minuty i zostaniecie rozstrzelani – dodał tłumacz i podniósł do góry trzy palce.

Teraz cały czas patrzyłem na jego rękę.

– Dwie minuty i będziecie rozstrzelani…

Przycisnęliśmy się do siebie; niektórzy się porozumiewali, ale nie słowami, tylko na migi albo wzrokiem. Ja na przykład wyraźnie już widziałem tę chwilę, kiedy nas rozstrzelają i już nas nie będzie.

– Ostatnia minuta i koniec z wami…

Widziałem, jak żołnierz zdjął zamek, założył taśmę i chwycił karabin maszynowy w dłonie. Do jednych miał dwa metry, do innych dziesięć…

Spośród tych, którzy stali z przodu, Niemcy odliczyli czternaście osób. Dali im łopaty i kazali kopać dół. A nam kazali stanąć bliżej, żebyśmy patrzyli, jak tamci kopią… Kopali bardzo szybko… Kurz się unosił… Pamiętam, że dół był obszerny i głęboki, tak że stojący człowiek mógł się w nim schować. Takie doły kopie się pod fundamenty domu.

Rozstrzeliwali po trzech. Postawią na skraju dołu – i strzelają. Reszta patrzy… Nie pamiętam, żeby rodzice żegnali się z dziećmi albo dzieci z rodzicami. Jedna z matek podniosła rąbek spódnicy i zasłoniła oczy córce. Ale nawet małe dzieci nie płakały…

Niemcy rozstrzelali czternaście osób i zaczęli zakopywać dół. A myśmy nadal stali i patrzyli, jak zasypują grób, jak udeptują ziemię. A potem jeszcze łopatami przyklepali, żeby było ładnie. Starannie. Wie pani, nawet po rogach ścięli, wyrównali. Jeden starszy Niemiec wycierał chustką pot z czoła, tak jakby pracował w polu. Podbiegł do niego mały piesek… Nikt nie wiedział, skąd się wziął. Czyj był ten piesek? Niemiec go pogłaskał…

Po dwudziestu dniach pozwolili rodzinom wykopać zabitych, zabrać do siebie i pochować. Wtedy dopiero baby zaczęły krzyczeć, cała wieś podniosła lament.

Wiele razy naciągałem płótno na blejtram. Chciałem to namalować… Ale wychodziło co innego: drzewa, trawa…

Kupię sobie sukienkę z kokardą…

Pola Paszkiewicz – 4 lata
Obecnie – krawcowa

Kiedy miałam cztery lata, nigdy nie myślałam o wojnie…

Ale wojnę sobie wyobrażałam tak: wielki czarny las i tam jest jakaś wojna. Coś bardzo strasznego. Dlaczego w lesie? Dlatego że w bajkach najstraszniejsze rzeczy zawsze działy się w lesie.

Przez nasze Biełynicze wojsko szło i szło, ale wtedy nie wiedziałam, że to odwrót. Że nas zostawiają. Pamiętam, że w domu było dużo wojskowych, brali mnie na ręce. Żal im mnie było, chcieli czymś poczęstować, ale nie mieli czym. Rano, kiedy odchodzili, na parapetach i w ogóle wszędzie zostawili dużo naboi. I oderwane czerwone belki. Dystynkcje. A myśmy się nimi bawili… Nie wiedzieliśmy, co to jest… Jakie to zabawki…

A to już mi ciocia opowiedziała… Kiedy Niemcy weszli do naszego miasta, wiedzieli już, kto należy do partii. Na liście byli nasz ojciec i nauczyciel, który mieszkał naprzeciwko. Nauczyciel miał syna, z którym się bawiłam, mówiliśmy na niego Igruszka (zabawka). Pewnie miał na imię Igor, tak sobie teraz myślę. Bo w pamięci zostało tylko to imię, czy raczej przezwisko – Igruszka. Naszych tatusiów zabrali razem…

Mamę rozstrzelali na moich oczach… Na ulicy. Kiedy upadła, palto się rozchyliło i zaczerwieniło, a potem śnieg wokół mamy też zrobił się czerwony…

Potem długo trzymali nas w jakiejś szopie. To było straszne, płakaliśmy i krzyczeli. Miałam jeszcze siostrę i brata – siostra miała dwa i pół roku, braciszek rok, a ja – cztery lata, byłam najstarsza. Chociaż mali, wiedzieliśmy, kiedy rozrywa się pocisk, i że wtedy nie bomba leci z samolotu, tylko strzela artyleria. Po dźwięku rozpoznawaliśmy, jaki to samolot, nasz czy nie

nasz, czy bomba spadnie blisko, czy daleko od nas. Było strasznie, naprawdę strasznie, ale jak się schowa głowę, to już nie jest strasznie, najważniejsze, żeby nie widzieć.

Dalej jechaliśmy jakimiś saniami, cała trójka, i w jakiejś wsi kobiety nas wzięły do chałup. Braciszka nikt nie chciał wziąć, a on płakał: „A ja?”. Myśmy z siostrą się przestraszyły, że nas rozdzielą i że nie będziemy razem. Zawsze byłyśmy razem.

Kiedyś mnie omal nie zjadł owczarek. Kiedy siedziałam na parapecie i patrzyłam przez okno, ulicą jechali Niemcy, a z nimi dwa duże psy. Jeden z nich skoczył do okna i rozbił szybę. Zdążyli mnie ściągnąć z parapetu, ale tak się przeraziłam, że od tego dnia zaczęłam się jąkać. A wielkich psów nawet teraz się boję.

Po wojnie oddano nas do domu dziecka, położonego tuż przy szosie. Całymi dniami szli tą szosą jeńcy niemieccy. Było ich mnóstwo. Rzucaliśmy w nich kamieniami, grudkami ziemi. Eskorta przeganiała nas i krzyczała. Ku naszemu zdziwieniu…

W domu dziecka wszyscy czekali, aż przyjadą rodzice i zabiorą ich do domu. Kiedy przychodził nieznajomy pan albo pani, wszyscy biegli do nich i wołali:

– Mój tato! Moja mama!

– Nie, to mój tata!

– Przyszli po mnie!

– Nie, to po mnie przyszli!!

Bardzo zazdrościliśmy tym, których rodzice się odnaleźli. A oni nie pozwalali podejść do swojego taty i swojej mamy. Mówili: „Nie dotykaj, to moja mama” albo: „Nie dotykaj, to mój tato”. Nie puszczali ich od siebie nawet na chwilę, bali się, żeby im rodziców ktoś nie odebrał. Albo że znowu dokądś pójdą.

Uczyliśmy się w szkole razem – my z domu dziecka i zwyczajne dzieci. Wtedy wszystkim żyło się źle, ale tamte dzieci w płóciennych torbach przynosiły z domu kawałek chleba albo kartofel, a my nic. Wszystkich nas ubierano jednakowo, co nam nie przeszkadzało, póki byliśmy mali, ale kiedyśmy podrośli, zaczęło nas to martwić. Kiedy my, dziewczynki, miałyśmy dwanaście, trzynaście lat, chciałyśmy mieć ładne sukienki, pantofelki, a wszystkie chodziłyśmy w butach. Takich samych jak chłopcy. Chciałoby się mieć kolorową wstążkę we włosach, kredki. No i teczkę. Chcieliśmy

jeść cukierki, ale dostawaliśmy tylko lizaki na Nowy Rok. Dawali nam do syta czarnego chleba, a myśmy go ssali jak cukierki, taki smaczny nam się wydawał.

Mieliśmy młodą nauczycielkę, reszta to były starsze kobiety, więc tę jedną wszyscyśmy bardzo lubili. Lekcje się nie rozpoczęły, dopóki nie przyszła do szkoły. Siedzimy przy oknie i czekamy: „Idzieee! Iii-dzieeeee!!”. Wchodziła do klasy, a każdy chciał jej dotknąć i myślał: „Taka jest moja mama…”.

Marzyłam, że jak dorosnę, to będę pracować i kupię sobie dużo sukienek – czerwoną, zieloną, w groszki, z kokardą. A już z kokardą to koniecznie! W siódmej klasie zapytali: „Kim chcesz zostać?”. A ja już dawno zdecydowałam, że krawcową.

Szyję sukienki…

Jak to umarł?… Przecież dzisiaj nie strzelali…

Eduard Woroszyłow – 11 lat
Obecnie – pracownik telewizji

Tylko mamie opowiadałem o wojnie… Mojej mamie… Tylko bliskiej osobie…

We wsi, w której stacjonował nasz oddział partyzancki, umarł staruszek, a ja akurat mieszkałem w jego chacie. Kiedyśmy go chowali, wszedł siedmioletni chłopczyk i zapytał:

– Dlaczego dziadek leży na stole?

Odpowiedzieliśmy mu:

– Dziadek umarł…

Chłopczyk był strasznie zdziwiony.

– Jak to umarł?… Przecież dzisiaj nie strzelali…

Miał siedem lat, a od dwóch lat było tak, że jeśli ktoś umierał, to tylko kiedy strzelano.

Zapamiętałem to…

Zacząłem swoją opowieść od oddziału partyzanckiego, ale trafiłem tam nie od razu, tylko pod koniec drugiego roku wojny. Nie mówiłem o tym, jak tydzień przed wojną przyjechaliśmy z mamą do Mińska, a potem zawiozła mnie na obóz pionierów pod Mińskiem…

Na obozie śpiewaliśmy piosenki: *Jeśli jutro na bój*[16], *Trzej czołgiści*[17], *Dolinami i wzgórzami*[18]. Tę ostatnią bardzo lubił mój ojciec… Często ją śpiewał… A mnie się podobała piosenka *Wesoły wicher* z filmu *Dzieci kapitana Granta*[19], który wtedy dopiero wszedł na ekrany. Z tą piosenką zawsze zrywałem się na gimnastykę.

Tamtego dnia jednak nie było gimnastyki, a w górze warczały samoloty… Podniosłem głowę i zobaczyłem, jak od samolotu odrywają się jakieś

czarne kropki. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy nic o bombach. Koło naszego obozu biegły tory kolejowe i tamtędy poszedłem do Mińska. Plan miałem prosty – instytut medyczny, w którym pracuje mama, znajduje się niedaleko dworca kolejowego, więc jeśli pójdę po szynach, to dojdę do mamy. Zabrałem ze sobą chłopczyka, który mieszkał niedaleko dworca. Chłopiec był o wiele młodszy ode mnie i bardzo płakał, szedł pomału, podczas gdy ja chodziłem szybko. Zwiedziliśmy z ojcem pieszo wszystkie okolice rodzinnego Leningradu. Jakoś jednak dotarliśmy do dworca w Mińsku, doszliśmy do mostu Zachodniego, ale zaczęło się kolejne bombardowanie i wtedy zgubiłem tego chłopczyka.

W instytucie mamy nie było, ale niedaleko stamtąd mieszkał profesor Gołub, z którym mama wtedy pracowała, znalazłem jego mieszkanie… Niestety, było puste… Po latach dowiedziałem się, co się stało: kiedy tylko Niemcy zaczęli bombardować miasto, mama złapała okazję i pojechała po mnie szosą do Ratomki. Przyjechała i zobaczyła zbombardowany obóz…

Z miasta wszyscy dokądś uciekali. Stwierdziłem, że do Leningradu jest dalej niż do Moskwy, w Leningradzie był tato, ale poszedł na wojnę, a w Moskwie mieszkają moje ciocie, które nigdzie nie pojadą. Nie pojadą, bo mieszkają w Moskwie… W naszej stolicy… W drodze przyłączyłem się do pewnej pani z dziewczynką. Ta pani była nieznajoma, ale widziała, że jestem sam i nic nie mam, że jestem głodny. Zaproponowała więc, żebym coś z nimi zjadł.

Pamiętam, że wtedy po raz pierwszy w życiu jadłem cebulę ze słoniną. Najpierw się krzywiłem, potem jednak zjadłem. Zawsze gdy zaczynało się bombardowanie, obserwowałem, gdzie jest ta pani z dziewczynką. Wieczorem wybraliśmy rów, żeby odpocząć. Ale bombardowali nas bez przerwy. Kobieta obejrzała się i krzyknęła… Ja też się podniosłem, popatrzyłem w tę samą stronę i zobaczyłem samolot, który leciał lotem koszącym. Na jego płatach, obok silnika błyskały płomyki. A na drodze, tam dokąd zmierzał samolot, wzbijały się tumany kurzu. Zupełnie instynktownie rzuciłem się na dno rowu. Seria przeszła mi nad głową, a samolot leciał dalej. Wstaję i widzę, że ta kobieta leży na ziemi, a zamiast twarzy ma krwawą plamę. Wtedy przerażony wyskoczyłem z rowu i rzuciłem się do ucieczki. Do dziś dręczy mnie pytanie, co się stało z dziewczynką. Już jej potem nie widziałem…

Doszedłem do jakiejś wsi… Na ulicy pod drzewami leżeli ranni Niemcy. Wtedy po raz pierwszy ich zobaczyłem…

Mieszkańców wsi wypędzano z domów, kazano im nosić wodę, sanitariusze niemieccy grzali ją w wielkich wiadrach nad ogniskiem. Rano położyli rannych do samochodów i do każdego wsadzili jednego chłopca czy dwóch. Dali nam manierki z wodą i pokazali, jak mamy pomagać: komu zmoczyć chustkę i położyć na głowę, komu zwilżyć wargi. Ranny prosi: „Waser… waser”. Kiedy przykładałem mu manierkę do ust, to przejmował mnie dreszcz. Nie umiem nawet teraz określić uczucia, jakiego doznawałem. Obrzydzenie? Nie. Nienawiść? Też nie. To było wszystko naraz. Litość także… Nienawiść w człowieku musi się dopiero wytworzyć, nie jest pierwotna. W szkole przecież uczyli nas dobra, uczyli nas kochać. Znowu wybiegnę do przodu… Kiedy pierwszy raz Niemiec mnie uderzył, nie poczułem bólu, poczułem coś innego. Jakim prawem mnie uderzył, dlaczego? To był wstrząs.

Znowu wróciłem do Mińska…

Wtedy zaprzyjaźniłem się z Kimem. Poznałem go na ulicy. Na moje pytanie: „Z kim mieszkasz?” odpowiedział: „Z nikim”.

Kiedy mi wyjaśnił, że też się zgubił, zaproponowałem:

– To mieszkajmy razem.

– Dobra! – ucieszył się, bo nie miał gdzie mieszkać.

A ja mieszkałem w opuszczonym mieszkaniu profesora Gołuba.

Kiedyś z Kimem zobaczyliśmy, że ulicą idzie starszy od nas chłopak i niesie stołeczek do czyszczenia butów. Wysłuchaliśmy jego rad: jaka jest potrzebna skrzynka, jak robić pastę. Do wyrobu szuwaksu potrzebna jest sadza, a w mieście było jej, ile kto chciał. Trzeba ją zmieszać z jakimś olejem. Krótko mówiąc, zrobiliśmy jakąś śmierdzącą, ale czarną mieszaninę. Jeśli się ją starannie rozprowadziło, to but nawet błyszczał.

Kiedyś podszedł do mnie Niemiec, postawił nogę na skrzynce, miał brudne buty, i to błoto było stare, zaschnięte. Już wcześniej zdarzało nam się czyścić takie obuwie, więc mieliśmy specjalną skrobaczkę, którą najpierw zeskrobywaliśmy błoto, a potem dopiero nanosili pastę. Wziąłem skrobaczkę, przesunąłem nią może dwa razy, ale to się Niemcowi nie spodobało. Dał mi w twarz, a skrzynkę kopnął…

Nigdy w życiu nie byłem bity, chłopięce bójki się nie liczą, to co innego, w leningradzkich szkołach biliśmy się często. Żaden dorosły jednak mnie do tamtej pory nie uderzył.

Kim zobaczył moją twarz i krzyknął: „Nie patrz tak na niego! Nie patrz… Bo cię zabije…”.

Po raz pierwszy wtedy zobaczyliśmy na ulicach ludzi z żółtymi naszywkami na płaszczach, na marynarkach. Usłyszeliśmy o getcie… Słowo to wszyscy wymawiali szeptem… Kim był Żydem, ale ostrzygł się na zero, więc postanowiliśmy, że będzie udawał Tatara. Kiedy włosy zaczęły odrastać, czarne kręcone włosy, zacząłem wątpić, czy to się uda. Martwiłem się o przyjaciela, nie mogłem zasnąć, gdy się budziłem w nocy i patrzyłem na jego kędzierzawą czuprynę. Musiałem coś wymyślić, żeby Kima nie zabrano do getta.

Znaleźliśmy maszynkę, a ja jeszcze raz ostrzygłem Kima. Już zaczęły się przymrozki, zimą czyszczenie butów nie ma sensu. Mieliśmy nowy plan. Niemieckie dowództwo otworzyło w mieście hotel dla oficerów. Przyjeżdżali z ciężkimi plecakami, walizami, a do hotelu było dość daleko. Jakimś cudem udało nam się zdobyć wielkie sanie, żeby czekać na dworcu na przybywające pociągi. Kiedy przyjeżdżał pociąg, ładowaliśmy na sanie rzeczy paru oficerów i ciągnęliśmy przez całe miasto. Dawali nam chleb albo papierosy, za które można było na bazarze dostać do jedzenia wszystko, co się chciało.

Wtedy, gdy zabrali Kima, pociąg przyjechał w nocy, z dużym opóźnieniem. Nie mogliśmy pójść do domu, bo już obowiązywała godzina policyjna. Z samego budynku dworca nas wypędzono, czekaliśmy na ulicy. Gdy pociąg w końcu dotarł, załadowaliśmy sanie i ruszyli. Ciągniemy, pasy nas uwierają, a tamci poganiają: „Sznel! Sznel!”. A że nie mogliśmy iść szybciej, zaczęli nas bić.

Wnieśliśmy rzeczy do hotelu i czekamy, aż się z nami rozliczą. Tymczasem jeden z nich warknął: „Zabierajcie się!” i popchnął Kima tak, że mu zleciała czapka z głowy. Wtedy tamci ryknęli: „Jude!”. I złapali go…

Po kilku dniach dowiedziałem się, że Kim jest w getcie. Poszedłem tam… Całymi dniami krążyłem dookoła… Kilka razy widziałem go przez druty. Przynosiłem chleb, kartofle, marchew. Kiedy wartownik odwrócił się, poszedł w kierunku rogu, ja rzucałem kartofel. Kim przechodził, podnosił…

Chociaż miejsce, w którym mieszkałem, było oddalone o kilka kilometrów, nocami słyszałem krzyki z getta, całe miasto je słyszało. Wtedy się budziłem i myślałem: „Czy Kim żyje? Jak go uratować?”. Po kolejnym po-

gromie przyszedłem na umówione miejsce, ale stamtąd pokazali mi na migi, że Kima już nie ma.

Byłem nieszczęśliwy… Ale miałem jeszcze nadzieję…

Kiedyś rankiem ktoś do mnie zapukał. Zerwałem się… Pierwsza myśl: „Kim!”. Nie, to nie był on. Obudził mnie chłopak z niższego piętra, mówiąc: „Chodź ze mną na ulicę, tam leżą zabici. Szukam ojca”. Wyszliśmy, godzina policyjna się skończyła, ale przechodniów prawie nie było. Ulicę zasypał lekki śnieg. Przyprószeni tym śniegiem o jakieś kilkanaście metrów od naszej bramy leżeli rozstrzelani jeńcy. Pędzono ich nocą przez miasto, a tym, którzy nie nadążali, eskorta strzelała w tył głowy. Wszyscy leżeli twarzą do ziemi.

Chłopczyk nie chciał ich dotykać, bał się jednak natknąć na zabitego ojca. Wtedy przyłapałem się na myśli, że jakoś nie odczuwam strachu przed śmiercią. W myślach już się z nią zżyłem. Odwracałem trupy, a chłopiec patrzył każdemu w twarz. Tak przeszliśmy całą ulicę…

Od tamtego czasu nigdy nie płaczę… Nie wylewam łez, nawet wtedy, kiedy może i byłoby trzeba. Nie umiem płakać. Przez całą wojnę płakałem tylko raz – kiedy zginęła nasza siostra partyzancka Natasza… Lubiła wiersze, i ja też lubiłem. Lubiła róże, i ja je lubiłem, latem przynosiłem jej bukiety dzikich róż.

Kiedyś mnie spytała:

– Ile klas skończyłeś przed wojną?

– Cztery…

– Jak się skończy wojna, to pójdziesz do szkoły imienia Suworowa?

Przed wojną podobał mi się wojskowy mundur ojca, chciałem też nosić broń. Ale wtedy odpowiedziałem, że nie, nie chcę być wojskowym.

Leżała martwa na sosnowych gałęziach koło namiotu, a ja siedziałem przy niej i płakałem. Pierwszy raz płakałem, widząc zabitego człowieka.

Spotkałem się z mamą. Patrzyła na mnie, nawet mnie nie głaskała, tylko powtarzała: „To ty? Naprawdę ty?”.

Minęło wiele dni, zanim zaczęliśmy sobie opowiadać o wojnie…

Bo jesteśmy dziewczynki, a on chłopczyk…

Rimma Pozniakowa (Kaminska) – 6 lat
Obecnie – robotnica

Byłam w przedszkolu… Bawiłam się lalkami…

Wołają mnie: „Tato po ciebie przyjechał. Wojna!”. A ja nie chcę nigdzie iść. Chcę się bawić. Płaczę.

Co to znaczy „wojna”? Jakże to – mogą mnie zabić? Albo zabić tatę? Było jeszcze jedno nieznane słowo: „uchodźcy”. Mama powiesiła nam na szyi woreczki, a w nich nasze metryki i kartki z adresem. Żebyśmy wiedziały, kim jesteśmy, gdyby jej się coś stało.

Szłyśmy strasznie długo. Straciłyśmy tatę. Byłyśmy przerażone. Mama powiedziała, że tatę zabrali do obozu koncentracyjnego, ale my pojedziemy do taty. A co to jest ten obóz? Zabrałyśmy jedzenie. Ale jakie! Pieczone jabłka… Nasz dom spłonął, spłonął i sad, na gałęziach wisiały więc pieczone jabłka. Zbieraliśmy je i jedli.

Obóz znajdował się w Drozdach koło Jeziora Komsomolskiego. Teraz to już jest w granicach Mińska, wtedy była to wieś. Pamiętam czarny drut kolczasty, ludzie też wszyscy byli czarni, wszyscy podobni do siebie. Nie poznałyśmy ojca, to on nas rozpoznał. Chciał mnie pogłaskać, ale ja jakoś bałam się podchodzić do drutów, ciągnęłam mamę do domu.

Kiedy i jak ojciec wrócił do domu, nie pamiętam. Wiem, że pracował w młynie, a mama posyłała nas do niego z obiadem – mnie i młodszą siostrzyczkę Tomę. Tomeczka była drobniutka, a ja większa, nosiłam już nieduży staniczek, przed wojną były takie dla dzieci. Mama dawała nam węzełek z jedzeniem, a do staniczka wkładała mi ulotki. Ulotki były małe, napisane ręcznie na kartce z zeszytu. Mama odprowadzała nas do bramy, płaka-

ła i upominała: „Do nikogo nie podchodźcie, tylko do ojca”. Potem czekała przy tej bramie, dopóki nie zobaczyła, że wracamy całe i zdrowe.

Nie pamiętam strachu… Skoro mama mówiła, że mamy iść, to szłyśmy. Mama powiedziała i to było najważniejsze. Bałyśmy się nie usłuchać mamy, nie zrobić tego, o co prosiła. Kochałyśmy ją. Nawet sobie nie wyobrażałyśmy, jak można jej nie słuchać.

Kiedy było zimno, właziliśmy wszyscy na piec, mieliśmy duży kożuch, którym wszyscyśmy się przykrywali. Żeby mieć czym palić w piecu, biegaliśmy na stację i kradli węgiel. Trzeba było się skradać na kolanach, żeby wartownik nie dostrzegł, a pomagać sobie rękami. Potem przynosiliśmy wiadro węgla, a sami wyglądaliśmy jak kominiarze: i kolana, i łokcie, i czoło – wszystko czarne.

Nocą kładliśmy się razem, żadne nie chciało spać samo. Było nas czworo: ja, dwie moje siostrzyczki i czteroletni Boris, syn przyjaciółki mamy Leli Riewinskiej, która działała w podziemiu. Kiedyś mama nam powiedziała, że jest pewien chłopczyk, który często zostaje sam w domu i boi się, a w dodatku nie ma co jeść. Chciała, żebyśmy go przyjęły i polubiły. Wiedziała, że to nie będzie łatwe, bo dzieci też mogą się nie lubić. I zrobiła mądrze, bo nie przyprowadziła Boriska, ale posłała nas po niego: „Idźcie i przyprowadźcie tego chłopczyka, będziecie się z nim przyjaźniły”. Poszłyśmy więc i wróciły z nim.

Boris miał dużo książek z ładnymi obrazkami i wszystkie zabrał ze sobą, a my pomogłyśmy mu je nieść. Siadamy na piecu, a on nam opowiada bajki. Tak się nam spodobał, że stał się nam bliższy niż ktokolwiek inny, może właśnie dlatego że znał wiele bajek. Dzieciom na podwórzu mówiłyśmy: „Nie róbcie mu krzywdy”.

My wszystkie miałyśmy jasne włosy, a Boris był czarny. Mama miała gruby czarny warkocz, więc kiedy do nas przyszła i podarowała mi lusterko, schowałam je i pomyślałam, że jeśli będę rankiem się w nim przeglądała, to wtedy też mi wyrośnie taki warkocz.

Biegamy po podwórzu, a dzieci wołają:

– Czyj jest ten Boris?

– Boris jest nasz.

– To czemu wy macie jasne włosy, a on ciemne?

– Bo my jesteśmy dziewczynki, a on chłopczyk.

To mama nauczyła nas tak odpowiadać.

Ale Boris był naprawdę nasz, bo mamę mu zabili, zabili też tatę, a jego chcieli wsadzić do getta. Skądś się już tego dowiedziałyśmy. Mama się bała, żeby go nie rozpoznali i nie zabrali. Jak szłyśmy gdzieś, to wszystkie mówiłyśmy do mamy „mamo”, a Boris mówił „ciociu”. Mama go prosi: „Powiedz: mamo…” i daje mu kawałek chleba. Boris bierze, idzie dalej i mówi: „Dziękuję, ciociu”.

I siadał osobno. A łzy mu płynęły i płynęły…

Nie jesteś moim bratem, jeśli bawisz się z niemieckimi dziećmi…

Wasia Sigalow-Kniaziew – 6 lat
Obecnie – trener sportowy

To był jeszcze wczesny świt…

Zaczęła się strzelanina, ojciec zerwał się z łóżka, pobiegł do drzwi, otworzył je i krzyknął. Myśleliśmy, że się przestraszył, a on upadł, trafiony rozrywającą kulą.

Mama znalazła jakieś szmatki, nie zapalała światła, bo nadal strzelali. Ojciec jęczał, przewracał się. Z okna sączyło się słabe światło, padało mu na twarz… „Kładźcie się na podłogę" – powiedziała mama.

Nagle zaczęła głośno krzyczeć. Rzuciliśmy się do niej z krzykiem, ja się poślizgnąłem we krwi ojca i upadłem. Poczułem zapach krwi i jeszcze jakiś odór – ojcu rozerwało kiszki…

Pamiętam długą wielką trumnę, chociaż ojciec nie był wysoki. „Po co mu taka wielka trumna?" – myślałem. Potem uznałem, że po to, by nie było ciasno – ojciec miał rozległą ranę i nie będzie go tak bolało. Tak powiedziałem chłopcu od sąsiadów.

Po pewnym czasie, też wcześnie rano, przyszli Niemcy i zabrali nas z mamą. Postawili na placu przed fabryką, w której nasz ojciec pracował przed wojną (to w osiedlu Smołowka w obwodzie witebskim). Staliśmy my i jeszcze dwie rodziny partyzantów, dzieci było tam więcej niż dorosłych. Wiadomo było, że mama miała liczną rodzinę: pięciu braci i pięć sióstr, wszyscy w partyzantce.

Zaczęli mamę bić. Całe osiedle patrzyło, jak ją biją, i my też. Jakaś kobieta ciągle pochylała mi głowę. Mówiła: „Nie patrz na to. Nie patrz…". A ja wyrywałem się jej z rąk.

Za osiedlem był zalesiony pagórek. Niemcy zaprowadzili tam dorosłych, a dzieci zostawili. Ja czepiałem się mamy, ona odpychała mnie i wołała: „Żegnajcie, dzieci!”. Pamiętam, jak wiatr uniósł mamie sukienkę, kiedy padała do rowu…

Kiedy przyszli nasi, zobaczyłem oficerów z naramiennikami[20]. Bardzo mi się to spodobało, wziąłem i zrobiłem sobie naramienniki z kory brzozowej, a węglem narysowałem dystynkcje. Przymocowałem je do wiejskiej bluzy uszytej mi przez ciocię, w łapciach poszedłem do kapitana Iwankina (o nazwisko zapytałem cioci) i zameldowałem: „Wasia Sigalow chce bić Niemców razem z wami”. Oficerowie najpierw się ze mnie uśmiali, pożartowali sobie, a potem spytali cioci, gdzie są moi rodzice. Kiedy się dowiedzieli, że jestem sierotą, w nocy uszyli mi buty z pałatki, skrócili szynel, podwinęli czapkę i naramienniki. Ktoś nawet zrobił mi oficerską koalicyjkę. W ten sposób zostałem synem dwieście trzeciego samodzielnego oddziału rozminowywania. Przydzielili mi stanowisko łącznika. Bardzo się starałem, tyle że nie umiałem czytać ani pisać. Kiedy żyła jeszcze mama, wujek poprosił mnie: „Idź na most kolejowy i policz, ilu tam jest Niemców”. Jak miałem policzyć? Nasypał mi do prawej kieszeni garść żyta, a ja potem po ziarenku przekładałem do lewej. Później już je wujek przeliczył.

„Wojna wojną, ale musimy cię nauczyć czytać i pisać” – powiedział Szaposznikow, organizator partyjny[21]. Żołnierze wytrzasnęli skądś papier, Szaposznikow sam zrobił mi zeszyt i wpisał do niego tabliczkę mnożenia oraz alfabet. Ja się uczyłem, a on mnie odpytywał. Przynosił też pustą skrzynkę po nabojach, kreślił na niej linie i mówił: „Pisz”.

W Niemczech było nas już trzech chłopaków: Wołodia Pocziwałdow, Witia Barinow i ja. Wołodia miał czternaście lat, Witia – siedem, a ja wtedy – dziewięć. Kochaliśmy się wszyscy jak bracia, bo już nikogo nie mieliśmy.

Ale kiedy zobaczyłem, że Witia Barinow bawi się w wojnę z chłopcami niemieckimi i dał jednemu z nich swoją furażerkę z gwiazdką, krzyknąłem, że już nie jest moim bratem. Nigdy już nie będzie moim bratem! Złapałem swój zdobyczny pistolet i zaprowadziłem go do jednostki. Tam wsadziłem go do paki, kazałem siedzieć w komórce. Skorzystałem z tego, że byłem młodszym sierżantem i mogłem mu, jako szeregowcowi, rozkazywać.

Ktoś o tym powiedział kapitanowi Iwankinowi. Ten mnie wezwał.

– Gdzie jest szeregowy Witia Barinow?

– Szeregowy Barinow siedzi w areszcie – zameldowałem.

Kapitan długo mi tłumaczył, że dzieci nie są niczemu winne, że wszystkie są dobre, a kiedy skończy się wojna, radzieckie i niemieckie dzieci będą się przyjaźniły.

Kiedy wojna się skończyła, dostałem trzy medale: „Za zdobycie Królewca”, „Za zdobycie Berlina” i „Za zwycięstwo nad Niemcami”. Nasza jednostka wróciła do Żytkowicz, tutaj rozminowywaliśmy pola. Przypadkowo dowiedziałem się, że mój starszy brat żyje i przebywa w Wilejce…

Ze skierowaniem do Szkoły imienia Suworowa uciekłem do Wilejki. Znalazłem brata, wkrótce przyjechała do nas siostra. Już mieliśmy rodzinę. Mieszkanie urządziliśmy na jakimś strychu, ale z wyżywieniem było marnie, dopóki nie włożyłem munduru ze swoimi trzema medalami i nie poszedłem do miejskiego komitetu wykonawczego.

Dotarłem na miejsce. Znalazłem drzwi z tabliczką „Przewodniczący”. Zapukałem. Wchodzę i melduję się regulaminowo:

– Młodszy sierżant Sigalow w sprawie zaopatrzenia.

Przewodniczący uśmiechnął się i wyszedł ku mnie zza biurka.

– A gdzie mieszkasz? – zapytał.

– Na strychu – powiedziałem, a potem dodałem ulicę i numer domu.

Wieczorem przywieźli nam worek kapusty, a następnego dnia worek kartofli.

Kiedyś przewodniczący spotkał mnie na ulicy i dał mi adres.

– Zajrzyj wieczorem, czekają tam na ciebie.

Powitała mnie tam pewna pani, która okazała się jego żoną. Na imię miała Nina, po ojcu Maksimowna. A przewodniczący był Aleksiej Michajłowicz. Dali mi jeść, mogłem się umyć. Ze swoich żołnierskich rzeczy już wyrosłem, podarowali mi więc parę koszul.

Zacząłem do nich przychodzić, najpierw rzadko, potem częściej, w końcu codziennie. Patrol wojskowy zaczepił mnie kiedyś i pyta:

– Ty, chłopaczku, czyje medale sobie przyczepiłeś? Gdzie twój ojciec?

– Nie mam ojca…

Musiałem więc nosić ze sobą zaświadczenie.

Kiedy Aleksiej Michajłowicz zapytał:

– Chcesz być naszym synem?

Odpowiedziałem:

– Chcę… Bardzo chcę…

Usynowili mnie i dali mi swoje nazwisko – Kniaziew.

Długo nie byłem w stanie powiedzieć do nich „tato” i „mamo”. Nina Maksimowna od razu mnie pokochała, troszczyła się o mnie. Jeśli dostawali jakieś słodycze, to przeznaczała je dla mnie. Miała ochotę mnie pogłaskać, przytulić, ale ja nie lubiłem słodyczy, bo nigdy nic słodkiego nie jadłem. Przed wojną żyliśmy ubogo, a w wojsku przywykłem do żołnierskiej strawy. I nie tęskniłem za pieszczotami, bo nikt od dawna mnie nie rozpieszczał, żyłem wśród mężczyzn. Nawet czułych słów nie znałem.

Kiedyś nocą obudziłem się i usłyszałem, jak Nina Maksimowna płacze za przepierzeniem. Widocznie płakała i przedtem, ale tak, że nie widziałem ani nie słyszałem. Płakała i żaliła się, że nigdy nie będę dla nich kimś bliskim, bo nie mogę zapomnieć swoich rodziców… Swojego pochodzenia… Zapomnieć tego, co widziałem na wojnie… Mówiła, że mało mam w sobie z dziecka, że niechętnie się przytulam. Podszedłem wtedy do niej po cichutku i objąłem za szyję. Mówię: „Mamo, niech mama nie płacze”. Przestała płakać, a wtedy zobaczyłem jej rozpromienione oczy. Bo pierwszy raz nazwałem ją mamą. Minął jakiś czas i do ojca powiedziałem „tato”, chociaż przez całe życie zachowałem jednak pewien dystans.

Nie robili ze mnie maminsynka i za to jestem im wdzięczny. Miałem wyznaczone obowiązki: posprzątać dom, wytrzepać chodniki, przynieść drwa z szopy, rozpalić w piecu kuchennym, kiedy przyjdę ze szkoły. Bez nich nie zdobyłbym wyższego wykształcenia. To oni wpoili mi przekonanie, że zawsze trzeba się uczyć, a już zwłaszcza po wojnie trzeba się uczyć dobrze. Tylko dobrze.

Jeszcze w wojsku, kiedy nasza jednostka stacjonowała w Żytkowiczach, dowódca rozkazał, żebyśmy wszyscy – Wołodia Pocziwałow, Witia Barinow i ja – się uczyli. We trzech usiedliśmy w jednej ławce, w drugiej klasie. Mieliśmy broń przy sobie i nikogo nie uznawaliśmy. Nie chcieliśmy podporządkować się nauczycielom z cywila: jak może nam rozkazywać, jeśli nie jest w mundurze? Dla nas autorytet mogli mieć tylko dowódcy. Wchodzi nauczyciel, cała klasa wstaje, my – siedzimy.

– Dlaczego siedzicie?

– Nie będziemy panu odpowiadać. Podlegamy tylko dowódcy.

Na dużej przerwie ustawialiśmy wszystkich uczniów plutonami i urządzali im marsze, uczyliśmy ich piosenek wojskowych.

Dyrektor szkoły przyszedł do jednostki i opowiedział zastępcy do spraw politycznych o naszym zachowaniu. Wsadzili nas do paki i zdegradowali:

Wowkę Pocziwałowa ze starszego sierżanta na sierżanta, mnie z sierżanta na młodszego sierżanta, a Witię Barinowa z młodszego na jefrejtora. Dowódca rozmawiał długo z każdym z nas i tłumaczył, że czwórki i piątki z arytmetyki są teraz dla nas ważniejsze od medali. Nasze zadanie bojowe to dobrze się uczyć. Myśmy chcieli strzelać, a nas przekonywano, że powinniśmy się uczyć…

Ale i tak do szkoły chodziliśmy z medalami. Mam zdjęcie, na którym siedzę z tymi medalami w ławce i rysuję coś dla naszej gazety pionierskiej.

Kiedy przynosiłem ze szkoły piątkę, to wołałem od progu:

– Mamo, piątka!

I tak łatwo było mi wtedy wymówić to słowo „mama”…

Zapomnieliśmy nawet tego słowa…

Ania Guriewicz – 2 lata
Obecnie – konstruktor radiotechnik

Albo sama to zapamiętałam, albo mama mi potem opowiadała…

Idziemy drogą. Idzie się ciężko: mama jest chora, a my z siostrą małe: siostra ma trzy latka, ja dwa. Jak nas uratować?

Mama napisała na kartce nazwisko, imię, rok urodzenia, włożyła mi do kieszeni i powiedziała: „Idź”. Pokazała ten dom… Tam biegały dzieci… Chciała, żebym się ewakuowała, pojechała z domem dziecka. Bała się, że wszyscy zginiemy. Chciała kogoś uratować. Musiałam tam pójść sama, bo gdyby to mama przyprowadziła mnie do domu dziecka, toby nas obie odesłano z powrotem. Brali tylko te dzieci, które zostały bez rodziców, a ja miałam mamę. Cały mój los zależał od tego, czy się obejrzę, czy nie. Gdybym się obejrzała, to nigdy bym od mamy nie odeszła; jak każde dziecko rzuciłabym się jej na szyję ze łzami i nikt by mnie nie zmusił do pozostania w obcym domu. Mój los…

Mama powiedziała: „Pójdziesz i otworzysz… o, tamte drzwi…”. Tak właśnie zrobiłam. Ale ten dom dziecka nie zdążył się ewakuować…

Pamiętam dużą salę… I swoje łóżeczko koło ściany… Bardzo dużo takich łóżeczek. Sami je starannie słaliśmy, bardzo uważnie. Poduszka musiała leżeć zawsze w tym samym miejscu. Jak się położyło inaczej, to wychowawczynie krzyczały, zwłaszcza kiedy przychodzili jacyś panowie w czarnych ubraniach. Policjanci czy Niemcy, nie wiem, w pamięci utkwiły mi tylko te ich czarne ubrania. Żeby nas bili, tego nie pamiętam, ale strach, że mogą mnie za coś zbić – owszem. Nie przypominam też sobie żadnych dziecięcych zabaw… Jakichś figlów, dokazywania… Sporośmy się ruszali,

sprzątali, myli, ale to była praca. A nic dziecięcego w pamięci mi nie utkwiło. Śmiech… Czy kaprysy…

Nikt nas nigdy nie przytulał, ale nie płakałam za mamą. Bo nikt tam nie miał mamy. Nie wspominaliśmy nawet tego słowa. Zapomnieliśmy.

Karmiono nas tak: na cały dzień miska zacierki i kawałek chleba. A ja zacierki nie lubiłam i oddawałam swoją porcję jednej dziewczynce, ona zaś oddawała mi swój kawałek chleba. Tak się zaprzyjaźniłyśmy. Nikt nie zwracał na to uwagi, wszystko było dobrze, dopóki tej naszej wymiany nie zauważyła jedna z wychowawczyń. Kazano mi klęczeć w kącie… Długo klęczałam… Sama w wielkiej pustej sali… Do dzisiaj, kiedy słyszę słowo „zacierka”, od razu chce mi się płakać. Zaczyna mnie mdlić. Kiedy dorosłam, nie mogłam zrozumieć, dlaczego akurat to słowo wywołuje we mnie taki wstręt. Zapomniałam o domu dziecka…

Miałam już szesnaście lat, nie, pewnie siedemnaście… Spotkałam swoją wychowawczynię z domu dziecka. W autobusie siedziała jakaś pani… Patrzę na nią i coś mnie ciągnie do niej jak magnes. Tak mnie ciągnęło, że przejechałam swój przystanek. Nie znałam tej kobiety, nie pamiętałam, ale czułam, że mnie do niej ciągnie. Wreszcie nie wytrzymałam, rozpłakałam się i byłam na siebie zła: no i czemu ja tak? Patrzyłam na nią jak na obrazek, który kiedyś widziałam, ale zapomniałam, co na nim było, więc chcę jeszcze raz popatrzeć. Czułam coś bliskiego, może nawet coś, co przypominało mi o mamie… Nawet coś jeszcze bliższego, ale co, nie wiem. Chciałam wyrzucić z siebie tę złość i to uczucie. Odwróciłam się, podeszłam do wyjścia. Stoję i płaczę.

Kobieta wszystko widziała, zbliżyła się do mnie i mówi:

– Nie płacz, Anieczka.

A mnie jeszcze bardziej łzy ciekną po tych jej słowach.

– Ależ ja pani nie znam.

– To dobrze mi się przyjrzyj!

– Słowo honoru, nie znam pani… – I beczę.

Wyprowadziła mnie z autobusu.

– Popatrz na mnie uważnie, wszystko ci się przypomni. Przecież jestem Stiepanida Iwanowna…

A ja się upieram przy swoim:

– Nie znam pani. Nigdy pani nie widziałam.

– Pamiętasz dom dziecka?

– Jaki dom dziecka? Pani mnie na pewno z kimś pomyliła.

– Nie, przypomnij sobie dom dziecka… Jestem twoją wychowawczynią.

– Mój tato zginął, ale mama żyje. Jaki dom dziecka?

Zdążyłam nawet zapomnieć o tym domu dziecka, bo mieszkałam już z mamą. Miałam swój dom. Ta kobieta mnie łagodnie pogłaskała po głowie, a mimo to łzy płynęły mi strumieniem. A ona wtedy mówi:

– Masz tutaj mój numer telefonu… Zadzwonisz, jeśli będziesz miała ochotę dowiedzieć się czegoś o sobie. Dobrze cię pamiętam… Byłaś u nas najmniejsza…

Poszła, a ja nie mogłam się ruszyć z miejsca. Powinnam była pewnie pobiec za nią i ją wypytać. Nie pobiegłam, nie dogoniłam.

Dlaczego tego nie zrobiłam? Byłam dzika, po prostu dzika, dla mnie ludzie byli czymś obcym, niebezpiecznym, z nikim nie umiałam rozmawiać. Siedziałam godzinami sama, sama ze sobą rozmawiałam. Wszystkiego się bałam.

Mama odszukała mnie dopiero w czterdziestym szóstym roku… Miałam osiem lat. Mamę i siostrę wywieźli do Niemiec, tam jakoś przeżyły, a kiedy wróciły, mama objechała wszystkie domy dziecka na Białorusi. Już straciła nadzieję, że mnie odnajdzie. A ja byłam tuż-tuż… W Mińsku… Ale widać zgubiła się tamta kartka, którą mama mi dała, więc zapisano mnie pod innym nazwiskiem. W mińskich domach dziecka mama przejrzała wszystkie dziewczynki o imieniu Ania. Domyśliła się, że jestem jej córką, po oczach, po tym, że byłam wysoka. Przez tydzień przychodziła i na mnie patrzyła: czy to jej Anieczka, czy też nie? Zostawili mi prawdziwe imię. Kiedy zobaczyłam mamę, owładnęły mną niezrozumiałe uczucia, zaczynałam płakać bez powodu. Nie, to nie były wspomnienia czegoś znajomego, to coś innego… Dookoła mówiono: „Mama. Twoja mama”. Otwierał się wtedy jakiś nowy świat – mama! Otwierały się tajne drzwi… Nic nie wiedziałam o tych ludziach, o których mówi się „mama” i „tata”. Czułam lęk, a inni się cieszyli. Wszyscy się do mnie uśmiechali…

Mama zabrała ze sobą naszą przedwojenną sąsiadkę.

– Znajdź tutaj moją Anieczkę.

Sąsiadka od razu mnie wskazała:

– To twoja Ania! Nie ma wątpliwości, zabieraj ją. Twoje oczy, twoja twarz…

Wieczorem podeszła do mnie wychowawczyni.

– Jutro cię zabiorą, pojedziesz od nas.

Czułam lęk…

Rano mnie umyto, ubrano, wszyscy się mną zajmowali. Nasza stara i gderliwa salowa uśmiechała się do mnie. Zrozumiałam, że to mój ostatni dzień z nimi, że się ze mną żegnają. A ja nie miałam ochoty nigdzie od nich wyjeżdżać. Ubrali mnie we wszystko, co przyniosła mama: buciki, sukienkę… i w ten sposób już oddzieliłam się od swoich koleżanek z domu dziecka… Stałam wśród nich jak obca… A one przyglądały mi się, jakby mnie pierwszy raz zobaczyły.

Największym przeżyciem w domu okazało się dla mnie radio. Nie było jeszcze odbiorników, ale w kącie wisiał czarny talerz i stamtąd dobiegał dźwięk. Co chwilę patrzyłam tam, kiedy jadłam – patrzyłam, kiedy kładłam się spać – to samo. Nic więcej mnie nie obchodziło, tylko to: skąd tam się wzięli ludzie, jak się tam mieszczą? I nikt mi tego nie tłumaczył, bo wstydziłam się pytać, byłam taka dzika. W domu dziecka przyjaźniłam się z Tomką, podobała mi się, była wesoła, często się uśmiechała, a ja nie podobałam się nikomu, bo nigdy się nie uśmiechałam. Zaczęłam się uśmiechać, dopiero mając piętnaście czy szesnaście lat. W szkole chowałam uśmiech, żeby nikt nie widział, jak się uśmiecham, wstydziłam się. Nie umiałam się zachować nawet przy koleżankach, one na przerwie rozmawiały o najróżniejszych rzeczach, a ja nic nie umiałam powiedzieć. Siedziałam bez słowa.

W niedzielę, parę dni po tym, jak mama zabrała mnie z domu dziecka, poszłyśmy na rynek. Tam zobaczyłam milicjantów i zaczęłam się histerycznie miotać, krzyczeć:

– Mamo, Niemcy! – I rzuciłam się do ucieczki.

Mama za mną, ludzie mnie obstąpili, a ja się trzęsę ze strachu:

– Niemcy!

Przez dwa dni nie wychodziłam na ulicę. Mama mi tłumaczyła, że to jest milicjant, że pilnuje nas, porządku na ulicy, ale mnie się nie dało przekonać. No, w żaden sposób… Bo Niemcy przyjeżdżali do nas w czarnych szynelach… Co prawda, kiedy pobierali krew, to prowadzili nas do oddzielnego pomieszczenia i wtedy mieli białe fartuchy, ale tych białych fartuchów nie zapamiętałam. Tylko mundury…

W domu nie mogłam się przyzwyczaić do siostry – niby powinna być mi bliska, droga, a tymczasem… Widzę ją pierwszy raz w życiu i ona ma być

moją siostrą? Mama całymi dniami siedziała w pracy. Kiedy rano się budziłyśmy, jej już nie było w domu. W piecu stały dwa garnki, same brałyśmy sobie kaszę. Później cały dzień czekałam na mamę, jak na coś niezwykłego, jak na jakieś szczęście. A ona przychodziła późno, kiedy już spałyśmy.

Znalazłam gdzieś nie lalkę, ale głowę lalki. Polubiłam ją. To była moja radość, jedyna moja zabawka, nosiłam ją od rana do wieczora. Ale marzyłam o piłce. Bo kiedy wyszłam na podwórze, zobaczyłam, że wszyscy mają piłki, noszą je w specjalnych siatkach, tak wtedy je sprzedawano. Jeśli kogoś poprosiłam, to mi dał potrzymać.

Kupiłam sobie piłkę, kiedy miałam osiemnaście lat, z pierwszej wypłaty w fabryce zegarków. Marzenie się spełniło: przyniosłam piłkę w siatce i powiesiłam na etażerce. Wstydziłam się wyjść z tą piłką na dwór, bo byłam już dorosła, więc siedziałam w domu i patrzyłam na nią.

Po wielu latach wybrałam się do Stiepanidy Iwanowny. Sama bym się nie zdecydowała, ale mąż nalegał:

– Pójdziemy we dwoje. Jakże to? Nie chcesz nic o sobie wiedzieć?

– A czyż ja nie chcę? Boję się…

Wykręciłam jej domowy numer i w odpowiedzi usłyszałam:

– Stiepanida Iwanowna Diediula umarła…

Nie mogę sobie wybaczyć…

Musi pan jechać na wojnę, a pan zakochał się w mojej mamie…

Jania Czernina – 12 lat
Obecnie – nauczycielka

Zwykły dzień… Ten dzień zaczął się zwyczajnie…

Ale kiedy jechałam w tramwaju, ludzie już mówili: „Okropność! Okropność!”, a ja nie mogłam zrozumieć, co się stało. Przybiegłam do domu i zobaczyłam swoją mamę, jak miesi ciasto, a łzy jak groch kapią jej z oczu. Pytam: „Co się stało?”. Odpowiedziała tylko: „Wojna! Bombardowano Mińsk”. A myśmy dopiero parę dni przedtem wróciły do Rostowa z Mińska gdzie gościłyśmy u cioci …

Pierwszego września mimo wszystko poszliśmy do szkoły, ale dziesiątego ją zamknięto. Zaczęła się ewakuacja Rostowa. Mama mówiła, że musimy się szykować do drogi, a ja zaprotestowałam: „Dokąd, jaka ewakuacja?”. Poszłam do komitetu rejonowego Komsomołu i powiedziałam, że chcę do nich wstąpić. Nie zgodzili się, bo do Komsomołu przyjmowano od czternastu lat, a ja miałam dwanaście. Myślałam jednak, że jeśli wstąpię do Komsomołu, to będę mogła we wszystkim brać udział, od razu stanę się dorosła. Będę mogła pójść na wojnę.

Wsiadłyśmy z mamą do wagonu z jedną walizką, były w niej dwie lalki, duża i mała. Pamiętam, że mama się temu nie sprzeciwiała. Jak te lalki nas uratowały, opowiem potem…

Dojechałyśmy do stacji Kaukaska, pociąg zbombardowano. Wlazłyśmy na jakąś otwartą platformę. Nie miałyśmy pojęcia, dokąd jedziemy. Wiedziałyśmy jedno – że oddalamy się od linii frontu. Uciekamy przed wojną. Lał deszcz, mama osłaniała mnie przed nim swoim ciałem. Z pociągu zlazłyśmy na stacji Bałądżary koło Baku, mokre i czarne od dymu lokomoty-

wy. No i głodne. Przed wojną żyłyśmy skromnie, bardzo skromnie, nie miałyśmy ładnych rzeczy, które można byłoby zanieść na bazar, wymienić albo sprzedać, mama miała tylko dowód osobisty. Siedzimy na dworcu i nie wiemy, co ze sobą zrobić. Dokąd iść? Idzie żołnierz, nie żołnierz nawet, ale żołnierzyk, całkiem mały, czarny, z torbą na plecach, z menażką. Widać, że dopiero co wzięli go do wojska, wyrusza na front. Zatrzymał się przy nas, ja przytuliłam się mocno do mamy. On pyta:

– Kobieto, gdzie jedziesz?

Mama na to:

– Nie wiem. Jesteśmy ewakuowane.

Mówił po rosyjsku, ale z silnym akcentem:

– Nie bój się nas, jedź do aułu do mojej matki. Wszystkich u nas zabrali do wojska: naszego ojca, mnie, dwóch braci. Ona została sama. Pomóż jej, razem przeżyjecie. A ja wrócę i ożenię się z twoją córką.

Wymienił adres, ale nie było na czym go zapisać, więc zapamiętałyśmy: Musa Musajew, wieś Kum, stacja Jewłach, rejon Kach. Został nam w pamięci na całe życie, choć tam nie pojechałyśmy. Zabrała nas do siebie samotna kobieta, która mieszkała w prowizorycznym domku z dykty. Miała tam tylko łóżko i malutką szafkę. Spałyśmy z głowami w przejściu i z nogami pod łóżkiem.

Miałyśmy szczęście do dobrych ludzi…

Nie zapomnę, jak do mamy podszedł wojskowy, zaczął rozmowę i opowiedział, że w Krasnodarze zginęła cała jego rodzina, a on jedzie na wojnę. Koledzy krzyczą, wołają go do pociągu, a on stoi i nie może od nas odejść. Nagle mówi tak:

– Widzę, że pani cierpi biedę. Pozwoli pani, że pani zostawię swoją kartę zaopatrzeniową, bo nikogo więcej nie mam.

Mama zapłakała. A ja zrozumiałam to po swojemu i zaczęłam krzyczeć:

– Jest wojna… Pana cała rodzina zginęła, musi pan jechać na wojnę i zemścić się na faszystach, a pan się zakochał w mojej mamie. Jak panu nie wstyd!

Stoją tak z mamą, w oczach mają łzy, a ja nie rozumiem, jak moja dobra mama może rozmawiać z takim złym człowiekiem: nie chce jechać na front, mówi o miłości, a przecież miłość może istnieć tylko w czasie pokoju. Dlaczego uznałam, że mówi o miłości? Przecież chodziło tylko o kartę lejtnanta…

Opowiem jeszcze o Taszkencie… Taszkent to właśnie moja wojna. Mieszkałyśmy w hotelu robotniczym przy fabryce, gdzie pracowała mama. Hotel był w centrum miasta, zorganizowano go w klubie. W westybulu i na widowni mieszkały rodziny, a na scenie – „kawalerowie”. Tak ich nazywano, ale to byli robotnicy, których rodziny zostały ewakuowane. My z mamą dostałyśmy miejsce w kącie widowni.

Dano nam kartki na pud kartofli, mama od rana do nocy pracowała w fabryce, więc to ja miałam odebrać te kartofle. Pół dnia stałam w kolejce, a potem przez cztery kwartały czy pięć ciągnęłam wór po ziemi, nie mogłam go unieść. Do transportu miejskiego dzieci nie dopuszczano, bo wybuchła epidemia grypy i obowiązywała kwarantanna. Akurat w tych dniach… Prosiłam, błagałam, ale nie chcieli mnie wpuścić. Kiedy do przejścia został mi tylko ostatni odcinek przed naszym hotelem, kompletnie zabrakło mi sił, upadłam na worek i się rozpłakałam. Pomogli mi obcy ludzie, zanieśli do hotelu i mnie, i kartofle. Do tej pory czuję ten ciężar… Każdy z tamtych kwartałów… Nie mogłam przecież zostawić kartofli, bo tylko dzięki nim mogłyśmy przeżyć. Raczej bym umarła, niż je zostawiła. Mama wracała z pracy głodna i zziębnięta.

Nie opuszczała mnie myśl o tym, że skoro głodujemy, a mama zrobiła się taka chudziutka jak ja, to ja też powinnam pomagać. Któregoś dnia zupełnie nie miałyśmy co jeść, postanowiłam więc sprzedać naszą jedyną bajową kołdrę i za te pieniądze kupić chleba. Ale dzieciom nie wolno było handlować, więc trafiłam na milicję, do izby dziecka. Siedziałam tam, dopóki nie zawiadomiono mamy. Mama przyjechała po zmianie i mnie zabrała. Strasznie płakałam ze wstydu i rozpaczy, że mama jest głodna, a w domu nie ma ani kawałka chleba. Miała astmę oskrzelową, w nocy okropnie kaszlała, dusiła się. Musiała wtedy coś przełknąć, żeby poczuć się trochę lepiej, dlatego zawsze pod poduszką chowałam kawałek chleba dla niej. Wydawało się wtedy, że już śpię, ja jednak nie spałam, wciąż myśląc o tym, że pod poduszką leży chleb i że mam wielką ochotę go zjeść.

W tajemnicy przed mamą poszłam zatrudnić się w fabryce. A byłam taka mała, typowa dystroficzka, więc nie chcieli mnie przyjąć. Stoję i płaczę. W końcu ktoś się zlitował. Wzięli mnie do księgowości. Miałam wypełniać zlecenia dla robotników, brać stawkę i mnożyć przez liczbę detali, wyliczać wypłatę. Miałam do tego maszynę, taki prototyp późniejszych maszyn liczących. Teraz maszyny pracują bezszelestnie, ale wtedy to był istny trak-

tor, przy czym pracowała tylko z lampą. Przez dwanaście godzin moja głowa prażyła się jak na tropikalnym słońcu, a pod koniec dnia głuchłam zupełnie od terkotu tej maszyny.

Wtedy przytrafiło mi się coś strasznego: jednemu robotnikowi zamiast dwustu osiemdziesięciu naliczyłam osiemdziesiąt. I nikt mojej pomyłki nie zauważył, dopóki nie przyszedł dzień wypłaty, a ten robotnik miał sześcioro dzieci. Słyszę, że ktoś pędzi po korytarzu i krzyczy:

– Zabiję! Zabiję! Co dam dzieciom do zjedzenia?

Mówią do mnie:

– Schowaj się, to na pewno o ciebie chodzi.

Drzwi się otwierają, a ja przyciskam się do maszyny, bo nie miałam gdzie się schować. Wpada wielki chłop, w rękach trzyma coś ciężkiego.

– Gdzie ona jest?

Wskazali na mnie.

– To właśnie ona…

On aż oparł się o ścianę.

– Tfu! Nawet zabić nie ma kogo, sam mam takie.

Odwrócił się i poszedł. A ja oparłam głowę o maszynę i jak nie zacznę ryczeć…

Mama pracowała w dziale kontroli technicznej tej fabryki. Fabryka wytwarzała pociski do katiusz, dwóch typów – jedne ważyły szesnaście, drugie osiem kilogramów. Trwałość korpusu takiego pocisku sprawdzano pod ciśnieniem. Trzeba było unieść pocisk, umocować i włączyć odpowiednią liczbę atmosfer. Jeśli był dobrej jakości, to wskazania wykraczały poza skalę, pocisk wyjmowano i wkładano do skrzyni. A jeśli się trafił wybrakowany, to gwint nie wytrzymywał, pocisk z hukiem wylatywał aż pod kopułę i nie wiadomo było, gdzie spadnie. No i to wycie, ten strach, kiedy leciał… Wszyscy chowali się pod obrabiarkami…

Po nocach mama wzdrygała się i krzyczała. Uspokajała się, kiedy ją objęłam.

Czterdziesty trzeci rok zbliżał się do końca… Nasze wojsko od dawna przeszło do natarcia… Zrozumiałam, że powinnam się uczyć. Poszłam do dyrektora fabryki. W jego gabinecie było wysokie biurko, prawie mnie zza niego nie widział. Zaczynam przygotowaną mowę:

– Chcę się zwolnić z fabryki, muszę się uczyć.

Dyrektor się rozzłościł.

– Nikogo nie zwalniamy. Trwa przecież wojna.

– Mylę się w zleceniach, bo nie jestem uczona. Niedawno źle obliczyłam robotnikowi wypłatę.

– Nauczysz się. Brakuje mi ludzi.

– Ale po wojnie będą potrzebni ludzie wykształceni, a nie niedouki.

Dyrektor wstał zza biurka.

– Ach ty, smarkata, na wszystko masz odpowiedź!

Poszłam do szóstej klasy. Na lekcjach literatury i historii nauczyciele opowiadali nam, a myśmy siedzieli i robili na drutach skarpety, rękawiczki i kapciuchy dla wojska. Robimy na drutach i uczymy się wierszy. Chórem powtarzamy Puszkina.

Czekaliśmy na koniec wojny, to było tak wielkie marzenie, że obie z mamą bałyśmy się o tym mówić. Kiedy mama była w zakładzie, przyszli do nas pełnomocnicy i wszystkich pytali: „Co możecie dać na fundusz obrony?”. Mnie też zapytali. A co my miałyśmy? Nic, poza kilkoma obligacjami, które mama przechowywała. Wszyscy coś dają, a my nie?! Oddałam wszystkie obligacje.

Pamiętam, że mama, wróciwszy z pracy, nie zbeształa mnie, tylko powiedziała: „To wszystko, co miałyśmy, poza twoimi lalkami”.

Z lalkami też się rozstałam… Kiedy mama zgubiła miesięczne kartki na chleb, po prostu umierałyśmy z głodu. Wtedy przyszła mi do głowy zbawcza myśl, żeby wymienić na coś moje dwie lalki – dużą i małą. Poszłyśmy z nimi na bazar. Podchodzi do nas stary Uzbek: „Co to kosztuje?”. Mówimy, że musimy przeżyć przez miesiąc, a nie mamy kartek. Uzbek dał nam pud ryżu. Dzięki temu nie umarłyśmy. Mama przysięgła: „Kiedy tylko wrócimy do domu, kupię ci dwie ładne lalki”.

Kiedy jednak wróciłyśmy do Rostowa, nie zdołała ich kupić, bo dalej byłyśmy biedne. Kupiła mi je dopiero, gdy skończyłam studia. Dwie lalki – dużą i małą.

W ostatnich chwilach wykrzykiwali swoje nazwiska…

Artur Kuziejew – 10 lat
Obecnie – administrator hotelu

Ktoś bił w dzwon… Kołysał nim i kołysał…

Naszą cerkiew dawno zamknięto, nawet nie pamiętam kiedy, bo zawsze był tam magazyn kołchozowy. Przechowywano w nim ziarno. Wieś zamarła, słysząc od dawna martwy dzwon. „Nieszczęście!” Mama… Wszyscy wybiegli na ulicę…

Tak zaczęła się wojna…

Kiedy zamknę oczy, widzę…

Niemcy prowadzą ulicą trzech czerwonoarmistów, ręce skrępowali im z tyłu drutem kolczastym. Jeńcy są w bieliźnie. Dwóch młodych, jeden starszy. Idą ze spuszczonymi głowami.

Rozstrzeliwują ich przed szkołą. Na drodze. Ostatnie chwile…

W ostatnich chwilach życia zaczęli głośno wykrzykiwać swoje imiona i nazwiska, w nadziei, że ktoś usłyszy i zapamięta. Przekaże rodzinie.

Patrzyłem przez dziurę w płocie… Zapamiętałem…

Jeden nazywał się Wanieczka Bałłaj, drugi – Roman Nikonow. A ten starszy zawołał: „Niech żyje towarzysz Stalin!”.

Zaraz potem tą drogą pojechały ciężarówki. A oni leżeli… Przejechały po nich ciężarówki z żołnierzami i dymiącą kuchnią polową. Potem rowerzyści. Kawaleria. Niemcy jechali i jechali. Dniem i nocą. Przez wiele dni.

A ja powtarzałem… Powtarzałem, żeby nie zapomnieć: Wanieczka Bałłaj, Roman Nikonow… Trzeciego nazwiska nie pamiętam…

Czasem budzę się w nocy… Chcę sobie przypomnieć…

We czwórkę zaprzęgłyśmy się do tych sanek…

Zina Prichodźko – 4 lata
Obecnie – robotnica

Bombardują… Ziemia drży, drży nasz dom…

A dom był nieduży, z sadem. Schowaliśmy się w domu, pozamykali okiennice. Siedzimy we czwórkę: moje dwie siostrzyczki, ja i nasza mama. Mama mówi, że skoro zamknęłyśmy okiennice, to już nie jest strasznie. My się z nią zgadzamy, że nie jest, bo nie chcemy mamy denerwować, ale nadal się boimy.

Idziemy po wóz, potem nas, małych, ktoś posadził na tobołkach. Wydawało mi się, że jeśli zasnę, to mnie zabiją, ze wszystkich sił starałam się nie zamykać oczu, ale same się zamykały. Wtedy umówiłam się ze starszą siostrą, że najpierw ja zamknę oczy, pośpię, a ona będzie pilnować. Ale zasnęłyśmy obie i obudziły się na krzyk mamy: „Nie bójcie się! Nie bójcie się!”. Z przodu strzelano… Ludzie krzyczeli… Mama siłą trzymała nas za głowy, żebyśmy nie patrzyły. A myśmy chciały widzieć…

Strzelanina się skończyła, pojechaliśmy dalej. Zobaczyłam, że w przydrożnym rowie leżą ludzie, i zapytałam mamy:

– Co ci ludzie robią?

– Śpią – odpowiedziała mama.

– A dlaczego śpią w rowie?

– Bo jest wojna.

– To znaczy, że my też będziemy spały w rowie? A ja nie chcę – zaczęłam grymasić.

Ale przestałam natychmiast, gdy w oczach mamy zobaczyłam łzy.

Dokąd szłyśmy, dokąd jechały, oczywiście nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia. Pamiętam tylko słowo „Azarycze” i drut, do którego mama zabro-

niła się zbliżać. Po wojnie się dowiedziałam, że trafiłyśmy do obozu w Azaryczach. Nawet tam pojechałam, w to miejsce. Ale co tam teraz się zobaczy? Trawa, ziemia… Wszystko zwyczajne. Jeśli coś zostało, to tylko w naszej pamięci…

Kiedy opowiadam, gryzę palce do krwi, żeby nie płakać…

Przynoszą skądś mamę i kładą na ziemi. Podpełzamy do niej, pamiętam, że właśnie pełzamy, a nie podchodzimy. Wołamy: „Mamo! Mamo!”. Ja proszę: „Mamo, nie śpij!”. A wszystkie już jesteśmy we krwi, bo i mama była zakrwawiona. Myślę, że nie rozumiałyśmy, że to krew, ani co to w ogóle jest krew, docierało jednak do nas, że to coś strasznego.

Każdego dnia przyjeżdżały samochody, wsiadali do nich ludzie i odjeżdżali. Prosiłyśmy mamę: „Mamusiu, pojedziemy samochodem. Może one jadą tam, gdzie mieszka babcia?”. Bo mama zawsze mówiła, że tutaj niedaleko mieszka nasza babcia i nie wie, gdzie jesteśmy. Myśli, że jesteśmy w Homlu. Mama nie chciała jechać tym samochodem, za każdym razem odciągała nas od niego. A myśmy płakały, prosiły, namawiały. Któregoś ranka się zgodziła… Przyszła zima, zaczęłyśmy marznąć…

Gryzę sobie palce, żeby nie płakać. Nie mogę powstrzymać łez…

Jechaliśmy długo i ktoś mamie powiedział, albo sama się domyśliła, że wiozą nas na rozstrzelanie. Kiedy samochód się zatrzymał, wszystkim kazano wysiąść. Tam był chutor, mama pyta konwojenta: „Czy można się napić wody? Dzieci chcą pić”. Pozwolił nam wejść do chaty. Weszłyśmy do chaty, a gospodyni dała nam duży kubek wody. Mama pije małymi łykami, powoli, a ja myślę: „Mnie się tak chce jeść, dlaczego mamie zachciało się pić?”.

Mama wypiła jeden kubek i poprosiła o drugi. Gospodyni nabrała wody, podała mamie i mówi, że co rano wiozą do lasu dużo ludzi, ale nikt stamtąd nie wraca.

– A jest tutaj inne wyjście, żebyśmy mogły wyjść? – pyta mama.

Gospodyni pokazuje ręką – jest. Jedne drzwi prowadziły na ulicę, a drugie na podwórze. Wyskoczyliśmy z tej chałupy i czołgamy się. Wydaje mi się, że nie tyle doszłyśmy, ile właśnie doczołgałyśmy się do domu naszej babci. Ale jak długo się czołgałyśmy, nie pamiętam.

Babcia ułożyła nas na piecu, a mamę na łóżku. Rano mama zaczęła umierać. Siedziałyśmy przerażone i nie mogły zrozumieć – jak to mama

może umrzeć, zostawić nas, kiedy taty nie ma? Pamiętam, że nas zawołała i z uśmiechem powiedziała: „Dzieci, nigdy się nie kłóćcie”.

Dlaczego miałybyśmy się kłócić? O co? Nie mamy żadnych zabawek. Za lalkę służył nam duży kamyk. Nie było cukierków. Nie było mamy, żeby się poskarżyć.

Potem babcia zawinęła mamę w duże białe prześcieradło i położyła na sanki. We czwórkę zaprzęgłyśmy się do tych sanek…

Przepraszam… Nie mogę dalej… Chce mi się płakać…

Ci dwaj chłopcy stali się lekcy jak wróbelki…

Raja Iljinkowska – 14 lat
Obecnie – wykładowczyni logiki

Nie zapomnę, jak pachniały lipy w rodzinnym Jelsku…

W czasie wojny wszystko, co działo się przed nią, wydawało się najpiękniejsze na świecie. Tak to we mnie zostało na zawsze. Do dzisiaj.

Wyjechaliśmy z Jelska – mama, ja i młodszy brat. Zatrzymaliśmy się we wsi Gribanowka koło Woroneża, chcąc tam doczekać końca wojny. Minęło jednak ledwie kilka dni od naszego przyjazdu, a już Niemcy byli pod Woroneżem. Szli w ślad za nami.

Wsiedliśmy do pociągu towarowego. Powiedziano nam, że wszyscy pojedziemy daleko na wschód. Mama pocieszała nas, mówiąc, że tam będzie dużo owoców. Jechaliśmy długo, bo często musieliśmy stać na torze zapasowym. Nigdy nie wiedzieliśmy, gdzie się zatrzymamy i na jak długo, dlatego bardzo ryzykowaliśmy, wyskakując na stacjach po wodę. Paliło się w piecyku zwanym burżujką. Gotowaliśmy na niej pszenną kaszę – wiadro na cały wagon. Jak długo jechaliśmy, tak długo się nią żywiliśmy.

Pociąg stanął na stacji Kurgan-Tiube[22]… A pod Andiżanem[23]… Nieznajoma przyroda oszołomiła mnie tak silnie, że na jakiś czas zapomniałam o wojnie. Wszystko tu kwitło, płonęło, tyle było słońca. Znowu poweselałam. Wróciło do mnie wszystko to, co było przedtem.

Przywieziono nas do kołchozu „Kyzył Juł”. Tyle czasu minęło, a ja pamiętam wszystkie nazwy, nawet sama się sobie dziwię. Pamiętam, jak wtedy uczyłam się niezwykłych słów, powtarzałam je sobie. Zamieszkaliśmy w szkolnej sali gimnastycznej, osiem rodzin w sumie. Miejscowi przynieśli nam kołdry i poduszki. Uzbeckie kołdry szyte są z kolorowych skrawków,

poduszki wypełnia się bawełną. Szybko nauczyłam się zbierać naręcza suchych łodyg bawełny – tym się paliło.

Nie od razu zrozumieliśmy, że i tutaj dotarła wojna. Dano nam trochę mąki, ale to było mało, nie starczyło na długo. Razem z uzbeckimi dziećmi biegaliśmy za wozami, i jeśli coś z wozu spadło, byliśmy naprawdę szczęśliwi. Najwięcej radości dawały nam wytłoki, te z ziaren bawełny są żółte, podobne do grochowych, bardzo twarde.

Brat Wadik miał sześć lat, zostawiałyśmy go z mamą samego w domu, a we dwie szłyśmy do prac w kołchozie. Okopywałyśmy ryż, zbierały bawełnę. Miałam ręce nienawykłe do tej pracy, bolały mnie tak, że w nocy nie mogłam zasnąć. Wieczorem wracamy z mamą do domu, a z naprzeciwka pędzi ku nam Wadik. Przez ramię przewieszone ma na sznurku trzy wróble. Już umył swoje „myśliwskie” trofea w rzeczce i czekał, aż mama przyjdzie i ugotuje z nich zupę. Taki był dumny! Jemy z mamą tę zupę i chwalimy, choć wróble były takie chude, że w garnuszku nie błysnęła nawet kropla tłuszczu. Błyszczały tylko uszczęśliwione oczy mojego brata.

Wadik przyjaźnił się z uzbeckim chłopcem, kiedyś tamten odwiedził nas ze swoją babcią. Ta babcia popatrzyła na chłopców i coś do mamy powiedziała. Mama nie zrozumiała, ale wtedy przyszedł brygadzista, który znał rosyjski. Przetłumaczył: „Rozmawia ze swoim Bogiem, z Allachem. I skarży się mu, że wojna to sprawa mężczyzn, wojowników. Dlaczego cierpią dzieci? Jak mógł dopuścić, żeby ci dwaj chłopcy stali się lekcy jak wróble, do których strzela się z procy?”. Babcia wysypuje na stół garść złotych suszonych moreli – są twarde i słodkie jak cukier! Można je długo ssać, odgryzać po kawałeczku, a potem rozdłubać pestkę i zjeść chrupiące ziarenko.

Jej wnuk patrzy na te morele, a z oczu też mu wyziera głód. Oczy mu płoną! Mama wygląda na zakłopotaną, więc babcia głaszcze jej rękę, uspokaja i przytula wnuka. „On ma zawsze czarkę katyku, bo mieszka w domu z babcią” – przetłumaczył brygadzista. Katyk to kwaśne kozie mleko. Przez cały czas, kiedy tam mieszkaliśmy, mnie i bratu wydawało się, że nie ma na świecie nic smaczniejszego.

Kiedy babcia z wnukiem odeszli, siedzieliśmy długo we trójkę przy stole. Nikt nie zdecydował się pierwszy sięgnąć po złote morele…

Wstydziłem się, że chodzę w dziewczęcych butach…

Marlen Robiejczikow – 11 lat
Obecnie – dyrektor wydziału w komitecie wykonawczym

Wojnę zobaczyłem z drzewa…

Dorośli nam nie pozwalali, a my i tak właziliśmy na wysokie świerki i obserwowali stamtąd walki powietrzne. Płakaliśmy, kiedy płonęły nasze samoloty, ale nie czuliśmy strachu, tak jakby to się działo w kinie. Następnego dnia albo na trzeci dzień zebraliśmy się na apelu, a dyrektor ogłosił, że nasz obóz pionierski zostanie ewakuowany. Już wiedzieliśmy, że zbombardowany Mińsk płonie, więc nie zawiozą nas do domu, tylko gdzieś dalej od działań wojennych.

Chciałbym opowiedzieć, jak się wybieraliśmy w drogę… Kazano nam zabrać walizki i włożyć do nich tylko najpotrzebniejsze rzeczy, koszule, bieliznę, skarpetki, chustki do nosa. Zapakowaliśmy się, a na wierzch każdy położył swoją chustę pionierską. Byliśmy dziećmi, więc wyobrażaliśmy sobie, że spotkają nas Niemcy, otworzą walizki i zobaczą czerwone chusty… Tak się zemścimy na nich za wszystko…

Nasz skład jechał szybciej niż wojna… Wyprzedził wojnę… Na stacjach, na których się zatrzymywaliśmy, nikt o niej nic jeszcze nie wiedział, nikt jej nie widział. No więc my, dzieci, opowiadałyśmy dorosłym o wojnie: jak płonął Mińsk, jak bombardowano nasz obóz, jak paliły się nasze samoloty. Ale im dalej odjeżdżaliśmy od domu, tym bardziej tęskniliśmy do rodziców, do chwili, kiedy przyjadą i nas zabiorą. Nie podejrzewaliśmy nawet, że wielu z nas rodziców już nie ma, to nam jeszcze nie mieściło się w głowie. Rozmawialiśmy o wojnie, ale byliśmy jeszcze dziećmi pokoju. Z pokoju przybyliśmy.

Z pociągu przesadzono nas na statek Komuna Paryska i powieziono Wołgą. Już od pół miesiąca byliśmy w drodze i ani razu się nie rozebraliśmy. Na statku pierwszy raz zdjąłem tenisówki, wreszcie nam pozwolili. Miałem takie wiązane na tasiemki. Kiedy je zdjąłem, to dopiero się rozszedł zapach! Długo myłem tenisówki, myłem, ale w końcu je wyrzuciłem. Boso przyjechałem do Chwałyńska.

Przywieziono nas tak wiele, że utworzono aż dwa białoruskie domy dziecka, w pierwszym były dzieci w wieku szkolnym, w drugim przedszkolaki. Skąd o tym wiem? Bo dzieci, które miały rozłączyć się z bratem albo siostrzyczką, bardzo płakały, zwłaszcza te małe, które bały się stracić starsze rodzeństwo. Kiedy w obozie pionierskim zostaliśmy sami, bez rodziców, zrobiło się ciekawie, to była jakby zabawa. Teraz wszyscy się jednak przelękliśmy. Chowani w domu, przywykliśmy do rodziców, do pieszczot. Moja mama zawsze budziła mnie rano, całowała na dobranoc. Obok nas był dom dziecka, gdzie mieszkały prawdziwe sieroty; bardzo się od nich różniliśmy. Przywykły bowiem do życia bez rodziców, a my musieliśmy dopiero się do tego przyzwyczaić.

Zapamiętałem jedzenie z czterdziestego trzeciego roku: w dzień łyżeczka prażonego mleka[24] i kawałek chleba, gotowany burak, latem zupa ze skórki arbuza.

Obejrzeliśmy wtedy film *Marzec – kwiecień*. Pokazywano tam, jak nasi zwiadowcy gotowali kaszę z kory brzozowej. Dziewczynki z naszego domu też się nauczyły gotować taką kaszę.

Jesienią sami musieliśmy sobie zapewnić drwa na zimę, każdy miał normę – metr sześcienny. Las był w górach. Najpierw rąbaliśmy drzewa, obciosywali, potem piłowali na metrowe kawałki i układali w sągi. Norma była obliczona na dorosłego, a z nami pracowały też dziewczynki, które traktowano tak samo jak wszystkich. Większa część pracy spadała na nas, chłopców. Tyle że w domu jak do tej pory nigdyśmy nie piłowali, bo wszyscy byliśmy z miasta, a tutaj trzeba było piłować i rąbać takie grube pnie.

Jeść chciało się dniem i nocą, przy pracy i we śnie – cały czas byliśmy głodni. Zwłaszcza zimą. Biegaliśmy z domu dziecka do jednostki wojskowej, czasem tam dostawaliśmy chochlę zupy. Ale było nas dużo, nawet tam nie mogli wszystkich wykarmić. Kto przyszedł pierwszy, ten coś dostał, a kto się spóźnił, odchodził z niczym. Miałem przyjaciela Miszkę Czerkasowa. Siedzimy, a on mówi: „Poszedłbym i dwadzieścia kilometrów, gdy-

bym wiedział, że dadzą mi tam miskę kaszy”. Na dworze było trzydzieści stopni, a on ubrał się i pobiegł do jednostki. Prosi żołnierzy o coś do zjedzenia, oni na to, że jest trochę zupy, „leć, chłopcze, po menażkę”. Wyszedł na ulicę i widzi, że dzieci z sąsiedniego domu dziecka też idą, więc gdyby pobiegł z powrotem po menażkę, to już by nic nie dostał.

Wrócił więc zaraz i powiedział żołnierzom: „Lejcie!”. I podstawił czapkę zamiast menażki. Wyglądał na tak zdeterminowanego, że żołnierz wlał mu całą chochlę do tej czapki. Misza minął dzieci, dla których nic nie zostało, i pobiegł do swojego domu dziecka. Odmroził uszy, ale przyniósł nam zupę, już zresztą nie zupę, ale pełną czapkę lodu. Wrzuciliśmy tę bryłę do talerza, ale nikt nie czekał, aż się zagrzeje; rzuciliśmy się na nią od razu, a dziewczynki rozcierały uszy naszemu bohaterowi. Ileż radości było na jego twarzy, że przyniósł dla wszystkich, chociaż nawet nie zaczął jeść pierwszy!

Najsmaczniejsze były dla nas wytłoki, dzieliliśmy je na gatunki pod względem smaku; jeden sort nazwaliśmy „chałwowym”. Przeprowadzaliśmy operację „Makucha”. Kilka osób w biegu wskakiwało na samochód, zrzucało makuchowe płytki, a inni je podnosili. Wracaliśmy do domu z siniakami, za to syci. No a latem czy jesienią były oczywiście bazary! Wtedy mieliśmy używanie. Ściągaliśmy wszystko: jednej przekupce kawałek jabłka, drugiej pomidora. Kradzieży na bazarze nie uważaliśmy za rzecz naganną, ale przeciwnie, za bohaterstwo! Ściągnąć wszystko jedno co, byle tylko coś zjeść. A co – to już nieważne.

Do naszej klasy chodził syn dyrektora olejarni. Dzieci, jak to dzieci, siedzimy na lekcji, gramy w bitwę morską. A on z tyłu wcina chleb z olejem słonecznikowym. Pachnie ten olej na całą klasę.

Szepczemy do siebie i wygrażamy mu pięściami, że niech no tylko skończą się lekcje…

Patrzymy, a tu nie ma nauczycielki, leży na podłodze. Ona też poczuła ten zapach, a że była głodna, to… zemdlała… Nasze dziewczęta zaprowadziły ją do domu, gdzie mieszkała z matką. Wieczorem postanowiliśmy, że odtąd każde z nas będzie zostawiało po kawałeczku chleba i wszystko to, co uzbieramy, damy nauczycielce. Ona sama nic by od nas nie przyjęła, więc myśmy po kryjomu nosili chleb jej matce i prosili, żeby nie mówiła, od kogo dostała.

Mieliśmy własny sad i ogródek. W sadzie rosły jabłonie, a w ogrodzie – kapusta, marchew, buraki. Pilnowaliśmy ich, dyżurowali po kilka osób. Kiedy przekazywaliśmy dyżur, to wszystko liczyliśmy: każdy głąb kapusty, każdą marchew. Nocą się myślało: „Niechby tak przez noc wyrosła jeszcze jedna marchewka. Nie byłoby jej na liście i można byłoby ją zjeść”. Bo jeśli marchew została wliczona, to nie daj Boże, żeby przepadła. Byłby wstyd!

Kiedy siedzieliśmy w ogródku, musieliśmy wytrzymać to, że dookoła mamy jedzenie, a jeść chce się strasznie. Kiedyś dyżurowałem ze starszym chłopakiem. Ten wpadł na pomysł:

– Widzisz, krowa się pasie…

– I co z tego?

– Głupi jesteś! Nie słyszałeś o takim rozporządzeniu, że jeśli prywatna krowa pasie się na terenie państwowym, to albo trzeba ją skonfiskować, albo właściciel musi płacić karę?

– Przecież nie pasie się na łące.

– A czy jest przywiązana?

I przedstawia mi swój plan: bierzemy krowę, prowadzimy do naszego sadu i przywiązujemy. Potem szukamy gospodyni. Tak właśnie zrobiliśmy: przyciągnęliśmy krowę i przywiązali w naszym sadzie. Mój towarzysz pobiegł do wsi, znalazł właścicielkę i mówił, że jest tak a tak, pani krowa znalazła się w państwowym sadzie, a pani zna przecież rozporządzenie…

Nie sądzę, żeby… Teraz wątpię, żeby ta gospodyni nam uwierzyła i się wystraszyła, raczej zlitowała się nad nami, widząc, jacy jesteśmy głodni. Umówiliśmy się z nią tak, że pasiemy jej krowę, a ona za to da nam kilka kartofli.

Kiedy zachorowała jedna z dziewcząt, trzeba jej było przetoczyć krew. Ale w całym domu dziecka nie było od kogo pobrać krwi. Rozumie pani?

O czym marzyliśmy? Żeby trafić na front. Zebrało się nas kilku chłopaków, najbardziej zdecydowanych, i postanowiliśmy uciec. Ale na nasze szczęście przyjechał do domu dziecka wojskowy kapelmistrz kapitan Gordiejew. Wybrał czterech muzykalnych chłopaków, między innymi mnie. Właśnie tak poszedłem na wojnę.

Odprowadzał nas cały dom dziecka. Nie miałem czego włożyć na siebie, więc jedna z dziewczynek podarowała mi swoje marynarskie ubranko, a inna, która miała dwie pary butów, oddała mi jedną.

Właśnie tak pojechałem na wojnę. Najbardziej wstydziłem się tego, że chodzę w dziewczęcych butach…

Krzyczałam i krzyczałam… Nie mogłam przestać…

Luda Andriejewa – 5 lat
Obecnie – kontrolerka

Po wojnie pozostało mi takie wrażenie, jakby to było jakieś ognisko… Które płonie i płonie. Bez końca…

Kiedy my, małe dzieci, zebrałyśmy się, to wie pani, o czym rozmawiałyśmy? Że przed wojną jadłyśmy bułeczki i piły słodką herbatę i że tego już nigdy nie będzie.

Już wiedziałyśmy, kiedy trzeba płakać, bo widziałyśmy, kiedy płaczą nasze mamy i babcie. Płakały często, codziennie płakały…

Ja wiedziałam, że mam młodą i ładną mamę, podczas gdy inne dzieci miały mamy starsze. Ale kiedy miałam pięć lat, zrozumiałam, że to, że mama jest młoda i ładna, nie jest dla nas wcale dobre. Przeciwnie, jest niebezpieczne. Miałam pięć lat, kiedy się domyśliłam… A dobre jest to, że jestem mała – nawet to wiedziałam. Jak dziecko może zrozumieć coś takiego? Przecież nikt mi nie tłumaczył…

Po tylu latach… Boję się… Dotykać tego miejsca w swojej pamięci…

Koło naszego domu zatrzymał się niemiecki samochód, ale nie przyjechał do nas specjalnie, tylko po prostu się zepsuł. Żołnierze weszli do domu, mnie i babcię wypędzili do drugiego pokoju, a mamie kazali sobie pomagać. Grzali wodę, gotowali kolację. Rozmawiali tak głośno, że pomyślałam: „Wcale nie rozmawiają ze sobą i nie śmieją się, tylko krzyczą na mamę”.

Był wieczór, zrobiło się ciemno. Zapadła noc. Nagle mama wbiega do pokoju, łaps mnie na ręce i wybiega na ulicę. Nie mieliśmy sadu, podwórze było puste, mama biegała więc ze mną i nie wiedziała, gdzie się schować. Wlazłyśmy pod samochód. Niemcy wyszli na dwór i szukają, świecą latar-

kami. Mama leży, nakrywając mnie ciałem, a ja słyszę, jak zęby jej szczękają, zrobiła się zimna. Cała zimna…

Rano, kiedy Niemcy pojechali, a my weszłyśmy do domu… Nasza babcia leżała na łóżku… Przywiązana do niego sznurami… Goła! Babcia… Moja babcia! Przerażona zaczęłam krzyczeć. Mama wypchnęła mnie na ulicę… A ja krzyczałam i krzyczałam… Nie mogłam przestać…

Długo bałam się samochodów. Ledwie usłyszałam dźwięk silnika, zaczynałam się trząść. Miałam dreszcze. Już się wojna skończyła, już poszliśmy do szkoły… Widzę, że jedzie tramwaj, i zaczynam szczękać zębami, nie mogę się opanować. Drżę. W klasie była nas trójka takich, którzy przeżyli okupację. Jeden chłopiec bał się huku samolotu. Wiosną ciepło, nauczycielka otwiera okna… Słychać warkot samolotu… Albo podjeżdża samochód… Wtedy ja i ten chłopiec otwieramy szeroko oczy, źrenice się nam rozszerzają, wpadamy w panikę. A dzieci, które wróciły z ewakuacji, śmieją się z nas.

Pierwsza salwa… Ludzie wybiegli na ulicę, a myśmy z mamą schowały się w jamie. Siedziałyśmy, dopóki nie przyszli sąsiedzi. Mówili: „Wyłaźcie, to nie wojna, tylko świętujemy zwycięstwo”.

Jakże pragnęłam dziecięcych zabawek! Dzieciństwa po prostu!… Kładłyśmy kawałek cegły i wyobrażały sobie, że to lalka. Albo najmłodsze z nas udawało, że jest lalką. Kiedy tylko zobaczę w piasku kolorowe szkiełko, zaraz mam ochotę je podnieść. Bo dla mnie nawet dzisiaj jest ładne.

Podrosłam… Ktoś do mnie powiedział: „Jakaś ty ładna. Jak twoja mama”. A ja się nie ucieszyłam, tylko przestraszyłam. Nigdy nie lubiłam, jak ktoś mi coś takiego mówił…

Wszystkie złapały się za ręce…

Andriej Tołstik – 7 lat
Obecnie – doktor nauk ekonomicznych

Byłem małym chłopcem…

Pamiętam mamę… Piekła najsmaczniejszy chleb we wsi, miała najładniejsze grządki w ogródku. Największe georginie kwitły w naszym ogródku i na podwórzu. Wszystkim nam wyhaftowała ładne koszule – ojcu, dwóm starszym braciom i mnie. Kołnierz był wyszywany. Czerwonym, niebieskim, zielonym krzyżykiem…

Nie pamiętam, kto pierwszy powiedział mi, że mamę rozstrzelano. Któraś z sąsiadek. Przybiegłem do domu. Mówią mi: „Nie rozstrzelali jej w domu, tylko za wsią”. A tu ojca nie ma, podobnie jak starszych braci, kuzyna też nie ma, wszyscy byli w partyzantce. Poszedłem do sąsiada, dziadka Karpa.

– Zabili mamę. Trzeba ją przywieźć.

Zaprzęgliśmy krowę (nie mieliśmy konia) i pojechali. Pod lasem dziadek Karp mnie zostawił.

– Ty poczekaj tutaj. Ja, stary, nie boję się, że mnie zabiją. Ale ty jesteś smarkacz.

Czekam. Różne myśli przelatują mi przez głowę: co powiem ojcu? Jak mu powiem, że zabili mamę? No i tak po dziecięcemu: „Jeśli teraz zobaczę mamę martwą, to już nigdy nie będzie żyła. Ale jeśli nie zobaczę jej martwej, to zastanę ją, kiedy wrócę do domu”.

Mamie przestrzelili pierś serią z automatu. Taka smuga na bluzce… I czarna dziura w skroni… Chciałem, żeby jak najszybciej zawiązali jej białą chustę na głowie, żebym nie widział tej czarnej dziurki. Bo wydawało mi się, że nadal ją to boli.

Nie siadłem na wóz, szedłem obok…

We wsi codziennie kogoś grzebano… Pamiętam pogrzeb czterech partyzantów, trzech mężczyzn i dziewczyny. Partyzantów chowano często, ale pierwszy raz widziałem pogrzeb kobiety. Wykopano jej osobny grób… Leżała na trawie pod starą gruszą… Stare kobiety siedziały obok i gładziły jej ręce.

– Dlaczego ją pochowali osobno? – pytałem.

– Bo młoda… – odpowiadały baby.

Kiedy zostałem sam, bez krewnych, bez bliskich, przeraziłem się. Co robić? Zaprowadzili mnie do wsi Zalesie, do ciotki Marfy. Nie miała własnych dzieci, a jej mąż poszedł na wojnę. Siedzimy w piwnicy, chowamy się. Przyciska moją głowę do swojej i szepcze: „Synku…”.

Ciotka Marfa dostała jednak tyfusu. A po niej zachorowałem ja. Zabrała mnie do siebie babka Zieńka. Jej dwaj synowie byli na wojnie. W nocy się budzę, a ona drzemie przy mnie na łóżku i przez sen mówi: „Synku…”. Nawet kiedy wszyscy ze wsi uciekli do lasu przed Niemcami, to babcia Zieńka nadal mnie pielęgnowała. Ani razu mnie nie zostawiła: „Jak umierać, synku, to razem”.

Po tyfusie długo nie mogłem chodzić. Chodziłem tylko po równym, ale jak było pod górkę, to zaraz się pode mną nogi uginały. Wtedy już wypatrywaliśmy naszych żołnierzy. Kobiety poszły do lasu nazbierać poziomek. Niczym innym nie mogły ich przyjąć.

Żołnierze byli zmęczeni. Babka Zieńka nasypała im poziomek do hełmów. Ale wszyscy mnie częstowali. A ja siedziałem na ziemi i nie mogłem wstać.

Ojciec wrócił z partyzantki. Wiedział, że jestem chory, więc przyniósł mi kawałek chleba i kawałek słoniny, gruby na palec. Pachniały machorką. Wszystko pachniało ojcem.

Słowo „Zwycięstwo!” usłyszeliśmy, zbierając szczaw na łące. Wszystkie dzieci złapały się za ręce i tak pobiegły do wsi…

Nawet nie wiedzieliśmy, jak się grzebie ludzi… I nagle jakoś sobie przypomnieliśmy…

Michaił Szynkariow – 13 lat
Obecnie – kolejarz

Nasi sąsiedzi mieli głuchą córeczkę…

Wszyscy wołali: „Wojna! Wojna!”, a ona przybiegła do mojej siostry z lalką, śpiewała piosenki. A wtedy już nawet dzieci się nie śmiały. „To dobrze – myślałem – nic nie słyszała o wojnie”.

Zawinęliśmy z kolegami w ceratę swoje czerwone odznaki zuchów i czerwone chusty. Zakopaliśmy je w krzakach nad rzeczką, w piasku. Ładni konspiratorzy! Przecież codziennie przychodziliśmy w to miejsce.

Niemców bali się wszyscy, nawet dzieci i psy. Mama kładła jajka na ławce koło domu. Na ulicy. Wtedy nie wchodzili do chaty. Nie pytali: „Jude?”. A my z siostrą mieliśmy włosy czarne i kędzierzawe…

Kąpaliśmy się w rzeczce… I zobaczyliśmy, jak z dna podnosi się coś czarnego. Właśnie w tamtej chwili! Myśleliśmy, że to zatopiona belka, tymczasem nurt rzeczki popychał to coś do brzegu, a wtedy ukazały się ręce, głowa… Zobaczyliśmy człowieka. Chyba nikt się nie przestraszył. Nie krzyknął. Przypomnieliśmy sobie, jak dorośli mówili, że w tym miejscu zginął nasz kaemista i razem ze swoim diegtiariowem[25] runął do wody.

Ledwie kilka miesięcy wojny… A już nie czuliśmy strachu na widok śmierci. Wyciągnęliśmy tego żołnierza na brzeg i pochowali. Ktoś pobiegł po łopatę i wykopał dół. Zasypaliśmy go. Stanęliśmy w ciszy. Jedna dziewczynka nawet się przeżegnała, znała modlitwy, bo jej babcia kiedyś pomagała w cerkwi.

Wszystko zrobiliśmy sami. Bez dorosłych. A przed wojną nawet nie wiedzieliśmy, jak się grzebie ludzi. I nagle jakoś sobie przypomnieliśmy.

Przez dwa dni nurkowaliśmy po ten erkaem.

Pozbierał kości…

Leonid Siwakow – 6 lat
Obecnie – ślusarz narzędziowy

Już wzeszło słońce…

Pastuchowie zbierali krowy. Oddział pacyfikacyjny dał czas, żeby wygnali stado za rzeczkę Griezę i zaczęli chodzić po chałupach. Wchodzili z listą i według niej rozstrzeliwali. Czytają: matka, dziadek, dzieci takie a takie, tyle a tyle lat… Sprawdzali na liście i jeśli kogoś nie było, to zaczynali szukać. To znajdowali dziecko pod łóżkiem, to pod piecem…

Kiedy wszystkich znaleźli, wtedy rozstrzeliwali.

U nas w domu zebrało się sześć osób: babcia, mama, starsza siostra, ja i dwaj młodsi braciszkowie. Sześć osób… Widzieliśmy przez okno, że Niemcy poszli do sąsiadów, więc pobiegliśmy z najmłodszym braciszkiem do sieni i zamknęliśmy się na haczyk. Usiedliśmy na kufrze przy mamie.

Haczyk był słaby, Niemiec od razu go zerwał. Przestąpił próg i dał serię. Nie zdążyłem się przyjrzeć: był stary czy młody? Wszyscyśmy poupadali, ja wpadłem za kufer.

Pierwszy raz oprzytomniałem, kiedy poczułem, że coś na mnie kapie… Kapie i kapie jak woda. Podniosłem głowę, a to kapała krew mamy, mama leżała zabita. Wczołgałem się pod łóżko, a tam wszystko zalane krwią… Brodziłem w niej jak w wodzie… Cały mokry…

Usłyszałem, że wchodzi dwóch Niemców. Liczą zabitych i jeden mówi: „Tu jednego brakuje. Trzeba szukać”. Zaczęli szukać, zajrzeli pod łóżko, pod które mama schowała worek żyta, ja leżałem za tym workiem. Wyciągnęli worek i zadowoleni poszli. Zapomnieli, że jednego się nie doliczyli. Poszli, a ja wtedy znowu zemdlałem…

Przytomność wróciła mi, kiedy dom zaczął się palić…

Było mi strasznie gorąco i mdliło mnie. Widziałem, że jestem cały we krwi, ale nie zdawałem sobie sprawy z tego, że jestem ranny, nie czułem bólu. Chata pełna dymu… Jakoś wyczołgałem się do ogrodu, a potem do sąsiedzkiego sadu. I tam dopiero poczułem, że mnie ranili w nogę i że rękę też mam przestrzeloną. Przeszył mnie straszny ból! Znowu nie pamiętam, co było potem…

Trzeci raz się ocknąłem, kiedy usłyszałem straszny głos kobiecy…

Muczały cielęta. Piszczały świnie, krzyczały palące się kury… A ludzkich głosów nie było słychać… Tylko krzyk… Poczołgałem się w tamtym kierunku…

W powietrzu ciągle wisiał krzyk. Wydawało mi się, że ktoś krzyczy nieustannie, bez najmniejszej przerwy. Czołgałem się w tę stronę, skąd dobiegał, i doczołgałem się do garażu kołchozowego. Nikogo nie widziałem… Krzyk dobiegał skądś spod ziemi… Wtedy się domyśliłem, że ktoś woła z kanału… Z głębi…

Nie mogłem wstać, podpełzłem do dołu i zajrzałem tam… Kanał był pełen ludzi… To wszystko byli uchodźcy ze Smoleńska, mieszkali w naszej szkole. Dwadzieścia rodzin. Wszyscy w tym kanale leżeli, tylko na samej górze to się podnosiła, to upadała ranna dziewczynka. To ona krzyczała. Obejrzałem się do tyłu – dokąd teraz się czołgać? Cała wieś już płonie… Nie ma nikogo żywego… Tylko ta dziewczynka… Upadłem koło niej… Jak długo leżałem, nie wiem…

W końcu wydało mi się, że ta dziewczynka umarła. Szturcham ją, mówię – nie odzywa się. Tylko ja żyję, tamci są martwi. Słońce grzało, ciepła krew parowała. Zakręciło mi się w głowie…

Leżałem tak długo, to odzyskiwałem przytomność, to znów ją traciłem. W piątek nas rozstrzelali, a w sobotę przyjechali z innej wsi dziadek i ciocia, siostra mamy. Znaleźli mnie w kanale i położyli na taczki. Taczki podskakiwały, bolało mnie, chciałem wtedy krzyczeć, ale nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Mogłem tylko płakać… Długo nie mówiłem. Długo… Przez siedem lat… Coś trochę szeptałem, ale nikt nie mógł mnie zrozumieć. Po siedmiu latach powiedziałem wyraźnie jedno słowo, drugie… Sam siebie słuchałem…

W tym miejscu, gdzie stał nasz dom, dziadek pozbierał kości. Nie zebrał nawet pełnego kosza…

Opowiedziałem pani… I to wszystko? Wszystko, co zostało po czymś tak strasznym? Kilka dziesiątek słów… Dźwięki… Nieustannie mnie to zdumiewa… Kiedyś przeczytałem, nie pamiętam już gdzie, wzmiankę o greckim filozofie Kratylosie, który tak zwątpił w moc słowa, że w połowie życia zaczął używać tylko gestów. Mówił gestami. Bez żadnych słów…

A ja go rozumiem…

Wynieśli kocięta z chałupy…

Tonia Rudakowa – 5 lat
Obecnie – dyrektorka przedszkola

Pierwszy rok wojny… Niewiele pamiętam…

Niemcy przyjechali rano, na dworze jeszcze było szaro. Ustawili wszystkich na łące i tym, którzy byli ostrzyżeni, kazali wystąpić. A ostrzyżeni byli jeńcy, których ludzie wzięli do siebie. Wywieźli wszystkich pod las i rozstrzelali.

Przedtem biegaliśmy za wieś. Bawiliśmy się pod lasem. A teraz strach nas ogarnął.

Pamiętam, jak mama upiekła chleb. Napiekła dużo chlebów, leżały na rusznikach: na ławkach, na stole, na podłodze, w sieni. Zdziwiłam się:

– Mamo, po co nam tyle chleba? Wujków wystrzelali. Komu dasz ten chleb?

Mama wypędziła mnie na ulicę.

– Idź się bawić z dziećmi…

Bałam się, że ją zabiją, więc cały czas biegałam za nią.

W nocy chleby zabrali partyzanci. Nigdy więcej już tyle chleba nie widziałam. Niemcy wszystek chleb wyjedli do czysta, głodowaliśmy, a ja nie rozumiałam tego i prosiłam:

– Mamo, napal w piecu i upiecz chleba. Dużo, dużo.

To wszystko, co pamiętam z pierwszego roku wojny…

Z późniejszych lat zapamiętałam więcej, pewnie dlatego że podrosłam. To jak spalili naszą wieś… Wszystko zapamiętałam… Najpierw nas rozstrzeliwali, a potem palili… Wróciłam z tamtego świata…

Nie strzelali na ulicy, tylko wchodzili do chat. Stoimy wszyscy przy oknie.

– Poszli rozstrzelać Aniśkę…

– Skończyli u Aniśki. Do ciotki Anfisy idą…

Stoimy i czekamy, aż przyjdą nas rozstrzelać. Nikt nie płacze, nikt nie krzyczy. Stoimy. Była u nas też sąsiadka ze swoimi chłopcami. Powiedziała, żebyśmy wyszli na ulicę, bo na ulicy nie rozstrzeliwują.

Niemcy wchodzą na podwórze. Najpierw żołnierz, za nim oficer. Oficer jest wysoki, ma wysokie buty i wysoką czapkę. Pamiętam, jakby to było wczoraj. Widzę…

Zaczęli zapędzać nas do domu. Sąsiadka upadła na trawę i całuje buty oficerowi, mówiąc: „Nie pójdziemy. Wiemy, że tam będziecie strzelali”.

A oni: „Curik! Curik!”, to znaczy – z powrotem. W domu mama usiadła na ławce przy stole. Zapamiętałam, że wzięła kubek mleka i zaczęła poić naszego małego braciszka. Tak cicho było, że wszyscy słyszeliśmy, jak cmoka.

Usiadłam w kąciku, przed sobą postawiłam miotłę. Na stole był długi obrus, chłopiec od sąsiadów schował się pod stół. Pod ten obrus. Brat wlazł pod łóżko. A sąsiadka przed progiem uklękła i za wszystkich błaga: „Paneczku, mamy małe dzieci. Paneczku, u nas dzieciaków jak grochu…”.

Zapamiętałam, jak prosiła. Prosiła długo.

Oficer podszedł do stołu, podniósł obrus i strzelił. Spod stołu dobiegł krzyk, a ten jeszcze raz strzelił. Chłopiec krzyczy… Oficer strzelił pięć razy…

Patrzy na mnie… Choćbym się nie wiem jak starała, nie uda mi się za tą miotłą schować. Miał takie ładne piwne oczy… A jakże, pamiętam… Tak się przestraszyłam, że ze strachu zapytałam: „Wujku, będziesz mnie zabijał?”. Ale on nic nie odpowiedział… Akurat w tym czasie wyszedł żołnierz z innego pokoju, a kiedy wychodził, to zerwał dużą zasłonę między pokojami i zawołał oficera. A tam na łóżku leżały kocięta. Kotki nie było, tylko kocięta. Biorą je na ręce, uśmiechają się, zaczynają się z nimi bawić. Pobawili się i oficer oddał je żołnierzowi, żeby wyniósł je na ulicę. Wynieśli kocięta z chałupy…

Pamiętam, jak paliły się włosy mojej zabitej mamy… A przy niej – pieluszki naszego braciszka… Ja i starszy brat przeszliśmy przez nich na czworakach – najpierw na podwórze, potem do ogródka. Trzymałam się nogawki jego portek. Do wieczora leżeliśmy w kartoflach. Wieczorem poczołgaliśmy się w zarośla. Wtedy się rozpłakałam…

Jakim cudem ocaleliśmy? Nie pamiętam… Przeżyliśmy tylko my dwoje i te cztery kocięta. Przyszła nasza babcia, która mieszkała za rzeką. Zabrała nas wszystkich…

Zapamiętaj: Mariupol, Parkowa 6…

Sasza Solanin – 14 lat
Obecnie – inwalida wojenny pierwszej grupy

Tak bardzo nie chciałem umrzeć… O świcie wyjątkowo nie ma się ochoty umierać…

Prowadzą nas na rozstrzelanie. Prowadzą szybko. Niemcy się dokądś spieszą, jak się domyśliłem z ich rozmowy. Przed wojną lubiłem lekcje niemieckiego. Nawet sam nauczyłem się na pamięć kilku wierszy Heinego. Było nas trzech: dwaj jeńcy – starsi lejtnanci i ja. Mnie, chłopca, złapali w lesie, kiedy zbierałem broń. Dwa razy im uciekłem, za trzecim mnie dopadli.

Strasznie jest umierać…

Oni szepczą do mnie:

– Uciekaj! Rzucimy się na eskortę, a ty skacz w krzaki.

– Nie ucieknę…

– Dlaczego?

– Zostanę z wami.

Chciałem zginąć razem z nimi jak żołnierz.

– Rozkazujemy ci: uciekaj! Masz żyć!

Jeden, Daniła Grigoriewicz Jordanow, był z Mariupola, drugi, Aleksandr Iwanowicz Iljinski – z Briańska.

– Zapamiętaj: Mariupol, Parkowa 6… Zapamiętałeś?

– Briańsk, ulica… Zapamiętałeś?

Zaczęli strzelać…

Pobiegłem… Biegłem… W mojej głowie stukało: tak… tak… zapamiętać… tak-tak-tak… zapamiętać. I ze strachu zapomniałem.

Zapomniałem nazwy ulicy i numeru domu w Briańsku…

Słyszałam, jak zatrzymało się jego serce…

Lena Aronowa – 12 lat
Obecnie – prawniczka

Nasz Homel stał się nagle miastem wojny… Nasz spokojny i zielony Homel…

Rodzice postanowili wysłać mnie do Moskwy, gdzie w akademii wojskowej studiował mój brat. Wszyscy byli pewni, że Moskwa nigdy nie zostanie zdobyta, że to niezwyciężona twierdza. Wyjeżdżać nie chciałam, ale rodzice nalegali, bo kiedy nas bombardowano, całymi dniami nic nie jadłam i siłą musieli we mnie wciskać jedzenie. Wyraźnie schudłam. Mama uznała, że w Moskwie jest spokojnie, że jest dobrze i że tam poczuję się lepiej. A oni z tatą po mnie przyjadą, kiedy tylko wojna się skończy. Czyli bardzo prędko.

Pociąg do Moskwy nie dotarł, wysadzono nas w Małojarosławcu. Na dworcu był telefon międzymiastowy, więc ciągle go szturmowałam. Chciałam zadzwonić do brata, żeby go spytać, co robić dalej. Dodzwoniłam się, a brat powiedział: „Siedź i czekaj, aż przyjadę po ciebie”. Ludzi było bardzo wielu, nocą strasznie się baliśmy. Nagle słyszymy zapowiedź: za pół godziny odchodzi pociąg do Moskwy, proszę wsiadać. Zebrałam rzeczy i pobiegłam do pociągu, wlazłam na górną półkę i zasnęłam. Kiedy się obudziłam, pociąg stał koło niedużej rzeczki, kobiety robiły pranie. „Gdzie jest Moskwa?” – zapytałam zdziwiona. Odpowiedziały, że wiozą nas na wschód…

Kiedy wyszłam z wagonu, rozpłakałam się z żalu i rozpaczy. Nagle… Zobaczyła mnie Dina, moja przyjaciółka. Razem wyjeżdżałyśmy z Homla, razem odprowadziły nas mamy, a w Małojarosławcu się zgubiłyśmy. Teraz znowu byłyśmy we dwie. I już nie czułam się tak strasznie. Na stacjach

przynoszono nam jedzenie do pociągu: kanapki, wozami dowozili mleko w bańkach, a raz nawet zupę.

Wysadzili nas na stacji Dżarkul w obwodzie kustanajskim. Po raz pierwszy w życiu jechałyśmy z Diną wozem. Nawzajem się uspokajałyśmy, że przyjedziemy i od razu napiszemy do domu. „Jeśli nie zbombardują domu, to rodzice dostaną nasze listy, a jeśli dom będzie zburzony, to dokąd napiszemy?" – pytałam. Moja mama była lekarzem naczelnym szpitala dziecięcego, a tato – dyrektorem szkoły rzemieślniczej. Tato był człowiekiem spokojnym, wyglądał jak typowy nauczyciel. Kiedy pierwszy raz wrócił ze szkoły z pistoletem (tam im je wydano) i przypasał kaburę do cywilnej marynarki, przestraszyłam się. Miałam wrażenie, że on też się bał tego pistoletu, ostrożnie zdejmował go wieczorem i kładł na stole. Żyliśmy w dużym domu, ale żaden z sąsiadów nie był wojskowym, więc nigdy wcześniej nie widziałam broni. Wydawało mi się, że pistolet sam zacznie strzelać, że w naszym domu wojna już zamieszkała. A skończy się, kiedy tato zdejmie pistolet.

Byłyśmy z Diną miastowymi dziewczynkami, nie umiałyśmy nic. Dzień po przyjeździe posłano nas do pracy w polu, a tam do wieczora musiałyśmy się schylać. Zakręciło mi się w głowie i upadłam. Dina płakała nade mną, ale nie wiedziała, jak mi pomóc. Wstyd nam było, że miejscowe dziewczynki wykonują normy i kiedy my jesteśmy w połowie pola, one już są gdzieś daleko. Najstraszniejsze było dojenie – dali mi skopek do ręki i kazali doić krowy, a ja w życiu tego nie robiłam, bałam się podejść do krowy.

Kiedyś ktoś przyjechał ze stacji i przywiózł gazety. Przeczytaliśmy tam, że Homel zdobyli Niemcy, to znaczy, że nasi rodzice zginęli, a my powinnyśmy iść do domu dziecka. Nie chciałam słyszeć o domu dziecka, chciałam odnaleźć brata. Ale przyjechali po nas rodzice Diny, jakimś cudem nas odszukali. Jej ojciec pracował jako lekarz naczelny w mieście Saraktasz w obwodzie czkałowskim. Na terenie szpitala był nieduży domek i tam mieszkaliśmy. Spaliśmy na drewnianej pryczy, materac był wypchany słomą. Bardzo męczyły mnie moje długie warkocze, sięgały za kolana. Obciąć ich nie mogłam bez pozwolenia mamy. Miałam nadzieję, że mama żyje i mnie odnajdzie. A mama lubiła moje warkocze i krzyczałaby na mnie, gdybym je obcięła.

Kiedyś… O świcie… Tak dzieje się tylko w bajkach, a poza tym – na wojnie. Rozległo się pukanie do okna… Zerwałam się, a tam stała moja

mama. Upadłam… straciłam przytomność… Pierwsze, co zrobiła mama, to obcięła mi warkocze i natarła głowę płynem na wszawicę.

Mama już wiedziała, że szkoła taty została ewakuowana do Nowosybirska, więc razem tam pojechałyśmy. W Nowosybirsku zaczęłam chodzić do szkoły. Rano się uczyliśmy, a po obiedzie chodzili pomagać w szpitalu, bo do miasta docierało mnóstwo rannych, z frontu wysyłano ich na tyły. My, dziewczyny, zatrudniłyśmy się jako sanitariuszki; mnie przydzielono do chirurgii, to był najcięższy oddział. Dawano nam stare prześcieradła, rwałyśmy je na bandaże, skręcały, potem kładły do boksów i woziły do sterylizacji. Prałyśmy stare bandaże, ale z frontu przywożono czasem takie, że wynosić je trzeba było w koszach i zakopywać. Całe we krwi i w ropie…

Wychowywałam się w rodzinie lekarza i przed wojną chciałam koniecznie zostać lekarką. No więc jak na chirurgię, to na chirurgię. Inne się bały, a mnie było wszystko jedno, byle tylko pomagać, poczuć się potrzebną. Po lekcjach pędziłyśmy do szpitala, żeby się nie spóźnić, przyjść na czas. Pamiętam, że kilka razy mdlałam. Odsłaniają rany, wszystko przyschnięte, ranni krzyczą… Nosiłyśmy ich na salę operacyjną i wynosiły na noszach. Kilka razy niedobrze mi się zrobiło od zapachu bandaży, bo czuć je było nie lekarstwem, ale czymś takim… Nieznanym, chyba śmiercią… Już znałam zapach śmierci… Wchodzi się do sali – ranny jest jeszcze żywy, ale już się ten zapach czuje… Wiele dziewczyn uciekało, nie mogło tego znieść. Szyły rękawiczki dla frontu, a która umiała, ta robiła na drutach. Ale ja nie mogłam odejść ze szpitala. Jak mogłabym odejść, skoro wszyscy wiedzieli, że mama jest lekarką!

Kiedy ranni umierali, bardzo płakałam. Umierają i wołają: „Doktorze! Doktorze! Szybciej!”. Doktor przybiegał, ale nie mógł ich uratować, bo na chirurgii leżą naprawdę ciężko ranni. Pamiętam pewnego lejtnanta… Poprosił mnie o grzałkę. Położyłam mu termofor, on mnie złapał za rękę… Nie mogę jej oderwać… Przyciska do siebie… Trzyma się mnie, ze wszystkich sił się trzyma. Czułam pod swoją ręką, jak zatrzymało się jego serce. Biło, biło, aż w końcu się zatrzymało…

W czasie wojny dowiedziałam się tylu rzeczy… Więcej niż przez całe życie…

Uciekłem na wojnę za siostrą, starszym sierżantem Wierą Ried’kiną…

Nikołaj Ried’kin – 11 lat
Obecnie – mechanik

W domu ucichło… Rodzina się zmniejszyła…

Starszych braci od razu powołano do wojska. Siostra Wiera nachodziła komendę uzupełnień i w marcu czterdziestego drugiego też poszła do wojska. Zostaliśmy w domu tylko ja i młodsza siostrzyczka.

Po ewakuacji przyhołubili nas krewni w obwodzie orłowskim. Pracowałem w kołchozie, gdzie już nie było mężczyzn. Wszystkie męskie zajęcia złożono na barki takich jak ja, którzy mieli od dziewięciu do czternastu lat. Pojechałem pierwszy raz orać. Kobiety chwyciły za pługi i popędziły konie. A ja stoję i czekam, aż ktoś przyjdzie i mnie nauczy, ale one przeszły jedną bruzdę i zawróciły. Zostałem sam. No więc pognałem konia i orzemy, raz wzdłuż bruzdy, raz koło niej. Od rana byłem w polu, a nocą z chłopakami pojechaliśmy na nocny wypas koni. Tak minął jeden dzień, drugi… Trzeciego orałem, orałem, aż runąłem na ziemię.

W roku czterdziestym czwartym siostra Wiera przyjechała do nas na jeden dzień ze szpitala, gdzie leżała ranna. Rano odwieźli ją wozem na stację, a ja pobiegłem za nią. Na dworcu żołnierz nie chciał mnie wpuścić do wagonu: „Ty z kim, chłopczyku?”. Nie straciłem kontenansu: „Ze starszym sierżantem Wierą Ried’kiną”…

No więc puścili mnie na wojnę…

W tamtą stronę, z której wschodzi słońce…

Wala Kożanowska – 10 lat
Obecnie – robotnica

Pamięć dziecka… W pamięci dziecka pozostaje tylko strach albo coś dobrego…

Nasz dom stał niedaleko szpitala wojskowego. Szpital zbombardowano. Widziałam, jak z okien wypadają ranni z kulami. W naszym domu wybuchł pożar… Mama skoczyła w ogień, krzycząc: „Zabiorę ubrania dla dzieci”.

Nasz dom się palił… Paliła się nasza mama… Rzuciłyśmy się za nią, ludzie dopędzili nas i powstrzymali: „Dzieci, mamy już nie uratujecie”. Pobiegłyśmy tam, dokąd wszyscy uciekali. Dookoła leżą martwi… Ranni jęczą, proszą o pomoc. A któż im pomoże? Ja miałam jedenaście lat, siostra dziewięć. Wtedy straciłam ją z oczu.

Spotkałyśmy się w domu dziecka w Ostroszyckim Gorodku pod Mińskiem, kiedy w samym Mińsku już byli Niemcy. Na rok przed wojną tato zawiózł nas tam na obóz pionierski. To ładne miejsce. Z obozu pionierów Niemcy zrobili dom dziecka. Wszystko było zarazem znajome i obce. Przez kilka dni słyszało się tylko szlochanie, skargi, że ktoś został bez rodziców albo że dom mu się spalił. Wychowawczynie były dawne, ale porządki już nowe, niemieckie. Po roku… Tak, minął chyba rok… Zaczęto nas wybierać do wywózki do Niemiec. Wybierano nie według lat, tylko według wzrostu, a ja na nieszczęście byłam wysoka jak ojciec, a siostrzyczka jak mama – nieduża. Podjechały samochody, dookoła stali Niemcy z automatami, mnie zapędzono na ciężarówkę, siostra w krzyk, ale ją odepchnęli, strzelali pod nogi. Nie puścili jej do mnie. I tak nas rozłączyli…

Wagon był pełny… Wypełniony do ostatka… Samymi dziećmi, nikt nie miał więcej niż trzynaście lat. Pierwszy raz zatrzymaliśmy się w Warsza-

wie. Nikt nam nie dał pić ani jeść, tylko jakiś staruszek przyszedł z kieszeniami pełnymi zawiniętych karteczek, na których po rosyjsku napisana była modlitwa „Ojcze nasz”, i każdemu wręczył taką karteczkę.

Z Warszawy jechaliśmy jeszcze dwa dni. Tam, gdzie wysiedliśmy, był najwyraźniej punkt sanitarny. Wszystkich nas rozebrali do naga, chłopców i dziewczynki obok siebie, tak że płakałam ze wstydu. Dziewczynki chciały przejść na jedną stronę, chłopcy na drugą, ale Niemcy zebrali nas w jedną grupę i puścili zimną wodę… z węża… Woda miała jakiś nieznany zapach, nigdy się z takim nie zetknęłam, nie wiem, jaki tam był środek dezynfekcyjny. Przeprowadzili dezynfekcję, nie zwracając na nic uwagi, lali tym środkiem prosto w oczy, w uszy, w usta… Potem wydali nam pasiaste spodnie i bluzy jak od piżamy, drewniaki na nogi, a do piersi przypięli metalowe znaczki „Ost”.

Wypędzili nas na ulicę i ustawili jak do apelu. Myślałam, że nas gdzieś zaprowadzą, do jakiegoś obozu, ale z tyłu szeptali: „Wystawią nas na sprzedaż”. Podszedł stary Niemiec, wybrał mnie i jeszcze trzy dziewczyny, dał pieniądze i pokazał nam wóz ze słomą: „Siadajcie!”.

Przywieźli nas do jakiegoś majątku… Stał tam wysoki dom, a dookoła niego był stary park. Zakwaterowali nas w szopie, w jednej połowie mieszkało dwanaście psów, a w drugiej my. Od razu kazali pójść do pracy w polu – zbierać kamienie, żeby pługi czy siewniki się nie łamały. Kamienie trzeba było układać w jednym miejscu, równiutko. A my chodziłyśmy w tych drewniakach, więc potem na stopach miałyśmy pełno odcisków. Do jedzenia dawali nam marny chleb i chude mleko.

Jedna z dziewcząt umarła, nie wytrzymała tego. Wywieźli ją końmi do lasu i tak zwyczajnie zakopali. A drewniane kajdany i piżamę w paski przywieźli z powrotem, do majątku. Pamiętam, że miała na imię Ola.

Był tam bardzo stary Niemiec, który karmił psy. Mówił po rosyjsku, chociaż bardzo źle. Ale mówił, żeby nas podtrzymać na duchu: „Kinder, Hitler kaput. Ruski kom”. Zaglądał też do kurnika, podkradał jajka do czapki i chował do skrzynki z narzędziami – w majątku wykonywał też prace ciesielskie. Brał do rąk siekierę i szedł niby do pracy, a tymczasem stawiał skrzynkę przy nas i rozglądał się na boki, dając znaki rękami, żebyśmy szybciej zjadły. Jajka wypijałyśmy, a skorupy zakopywały.

Zagadnęli nas kiedyś dwaj serbscy chłopcy, którzy też pracowali w tym majątku… Byli niewolnikami, takimi samymi jak my. Zdradzili nam swoją

tajemnicę… Przyznali się, że mają plan: „Trzeba uciekać, bo inaczej wszyscy umrzemy jak Ola. Zakopią nas w lesie, a drewniaki i piżamy zabiorą z powrotem”. Bałyśmy się, ale nas przekonali. Za majątkiem było bagno, rano po kryjomu się tam przedostaliśmy, a potem ruszyli biegiem. Biegliśmy w tę stronę, gdzie wschodzi słońce, na wschód.

Wieczorem w zagajniku wszyscy zwaliliśmy się na ziemię i zmordowani usnęli. Rano otwieramy oczy, a tu cisza, tylko ropuchy rechoczą. Wstaliśmy, obmyli się rosą i ruszyli w drogę. Całkiem niedaleko zobaczyliśmy przed sobą szosę – gdybyśmy ją przecięli, znaleźlibyśmy się w pięknym, gęstym lesie. Nasze ocalenie. Jeden z chłopców podczołgał się, zlustrował szosę i woła: „Biegiem!”. Wpadamy na szosę, a z tego lasu prosto na nas wyjeżdża niemiecki samochód; siedzieli na nim żołnierze z automatami. Otoczyli nas i tych chłopców zaczęli bić, kopać.

Na samochód wrzucili ich martwych, a mnie i jedną dziewczynkę posadzili obok. Powiedzieli, że tamci mają dobrze, a wy, ruskie świnie, jeszcze zobaczycie. Po przywieszkach poznali, że jesteśmy ze Wschodu. Myśmy były tak przerażone, że nawet nie płakałyśmy.

Przywieźli nas do obozu. Tam zobaczyłyśmy, że na słomie siedzą dzieci, po których łażą wszy. Słomę przywożono z pól, które zaczynały się tuż za drutami z prądem.

Co rano stukała żelazna zasuwa, wchodzili śmiejący się oficer i ładna kobieta, która po rosyjsku mówiła:

– Kto chce kaszy, niech szybko staje w dwuszeregu. Zaprowadzimy was do jedzenia…

Dzieci potykały się, przepychały, kaszy chcieli wszyscy.

– Potrzeba tylko dwudziestu pięciu – odliczała kobieta. – Nie kłóćcie się, reszta niech czeka do jutra.

Z początku jej wierzyłam, biegłam razem z tymi małymi, przepychałam się, potem jednak zaczęłam się bać – dlaczego nie wracają te, które mają dostać kaszę? Siadałam tuż przy wejściu, pod żelaznymi drzwiami, więc nawet kiedy nas już było mało, kobieta nie zwracała na mnie uwagi. Jak długo to trwało, nie umiem powiedzieć. Wydaje mi się… że wtedy straciłam pamięć…

Nie widziałam w obozie ani jednego ptaka czy nawet żuka. Marzyłam, żeby znaleźć choćby robaka. Ale ich tam nie było…

Pewnego dnia usłyszeliśmy hałas, krzyki, strzały. Zastukała żelazna zasuwa i do baraku wpadli nasi żołnierze z okrzykiem: „Dzieciaczki!”. Biorą nas na ręce, na barki, po kilkoro, bo myśmy tam już nic nie ważyli, lekcy byliśmy jak powietrze. Całują nas, obejmują i płaczą. Wynoszą na ulicę…

Widzimy czarny komin krematorium…

Przez kilka tygodni nas leczyli, karmili. Pytają mnie:

– Ile masz lat?

– Trzynaście – odpowiadam.

– A myśmy myśleli, że osiem…

Kiedy nabraliśmy sił, zawieziono nas w tę stronę, gdzie wschodzi słońce.

Do domu…

W białej koszuli… Wszyscy mnie z daleka widzieli…

Jefim Friedland – 9 lat
Obecnie – zastępca dyrektora kombinatu wyrobów silikatowych

Dzieciństwo skończyło się z pierwszymi strzałami… We mnie żyło jeszcze dziecko, ale już wespół z kimś innym…

Przed wojną bałem się sam zostawać w mieszkaniu, a tu nagle strach minął. W żadne mamine duszki, które chowają się za piecem, już nie wierzyłem, i ona też o nich nie wspominała. Wyjeżdżaliśmy z Chocimska wozem, mama kupiła kosz jabłek, postawiła koło mnie i siostry, żebyśmy jedli. Zaczęło się bombardowanie, siostra miała w rękach dwa ładne jabłka, zaczęliśmy się bić, nie chciała mi oddać żadnego. Mama krzyczy: „Chowajcie się!”, a my dzielimy jabłka. Biliśmy się, dopóki nie poprosiłem siostry: „Daj mi choćby jedno jabłko, bo nas zabiją, a ja nie spróbuję”. Oddała jedno, najładniejsze. Wtedy przestali zrzucać bomby. Ale nie zjadłem tego szczęśliwego jabłka.

Jechaliśmy wozem, przed nami szło stado. Od ojca wiedzieliśmy (przed wojną był w Chocimsku dyrektorem oddziału Zagotskotu), że to nie są zwyczajne krowy, tylko stado zarodowe, kupione za granicą za duże pieniądze. Pamiętam, jak ojciec nie umiał mi wytłumaczyć, ile to są te duże pieniądze, dopóki nie dał przykładu, że każda krowa kosztuje tyle, ile traktor. Jak czołg. Skoro jak czołg, no to znaczy, że bardzo dużo. Strzegliśmy każdej krowy.

Ponieważ rosłem w rodzinie zootechnika, lubiłem zwierzęta. Kiedy po kolejnym bombardowaniu zostaliśmy bez wozu, szedłem na czele stada, przywiązany do byka Waśki. Byk miał kółko w nosie, do kółka przywiązany był sznur, którego końcem się obwiązałem. Krowy długo nie mogły przywyknąć do bomb, były ciężkie i nigdy ich tak daleko nie pędzono, więc

strasznie się męczyły, w dodatku pękały im kopyta. Pod ostrzałem trudno je było zebrać. Ale jeśli byk wychodził na drogę, to wszystkie za nim szły. A on słuchał tylko mnie.

Matka w nocy długo prała gdzieś moją białą koszulę… O świcie starszy lejtnant Turczin, który dowodził taborem, krzyczy: „Pobudka!”. Wkładam koszulę, biorę byka i idziemy. Pamiętam, że cały czas szedłem w białej koszuli. Dzięki temu w ciemności wszyscy z daleka mnie widzieli. Spałem obok byka, pod jego przednimi nogami, bo tak było cieplej. Waśka nigdy nie wstawał pierwszy, czekał, aż ja wstanę. Czuł, że obok niego jest dziecko, któremu mógłby zrobić krzywdę. A ja kładłem się z nim i nigdy się nie bałem.

Pieszo doszliśmy do Tuły. To ponad tysiąc kilometrów. Szliśmy trzy miesiące, już boso, bo wszystko się na nas podarło. Pastuchów zostało mało. Krowom rozdymały się wymiona, nie zdążano ich wydoić. Wymię boli, a wtedy krowa staje koło człowieka i patrzy. Miałem skurcze w rękach, dziennie doiłem od piętnastu do dwudziestu krów. Widzę, jakby to było wczoraj: leży na drodze krowa z przestrzeloną nogą, a z posiniałego wymienia kapie mleko. Patrzy na ludzi… Czeka… Żołnierze zatrzymali się i za karabiny – chcą zastrzelić, żeby się nie męczyła. Poprosiłem: „Poczekajcie…”.

Podszedłem i wydoiłem mleko na ziemię. Krowa z wdzięczności polizała mnie w kark. Wstałem i mówię: „No, teraz strzelajcie…”. A sam uciekłem, żeby tego nie widzieć…

W Tule dowiedzieliśmy się, że całe przypędzone przez nas bydło pójdzie do rzeźni, nie ma co z nim zrobić. Do miasta zbliżali się Niemcy. Włożyłem białą koszulę i poszedłem pożegnać się z Waśką. Byk ciężko dyszał mi w twarz…

W maju czterdziestego piątego… Wracaliśmy do domu. Kiedy dojeżdżaliśmy do Orszy, stałem akurat przy oknie, a wtedy poczułem, że mama jest za moimi plecami. Otworzyłem okno. Mama spytała: „Czujesz zapach naszych bagien?”. Płakałem rzadko, ale wtedy się rozbeczałem. W obcych stronach nawet mi się śniło, że na bagnach koszą siano, zbierają je w stogi; czułem, jak pachnie, kiedy podeschnie i trochę je przesuszą. Nigdzie indziej nie czułem tego zapachu siana z rodzimych mokradeł. Wydaje mi się, że tylko u nas na Białorusi taki mocny jest zapach błotnego siana. Prześladował mnie wszędzie, nawet we śnie go czułem.

W Dniu Zwycięstwa wujek Kola, sąsiad, wybiegł na ulicę i zaczął strzelać w powietrze. Otoczyli go chłopcy i wołają:

– Wujku Kola, ja też chcę!

– Wujku Kola, daj mnie…

Pozwolił wszystkim. Wtedy pierwszy raz wystrzeliłem…

Na podłogę, którą dopiero co wymyłam…

Masza Iwanowa – 8 lat
Obecnie – nauczycielka

Nasza rodzina żyła w zgodzie. Wszyscy się kochaliśmy…

Mój ojciec walczył podczas wojny domowej. Od tamtego czasu chodził o kulach. Mimo to kierował kołchozem, jego gospodarstwo przodowało w statystykach. Kiedy nauczyłam się czytać, pokazywał mi wycinki z „Prawdy", w której pisano o naszym kołchozie. Jako najlepszy przewodniczący ojciec przed wojną bywał na zjazdach przodowników pracy w kołchozie i jeździł na wystawę rolniczą do Moskwy. Przywiózł mi stamtąd ładne książki dla dzieci i metalowe pudełko z czekoladowymi cukierkami.

Kochałyśmy z mamą naszego tatę. Uwielbiałam go, a on uwielbiał nas. Mnie i mamę. Może upiększam swoje dzieciństwo? Ale wszystko, co było przed wojną, w mojej pamięci jest jasne i radosne. Dlatego że… To było dzieciństwo… Prawdziwe dzieciństwo…

Zapamiętałam piosenki. Z pola kobiety wracały, śpiewając. Słońce chowa się za horyzont, a zza góry donosi się przeciągłe:

Już tak blisko do wieczora,

Pora iść do domu, pora…

Wybiegałam piosence na spotkanie – tam była moja mama, słyszałam jej głos. Mama brała mnie na ręce, a ja ściskałam ją mocno za szyję, potem zeskakiwałam i biegłam na przedzie, a piosenka biegła za mną, wypełniała cały mój świat, i było mi tak wesoło, tak dobrze.

Po takim szczęśliwym dzieciństwie… nagle, niespodziewanie wojna…

W pierwszych dniach zniknął ojciec… Zostawiono go, żeby organizował podziemie. Nie mógł mieszkać w domu, bo wszyscy u nas go znali. Przychodził do nas tylko w nocy.

Kiedyś usłyszałam, jak rozmawia z mamą:

– Wysadziliśmy niemiecki samochód na szosie koło…

Zakaszlałam na piecu, rodzice się przestraszyli.

– Nikt o tym nie powinien wiedzieć, córeczko – uprzedzili mnie.

Zaczęłam bać się nocy. Że ojciec przyjdzie do nas, a hitlerowcy dowiedzą się i zabiorą naszego tatę, którego tak kocham.

Czekałam na niego cały czas. Wciskałam się w najdalszy kąt na naszym dużym piecu, ściskałam babcię, ale bałam się zasnąć; jeśli zasypiałam, to często się budziłam. W kominie wyje wichura, zasuwka drży i pobrzękuje. A ja mam w głowie jedno: nie przespać przyjścia taty.

Nagle zaczyna mi się wydawać, że to nie burza wyje, ale mama płacze. Mam gorączkę. Tyfus.

Późno w nocy przyszedł ojciec. Ja usłyszałam go pierwsza i zawołałam babcię. Ojciec był zimny, a ja cała rozpalona, on siedział przy mnie i nie umiał odejść. Zmęczony, postarzały, ale taki kochany, taki swój. Po kilku godzinach od jego przyjścia ktoś załomotał do drzwi. Ojciec nawet nie zdążył narzucić kożucha, jak do domu wdarli się policaje. Wypchnęli go na ulicę, ja za nim, on wyciągnął do mnie ręce, ale uderzyli go automatem po rękach. Bili go po głowie. Biegłam za nim boso po śniegu do samej rzeczki i krzyczałam: „Tatusiu! Tatusiu…”. W domu babcia zawodziła: „Gdzie jest Bóg? Gdzie się chowa?”.

Zabili go…

Babcia nie mogła przeżyć takiego nieszczęścia. Płakała coraz ciszej i po dwóch tygodniach zmarła w nocy na piecu, a obok ja spałam i obejmowałam ją martwą. W domu nikogo więcej nie było – mama z bratem ukrywali się u sąsiadów.

Po śmierci taty mama też się całkiem zmieniła. Nigdzie nie wychodziła z domu. Mówiła tylko o tacie, szybko się męczyła, a przed wojną była przodownicą, zawsze pierwsza. Mnie nie dostrzegała, choć ja cały czas starałam się być na widoku. Chciałam jakoś ją pocieszyć. Ale ona ożywiała się tylko wtedy, kiedy wspominałyśmy tatę.

Pamiętam, jak przybiegły dwie uszczęśliwione baby.

– Z sąsiedniej wsi przysłali chłopaka na koniu. Mówi, że wojna się skończyła. Wkrótce nasze chłopy zaczną wracać z wojny.

Mama upadła na podłogę, którą dopiero co wymyłam.

Czy Bóg na to patrzył? I co wtedy myślał…

Jura Karpowicz – 8 lat
Obecnie – kierowca

Widziałem rzeczy, których nie powinienem był oglądać. Żaden człowiek nie powinien ich oglądać. A ja byłem małym dzieckiem…

Widziałem, jak żołnierz biegnie, i jakby się potykał. Padał. Długo drapał ziemię, obejmował ją…

Widziałem, jak naszych jeńców pędzili przez wieś. Długie kolumny. Szli w podartych i osmalonych szynelach. Tam, gdzie nocowali, zostawały ogryzione z kory drzewa… Do jedzenia rzucano im zdechłego konia. Jeńcy rozrywali go…

Widziałem, jak nocą zleciał z nasypu i spłonął niemiecki pociąg wojskowy, a rano ułożyli na torach wszystkich, którzy pracowali na tym odcinku, i przejechali po nich lokomotywą…

Widziałem, jak do bryczki zaprzęgano ludzi. Mieli na plecach żółte gwiazdy… Pędzono ich batami. Taka wesoła przejażdżka…

Widziałem, jak matkom bagnetami wytrącano z rąk dzieci. Wrzucano je do ognia. Do studni… A do mnie i do mamy kolejka nie doszła…

Widziałem, jak płakał pies sąsiadów. Siedział na pogorzelisku ich chałupy. Sam… Miał oczy starego człowieka…

A ja byłem mały…

Z tym wyrosłem… Wyrosłem ponury i nieufny, mam przykry charakter. Nie przejmuję się, kiedy ktoś płacze; wręcz przeciwnie, jest mi wtedy lżej, bo sam nie umiem płakać. Ożeniłem się dwukrotnie i obie żony ode mnie odeszły, nikt ze mną nie wytrzymał. Trudno mnie kochać. Wiem… Sam dobrze wiem…

Minęło wiele lat… Teraz chcę zapytać, czy Bóg na to patrzył. I co wtedy myślał…

Taki cudowny ten świat…

Ludmiła Nikanorowa – 12 lat
Obecnie – inżynier

Chciałabym sobie przypomnieć, czy wcześniej rozmawialiśmy o wojnie…

W radiu nadawano pieśni: *Jeśli jutro na bój*, *Mocne pancerze mają nasze czołgi*[26]. Dzieci mogły spokojnie zasypiać.

Mieszkaliśmy w Woroneżu. To miasto mojego dzieciństwa…

W szkołach było sporo nauczycieli ze starej inteligencji. Duża kultura muzyczna. Nasz szkolny chór, w którym śpiewałam, cieszył się w mieście wielką popularnością. Myślę też, że wszyscy lubili teatr.

W naszym domu mieszkały wyłącznie rodziny wojskowych. Dom był trzypiętrowy, na podwórzu latem kwitła i pachniała akacja. Często bawiliśmy się przed domem, było tam gdzie się chować. Miałam szczęście do rodziców. Tato był zawodowym wojskowym. Widok munduru towarzyszył mi przez całe dzieciństwo. Mama miała łagodny charakter i złote ręce. A ja byłam jedynaczką, przy tym, jak zwykle w takich razach bywa, kapryśną, upartą, a równocześnie wstydliwą. Chodziłam na zajęcia z muzyki i choreografii przy Domu Armii Czerwonej. W niedzielę, jedyny dzień, kiedy nie był zajęty, tato lubił z nami spacerować po mieście. Szłyśmy z mamą po jego lewej stronie, bo ojciec musiał salutować napotkanym wojskowym. Przykładał palce do daszka.

Lubił też czytać ze mną wiersze, zwłaszcza Puszkina:

Tak, synu, ucz się, nauka przyspiesza
Poznanie życia, co tak wartko bieży…[27]

Tamtego czerwcowego dnia włożyłam ładną sukienkę i poszłam z koleżanką do Domu Armii Czerwonej na przedstawienie, które miało się zacząć

w południe. Widzimy, że wszyscy stoją pod słupem i słuchają radia z głośnika. Na ich twarzach widać troskę.

– Słyszysz? Wojna! – mówi koleżanka.

Pędzę do domu. Szarpnęłam drzwi. W mieszkaniu cicho, mamy nie ma, tato w skupieniu goli się przed lustrem, jeden policzek ma cały namydlony.

– Tato, wojna!

Odwrócił się do mnie i dalej się golił. Zobaczyłam jego oczy ze znanym mi wyrazem. Pamiętam, że tato wyłączył głośnik na ścianie. To było wszystko, co mógł zrobić dla mnie i mamy, żebyśmy trochę później usłyszały straszną wieść.

Wszystko błyskawicznie się zmieniło… Jakoś zupełnie nie pamiętam taty w owych dniach. Życie wyglądało teraz inaczej. Odbywały się zebrania mieszkańców, na których dowiadywaliśmy się, jak gasić pożary, jeśli dom się zapali, jak zasłaniać okna na noc, bo w mieście nie powinno być świateł. Ze sklepów wszystko poznikało, wprowadzono kartki na żywność.

Nadszedł tamten ostatni wieczór. Był zupełnie inny, niż pokazują dzisiejsze filmy: łzy, uściski, skok w biegu do pociągu. U nas tego nie było. Wszystko szło tak, jakby tato wyjeżdżał na manewry. Mama złożyła jego rzeczy – skarpetki, chusteczki do nosa; wszystko było poprzyszywane – kołnierzyk, guziki, naszywki polowe. Tato zrolował szynel, chyba nawet mu go przytrzymywałam.

Na korytarz wyszliśmy we trójkę. Była późna godzina, w tym czasie w domu zamykano już wszystkie drzwi poza głównym wejściem, więc żeby dostać się na podwórze, musieliśmy z parteru wejść na pierwsze piętro, przemierzyć długi korytarz i znowu zejść. Na ulicy było ciemno, więc mój zawsze uważny ojciec powiedział:

– Dalej już mnie nie odprowadzajcie.

Uściskał nas.

– Wszystko będzie dobrze. Nie martwcie się.

I poszedł.

Z frontu przysłał kilka listów: „Wkrótce zwyciężymy, wtedy zaczniemy inaczej żyć. Jak sprawuje się Ludka?”. Nie mogę sobie przypomnieć, czym zajmowałam się do pierwszego września. Przyczyniałam zmartwień mamie tym, że bez pytania wychodziłam na długo do przyjaciółek. Alarmy lotnicze stały się, jeśli tak można powiedzieć, czymś normalnym. Wszyscy do nich szybko przywykli – biegli do schronu, siedzieli w domach. Mnie wie-

lokrotnie bombardowanie zastało w mieście, na ulicy. Wbiegałam wtedy do sklepu albo do bramy – i tyle.

Krążyło wiele plotek. Ale żadna nie została mi w pamięci… W dziecięcej jeszcze głowie… Mama dyżurowała w szpitalu. Codziennie przyjeżdżały pociągi z rannymi.

Co dziwne, na półkach znowu pojawiły się towary, ludzie je kupowali. Kilka dni zastanawiałyśmy się z mamą, czy nie kupić nowego pianina. Na razie jednak postanowiłyśmy go nie kupować, poczekać na tatę. Zakup mimo wszystko poważny.

Trudno to pojąć, ale nauka zaczęła się jak zwykle, pierwszego września. A przez cały sierpień nie było ani słowa od taty. Czekałyśmy i nie traciły nadziei, chociaż znałyśmy już słowa „okrążenie” i „partyzanci”. Pod koniec miesiąca ogłoszono, że mamy być w każdej chwili gotowi do ewakuacji. Dokładną datę poznaliśmy, o ile pamiętam, w przeddzień wyjazdu. Oj, miały wtedy nasze mamy roboty! Mimo wszystko byłyśmy przekonane, że wyjeżdżamy na parę miesięcy, przeczekamy wojnę gdzieś w Saratowie i wrócimy. Do jednego tobołka – pościel, do drugiego – naczynia, no i waliza z ubraniami. Jesteśmy gotowe.

Z drogi zapamiętałam tylko taki obraz: nasz pociąg odjeżdża, chociaż nie gwizdał. My wtedy łaps garnki, ale nie ma czasu gasić ogniska, więc kiedy jechaliśmy, wzdłuż nasypu zostawiliśmy łańcuch świateł. Pociąg dojechał do Ałma Aty, następnie wrócił do Szymkentu. I tak kilka razy – tam i z powrotem. Wreszcie na wozach, zwanych *możar*, ciągniętych niespiesznie przez woły, wjechałyśmy do aułu. Zobaczyłam po raz pierwszy kibitkę[28]… Jak we wschodniej bajce… Wszystko kolorowe, niezwyczajne… Bardzo mnie ciekawiło…

Ale kiedy zobaczyłam u mamy pierwszy siwy włos, zaniemówiłam. Odtąd zaczęłam szybko dorastać. Ach, te mamine ręce! Nie było takiej rzeczy, której by nie potrafiły zrobić! W ostatniej chwili przed wyjazdem mamie wpadło do głowy, że warto zabrać maszynę do szycia (owinęła ją poduszką, pudło zostawiła) i wrzucić na odjeżdżający na stację samochód. Maszyna stała się naszą żywicielką. Nocami mama szyła. Czy w ogóle kiedyś spała?

A na horyzoncie były zaśnieżone pasma gór Tienszan, wiosną – czerwony od tulipanów step, a jesienią – kiście winogron i melony (tyle że nie było mowy o ich kupieniu!). I wojna! Szukałyśmy naszego tatusia. Przez trzy lata napisałyśmy ze trzydzieści listów: do sztabu armii, poczta polowa nu-

mer sto szesnaście, komisariat ludowy obrony, Główny Zarząd Kadr Armii Czerwonej w Bugurusłanie… Ze wszystkich instytucji przychodzi odpowiedź: „Na listach zabitych i rannych nie figuruje…”. Skoro nie figuruje, to czekamy i czekamy, nie tracimy nadziei.

Radio zaczęło nadawać radosne wieści. Nasze wojska wyzwalały jedno miasto po drugim. Już wolna była Orsza, rodzinne miasto mamy. Tam mieszkały jej siostry i matka. Woroneż także już nasz… Ale Woroneż bez taty był dla nas obcy. Zwolniłyśmy się i pojechały do babci. Wejść do wagonu nie było łatwo, nigdy nie dopchałyśmy się dalej niż do przedsionka. Pięć dni i nocy w przedsionku…

Moje ulubione miejsce w domu babci było za ciepłym rosyjskim piecem. W szkole siedzieliśmy w paltach, wiele dziewcząt miało płaszczyki uszyte z wojskowych szyneli, a chłopcy – po prostu szynele. Któregoś ranka z głośnika usłyszałam: „Zwycięstwo!”. Miałam piętnaście lat… Włożyłam przedwojenny prezent od taty – wełnianą włóczkową bluzeczkę oraz nowe pantofle na obcasach – i poszłam do szkoły. Przechowałyśmy te rzeczy, były kupione na wyrost, więc teraz na mnie pasowały.

Wieczorem siedzimy przy stole, położyłyśmy na nim zdjęcie taty i tomik Puszkina z pożółkłymi brzegami stron wypadającymi z okładki. To był jego prezent dla narzeczonej, dla mamy. Wspominałam, jak z tatą czytaliśmy razem wiersze i jak tato, kiedy coś mu się wyjątkowo podobało, mówił: „Taki cudowny ten świat”. Zawsze powtarzał te słowa w miłych chwilach.

Taki był kochany… Że nawet nie umiem sobie wyobrazić go nieżywego…

Przynosili długie wąskie cukierki… Długie jak ołówki…

Leonida Biełaja – 3 lata
Obecnie – prasowaczka

Czy trzyletnie dziecko jest w stanie coś zapamiętać? Mogę pani powiedzieć…

Jakieś trzy, cztery obrazy zapamiętałam bardzo wyraźnie.

Za chałupą na łące jacyś panowie się gimnastykują, kąpią się w rzece. Pryskają wodą, krzyczą, śmieją się, ścigają jeden drugiego jak nasi wiejscy chłopcy. Tyle że do chłopców mama mnie puszczała, a tutaj krzyczy w strachu i nie pozwala wyjść z domu. Na moje pytanie: „Co to za panowie?” – odpowiada zalękniona: „Niemcy”. Inne dzieci biegały do rzeki i przynosiły długie wąskie cukierki… Częstowały mnie…

Ci sami panowie maszerowali później naszą ulicą. Wystrzelali wszystkie psy, bo na nich szczekały.

Odtąd mama zabroniła mi wychodzić w dzień na ulicę. Całymi dniami siedzieliśmy w domu – ja i kot.

Dokądś biegniemy… Rosa jest zimna. Babcia ma spódnicę mokrą aż do pasa, ja mam mokrą sukienkę, a nawet głowę. Chowamy się w lesie, ja schnę w babci garsonce, sukienka się suszy.

Któryś z sąsiadów wlazł na drzewo. Słyszę: „Pali się… Pali… pali…”. Tylko to jedno…

Wracamy do wsi. Nie ma chat, tylko czarne pogorzeliska. Tam, gdzie mieszkali nasi sąsiedzi, znajdujemy grzebyk. Poznaję ten grzebyk, dziewczynka od sąsiadów mnie nim czesała, miała na imię Aniutka. Gdzie jest ona i gdzie jest jej mama? Dlaczego nie wracają? Moja mama trzyma się za serce. A ja pamiętam, jak od tych panów, którzy kąpali się w rzece, Aniutka

przynosiła mi długie, wąskie cukierki. Takie długie jak ołówki… Bardzo smaczne, myśmy takich nie znali… Aniutka była ładna, zawsze dawali jej dużo cukierków. Najwięcej ze wszystkich.

Nocą wsuwamy nogi w popiół, żeby się zagrzać i zasnąć. Popiół jest miękki, ciepły…

Kuferek pasował akurat do jego wzrostu…

Dunia Gołubiewa – 11 lat
Obecnie – dojarka

Wojna… Ale orać trzeba…

Mama, siostra i brat pojechali w pole siać len. Minęła jakaś godzina, nie więcej, nagle przyleciały kobiety i krzyczą: „Dunia, zastrzelili twoich. Leżą w polu…”.

Mama leżała na worku, a z worka sypały się nasiona. Było mnóstwo dziurek po kulach…

Zostałam sama ze swoim malutkim siostrzeńcem. Moja siostra niedawno urodziła, a jej mąż był u partyzantów. I z tym chłopczykiem…

Nie potrafiłam doić krowy. Krowa ryczy w oborze, czuje, że nie ma gospodyni. Pies wyje całą noc. A krowa ryczy…

Mały przyłazi do mnie… Prosi piersi… Mleka… Przypomniałam sobie, jak go siostra karmiła… Podałam mu sutek, on cmoktał, cmoktał, aż zasnął. Nie miałam mleka, ale on się zmęczył i zasnął. Gdzie się zaziębił? Jak zachorował? Sama byłam mała, co tam mogłam zrozumieć. Kaszle i kaszle. Nie ma co jeść. Krówkę już zabrali policaje.

Chłopczyk umarł. Jęczał, jęczał, w końcu umarł. Słyszę, że zrobiło się cicho. Podniosłam szmatki, a on leży czarny, tylko twarzyczka została biała, czysta. Twarzyczka biała, a cały był czarny.

Noc. W oknach ciemno. Dokąd pójdę? Poczekam do rana i zawołam ludzi. Siedzę i płaczę, że nie ma nikogo w chacie, nawet tego malutkiego chłopca. Kiedy się zaczęło rozwidniać, położyłam go do kuferka… Został u nas kuferek dziadka, gdzie leżały jego narzędzia. Nieduży kuferek, taki jak paczuszka. Bałam się, że przyjdą koty albo szczury i obgryzą dziecko.

Leży taki maleńki, jeszcze mniejszy niż za życia. Zawinęłam go w czysty ręcznik. Lniany. I ucałowałam.

Kuferek pasował akurat do jego wzrostu…

Bałam się tego snu…

Lena Starowojtowa – 12 lat
Obecnie – tynkarz

Pozostał mi sen… Pewien sen…

Mama włożyła swoje zielone palto i buty, a moją sześciomiesięczną siostrzyczkę zawinęła w ciepłą kołdrę. I poszła. Siedziałam i czekałam przy oknie, kiedy wróci. Nagle zobaczyłam, że drogą prowadzą kilka osób, a wśród nich moją mamę z siostrzyczką. Koło naszego domu mama odwróciła głowę i spojrzała w stronę okna. Nie wiem, czy mnie zobaczyła, czy nie. Hitlerowiec uderzył ją kolbą… Uderzył tak, że się zgięła…

Wieczorem przyszła ciocia, siostra mamy… Bardzo płakała, wyrywała włosy z głowy, a mnie nazywała sierotką, sieroteńką. Usłyszałam to słowo po raz pierwszy…

W nocy śniło mi się, że mama pali w piecu, ogień jasno płonie, a moja siostrzyczka płacze. Mama mnie woła… A ja jestem gdzieś daleko i nie słyszę. W strachu budzę się, że mama mnie woła, a ja się nie odzywam. Mama płakała w tym śnie… Nie mogłam sobie darować tego, że płacze. Ten sen wiele razy się powtarzał… Zawsze śniło mi się to samo. Chciałam, żeby się śniło… i zarazem bałam się tego…

Nie mam nawet zdjęcia mamy. Tylko ten sen. Nigdzie indziej mamy nie zobaczę.

Chciałam być jedynaczką… I żeby mama mnie rozpieszczała…

Marija Puzan – 7 lat
Obecnie – robotnica

Proszę wybaczyć, ale kiedy to wspominam… Nie mogę… Ja… Nie potrafię spojrzeć komuś w oczy…

Wypędzili z szopy kołchozowe krowy, a do środka wepchnęli ludzi. I naszą mamę. Myśmy z bratem siedzieli w krzakach, brat miał dwa latka, nie płakał. A pies siedział z nami.

Rano wróciliśmy do domu, dom stoi, ale mamy nie ma. Żadnych ludzi nie ma. Tylko myśmy zostali. Idę po wodę, trzeba też w piecu napalić, braciszek chce jeść. Na studziennym żurawiu wisieli nasi sąsiedzi. Zawróciłam i poszłam na drugi koniec wsi, tam w studni była woda źródlana, najlepsza we wsi. Najsmaczniejsza. Ale tam też wisieli ludzie. Wróciłam z pustymi wiadrami. Braciszek płakał, bo był głodny. „Daj chleba. Daj skórkę”. W którejś chwili go nawet ugryzłam, żeby nie płakał.

Tak żyliśmy kilka dni. Sami we wsi. Ludzie leżeli martwi albo wisieli. Nie baliśmy się martwych, bo to wszystko byli znajomi. Potem spotkaliśmy obcą kobietę i zaczęliśmy płakać: „Chcemy z panią mieszkać. Sami się boimy”. Posadziła nas na sanki i zawiozła do swojej wsi. Miała teraz dwóch chłopców i nas dwoje. Mieszkaliśmy tam, dopóki nie przyszli nasi żołnierze.

W domu dziecka dali mi pomarańczową sukienkę z kieszonkami. Tak ją polubiłam, że wszystkich prosiłam: „Kiedy umrę, to mnie pochowajcie w tej sukience”. Myślałam, że skoro mama umarła i tato umarł, to ja też wkrótce umrę. Bardzo długo żyłam z tym przekonaniem. Zawsze płakałam, kiedy słyszałam słowo „mama”. Kiedyś na mnie za to nakrzyczeli i posta-

wili do kąta. Potem uciekłam z domu dziecka. Kilka razy uciekałam, żeby szukać mamy.

Nie pamiętam swojej daty urodzenia… Powiedziano mi, żebym wybrała sobie jakiś dzień. Taki, jaki mi się podoba. A ja lubiłam pierwszy maja. „Ale – myślałam – nikt nie uwierzy, kiedy powiem, że urodziłam się pierwszego maja, drugiego też nie, ale jeśli powiem trzeciego maja, to będzie wyglądało na prawdę”. Raz na kwartał zbierano wszystkich solenizantów, uroczyście nakrywano stół, były cukierki i herbata, i wręczano prezenty: dziewczynkom coś na sukienkę, chłopcom koszule. Kiedyś do domu dziecka przyszedł nieznajomy starszy pan, który przyniósł dużo gotowanych jajek, rozdawał je wszystkim i tak się cieszył, że nam sprawia przyjemność. Akurat w moje urodziny…

Byłam już duża, ale martwiłam się, że nie mam zabawek. Kiedy wszyscy już spali, ja wyciągałam pierze z poduszki i przyglądałam się piórkom. To była moja ulubiona zabawa. Kiedy chorowałam, to leżałam i marzyłam o mamie. Chciałam być jedynaczką… I żeby mama mnie rozpieszczała.

Długo nie rosłam… W domu dziecka wszyscyśmy marnie rośli. Myślę, że to ze smutku. Nie rośliśmy dlatego, że mało słyszeliśmy ciepłych słów. Bez mam nie chcieliśmy rosnąć…

A one – jak piłki – nie tonęły…

Wala Jurkiewicz – 7 lat
Obecnie – emerytka

Mama oczekiwała chłopca… Tata też chciał chłopczyka. Ale urodziła się dziewczynka…

Wszyscy jednak bardzo pragnęli chłopca… Dlatego chowana byłam raczej jak chłopiec niż jak dziewczynka. Rodzice ubierali mnie w chłopięce ubranka i strzygli jak chłopca. Lubiłam też zabawy chłopców: Kozacy-rozbójnicy, wojna, nożyki. Lubiłam zwłaszcza bawić się w wojnę. Sądziłam, że jestem śmiała.

Pod Smoleńskiem bomba całkiem rozbiła wagon, którym nas ewakuowano. Cudem ocaleliśmy, wyciągnięto nas spod niego. Doszliśmy do wsi, a tam akurat zaczęły się walki. Siedzieliśmy w piwnicy, dom runął i nas zasypało. Ale kiedy walka ucichła, jakoś się z tej piwnicy wygramoliliśmy. Pierwsze, co zapamiętałam, to samochody. Samochody osobowe, jechali w nich uśmiechnięci ludzie w czarnych błyszczących płaszczach. Nie umiem określić swoich uczuć, czułam bowiem i strach, i jakąś niezdrową ciekawość. Przejechali przez wieś i zniknęli. Poszłam z innymi dziećmi popatrzeć, co się dzieje za wsią. Kiedy weszliśmy w pole żyta, zobaczyliśmy straszny widok, bo całe było usiane trupami. Na pewno nie byłam typową dziewczynką, bo nie bałam się patrzeć na to wszystko, chociaż nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałam. Zabitych pokrywał czarny kopeć, było ich wielu, aż nie chciało się wierzyć, że to są ludzie. To właśnie zrobiło na mnie największe wrażenie w pierwszych dniach wojny… Nasi czarni żołnierze…

Wróciłam z mamą do Witebska. Nasz dom był zburzony, ale babcia na nas czekała… Wszystkich nas przygarnęła rodzina żydowska, dwójka bar-

dzo chorych i bardzo dobrych staruszków. Cały czas się o nich baliśmy, bo w mieście wszędzie rozklejano ogłoszenia, że Żydzi mają zgłosić się do getta. Prosiliśmy ich, żeby w ogóle nie wychodzili z domu. Kiedyś nas nie było… Ja poszłam bawić się gdzieś z siostrą, mama też dokądś poszła… I babcia… Kiedy wróciliśmy, zastaliśmy karteczkę z napisem, że gospodarze poszli do getta, bo się o nas boją. My powinniśmy przeżyć, a oni są już starzy. Na mieście wisiały plakaty nakazujące zameldować, gdyby ktoś wiedział, gdzie ukrywają się Żydzi. W przeciwnym razie też zostanie rozstrzelany.

Przeczytałyśmy tę karteczkę i pobiegły z siostrą nad Dźwinę. Mostu w tamtym miejscu nie było, do getta ludzi przewozili łódkami. Brzeg otoczyli Niemcy. Na naszych oczach ładowali na łodzie staruszków, dzieci, motorówką holowali łódkę na środek rzeki i tam przewracali. Szukaliśmy naszych staruszków, ale ich nie było. Widzieliśmy, jak do łódki wsiadła rodzina – mąż, żona i dwoje dzieci, a kiedy Niemcy przewrócili łódkę, to dorośli od razu poszli na dno, a dzieci ciągle wypływały. Hitlerowcy, śmiejąc się, tłukli je wiosłami. Uderzą w jednym miejscu, a one wypływają w innym, tamci doganiają i znowu walą wiosłem. A one – jak piłki – nie tonęły…

Była taka cisza – a może miałam zatkane uszy i tylko tak mi się wydawało, że jest cicho, że wszystko zamarło. Nagle wśród tej ciszy rozległ się śmiech… Jakiś młody śmiech, dochodzący z brzucha… Obok stali młodzi Niemcy, obserwowali to wszystko i się śmiali. Nie pamiętam, jak przyszłyśmy do domu, jak dowlokłam siostrzyczkę. Widocznie wtedy dzieci szybko stawały się dorosłe. Siostra miała trzy lata, ale wszystko rozumiała, nic nie mówiła, nie płakała.

Bałam się chodzić po ulicach, za to byłam jakoś spokojniejsza, kiedy chodziłam wśród ruin. Którejś nocy do domu wdarli się Niemcy i zaczęli nas tarmosić, zrywać z łóżek. Spałam z siostrą, mama z babcią. Wypędzili nas wszystkie na ulicę, nie pozwolili nic zabrać, choć to był początek zimy, załadowali na ciężarówkę i zawieźli na stację.

Alytus[29] – tak się nazywało miasto litewskie, w którym znaleźliśmy się po kilku tygodniach. Na stacji ustawili nas w kolumny i wyprowadzili. Po drodze spotkaliśmy Litwinów. Oni prawdopodobnie wiedzieli, dokąd idziemy, jedna kobieta podeszła do mamy i mówiła: „Prowadzą was do obozu śmierci, niech pani da swoją dziewczynkę, uratuję ją. Jak pani przeżyje, to

ją znajdzie”. Siostrzyczka była ładna, wszyscy się nad nią litowali. Ale która matka odda własne dziecko?

W obozie natychmiast zabrali od nas babcię. Powiedzieli, że starzy mają przebywać w innym baraku. Czekaliśmy, aż babcia da znać o sobie, ale nie dostaliśmy żadnej wieści. W końcu ktoś nam powiedział, że wszystkich starych ludzi od razu w pierwszych dniach wysłano do komory gazowej. Po babci któregoś ranka zabrali siostrę. Przedtem kilku Niemców chodziło po baraku i spisywało dzieci, wybierało tylko ładne i koniecznie jasnowłose, inne ich nie interesowały. A siostra miała blond kędziory i niebieskie oczy. Mnie nie wzięli, miałam ciemne włosy. Niemcy głaskali siostrę po główce, bardzo im się podobała.

Zabierali ją rano, a przyprowadzali wieczorem. Codziennie słabszą. Mama ją wypytywała, ale siostra nic nie mówiła. Albo ich tam nastraszyli, albo coś im dawali, jakieś tabletki, w każdym razie nic nie pamiętała. Potem dowiedziałyśmy się, że tym dzieciom pobierano krew, widocznie dużo, bo po kilku miesiącach siostra umarła. Umarła rankiem; kiedy po nią przyszli, już nie żyła.

Babcię bardzo kochałam, bo zostawałam z nią zawsze, kiedy tato i mama szli do pracy. Nie widziałyśmy jej śmierci, więc ciągle miałyśmy nadzieję, że żyje. A siostra umarła przy nas… Leżała jak żywa… Taka ładna…

W sąsiednim baraku przebywały kobiety spod Orła, wszystkie miały dużo dzieci. Kobiety chodziły w futrach, takich rozkloszowanych. Wypędzano je z baraku, ustawiano po sześć i kazano maszerować razem z dziećmi, dzieci się ich czepiały. Nawet puszczano jakąś muzykę… Jeśli któraś nie szła równo z innymi, to bili ją pejczem. Bili, a ona mimo to szła, bo wiedziała, że jeśli upadnie, to rozstrzelają i ją, i jej dzieci. Czułam, że mi w piersi wzbiera jakaś fala, kiedy widziałam, jak wstawały i szły. W swoich ciężkich futrach…

Dorosłym kazano wyławiać z Niemna drewniane kłody i wyciągać je na brzeg. Tam też, w wodzie, wielu umierało. Któregoś razu złapał mnie komendant i przydzielił do grupy, która miała iść do pracy. Wówczas z tłumu wybiegł starszy człowiek, odepchnął mnie i zamiast mnie stanął w szeregu. Kiedy wieczorem chciałyśmy z mamą wyrazić mu wdzięczność, jużeśmy go nie znalazły. Powiedziano nam, że umarł w rzece.

Mama była nauczycielką. Powtarzała: „Trzeba pozostać człowiekiem”. Nawet w piekle starała się przestrzegać jakichś zwyczajów z domu… Nie

wiem, gdzie prała i kiedy, ale zawsze miałam wszystko czyste, uprane. Zimą prała śniegiem. Zdejmowała ze mnie ubranie, ja siadałam na pryczy pod kocem, a ona prała. Bo miałyśmy tylko to, co na sobie.

Mimo wszystko staraliśmy się obchodzić nasze święta… Na taki dzień chowało się coś do zjedzenia. Kawałek gotowanego buraka albo marchewkę. Mama starała się wtedy uśmiechać. Wierzyła, że przyjdą nasi. Właśnie dzięki tej wierze przeżyłyśmy.

Po wojnie nie poszłam do pierwszej klasy, tylko od razu do piątej. Byłam dorosła, ale bardzo skryta, długo unikałam ludzi. Na całe życie polubiłam samotność. Ludzie mi przeszkadzali, z trudem znosiłam ich towarzystwo. Chowałam w sobie coś, czym nie mogłam się z nikim podzielić.

Mama oczywiście zauważyła, jak się zmieniłam. Starała się mnie rozweselić, organizowała różne uroczystości, nie zapominała o imieninach. Stale byli u nas goście, jej przyjaciele. Zapraszała też moje koleżanki. Trudno było mi zrozumieć, że ją ciągnie do ludzi. Nie domyślałam się, jak mama mnie kocha.

I znowu jej miłość jest dla mnie ocaleniem…

Zapamiętałem takie niebieskie niebo… I nasze samoloty na tym niebie…

Piotr Kalinowski – 12 lat
Obecnie – inżynier budowlany

Przed wojną…

Pamiętam, że uczyliśmy się wojny, szykowali się do niej. Uczyliśmy się strzelać, rzucać granatem. Nawet dziewczęta. Wszyscy chcieli zdobyć odznakę woroszyłowskiego strzelca, aż się do tego palili. Śpiewaliśmy *Grenadę*. Były tam piękne słowa o tym, że bohater idzie na wojnę po to, żeby „ziemię w Grenadzie oddać chłopom”[30]. Kontynuować sprawę rewolucji. Rewolucji światowej! Tacy właśnie byliśmy. Takie mieliśmy marzenia.

W dzieciństwie sam układałem bajki. Nauczyłem się wcześnie czytać i pisać, byłem utalentowanym dzieckiem. Mama chyba chciała zrobić ze mnie artystę, a ja marzyłem o lataniu. O tym, by nosić mundur lotnika. I to też było znakiem czasu. Nie spotkałem przed wojną chłopca, który by nie marzył o tym, żeby zostać lotnikiem albo marynarzem. Chcieliśmy albo nieba, albo morza. Całej kuli ziemskiej!

Teraz niech sobie pani wyobrazi, co się ze mną działo… Z innymi ludźmi… Co się z nami działo, kiedy zobaczyliśmy Niemców w rodzinnym mieście? Na naszych ulicach? Płakałem… Kiedy nadeszła noc, ludzie zamykali okiennice i potem za tymi okiennicami płakali…

Tato poszedł do partyzantki… A rodzina, która mieszkała o ulicę dalej, włożyła białe haftowane koszule i witała Niemców chlebem i solą. Filmowano ich nawet…

Kiedy zobaczyłem pierwszych naszych powieszonych rodaków, przybiegłem do domu i powiedziałem: „Mamo, nasi ludzie wiszą w niebie”. Po raz pierwszy przeraziło mnie niebo, po tej historii zacząłem o nim myśleć ina-

czej, traktować je ostrożniej. Pamiętam, że ci ludzie wisieli bardzo wysoko, a może tylko ze strachu mi się tak wydało. Czyż nie widywałem już zabitych, leżących na ziemi? Ale wtedy nie byłem taki przerażony.

Wkrótce tato po nas wrócił… Uciekaliśmy razem…

Jeden posterunek partyzancki, drugi… I nagle słyszymy, że ktoś śpiewa pieśni rosyjskie, w całym lesie je słychać. Poznaję głos Rusłanowej[31]. W oddziale był patefon i trzy czy cztery płyty, doszczętnie zgrane. Stanąłem oszołomiony i nie mogłem uwierzyć, że jestem w partyzantce i że tutaj się śpiewa. Dwa lata żyłem w mieście, do którego przyszli Niemcy, zapomniałem więc, jak ludzie śpiewają. Widziałem tylko, jak umierają… Jak się boją…

W czterdziestym czwartym roku brałem udział w mińskiej defiladzie partyzantów. Szedłem na prawym skraju szeregu, ustawili mnie tak, żebym widział trybunę. „Jeszcze nie podrosłeś – mówili partyzanci. – Będziemy ci zasłaniać i nic nie zobaczysz, a musisz ten dzień zapamiętać”. Nie było wśród nas fotografa. A szkoda. Nie umiem sobie wyobrazić, jak wtedy wyglądałem. A chciałbym wiedzieć… Zobaczyć swoją twarz…

Nie zapamiętałem trybuny. Zapamiętałem wyjątkowo niebieskie niebo. I nasze samoloty na tym niebie. Tak na nie czekaliśmy, całą wojnę…

Jak dojrzałe tykwy…

Jakow Kołodinski – 7 lat
Obecnie – nauczyciel

Pierwsze bombardowania…

Zaczynają spadać bomby… Do sadu, pod wiśnie, wynosiliśmy poduszki, ubrania. Poduszki były wielkie, nie było nas zza nich widać, tylko nogi wystawały. Samoloty odlatywały, a myśmy wszystko taszczyli z powrotem do domu. I tak kilka razy dziennie. A potem już nie szkoda nam było niczego, matka zabierała tylko nas, dzieci, resztę zostawiała.

Tamten dzień… Wydaje mi się, że coś dodałem do opowieści ojca, ale dużo rzeczy sam zapamiętałem.

Rano… Mgła w ogrodzie. Już wypędzono krowy. Matka mnie budzi, daje kubek ciepłego mleka. Musimy zaraz iść w pole. Ojciec klepie kosę.

– Wołodia! – sąsiad stuka do okna i wzywa ojca.

Ojciec wychodzi na ulicę.

– Uciekamy… Niemcy chodzą po wsi. Ktoś im dał listę wszystkich partyjnych. Zabrali nauczycielkę…

We dwóch przeczołgali się przez ogródki do lasu. Po jakimś czasie wchodzą do nas dwaj Niemcy i policaj.

– Gdzie tatko?

– Pojechał na sianokosy – odpowiada mama.

Pochodzili po chałupie, obejrzeli, ale nic nam nie zrobili i wyszli.

Poranna mgła jeszcze się ściele. Chłodno. Patrzymy z mamą zza furtki: jednego sąsiada wyrzucili na ulicę, wiążą mu ręce, prowadzą nauczycielkę… Wszystkim krępują ręce z tyłu i ustawiają parami. Nigdy nie widziałem nikogo związanego. Zdjął mnie dreszcz. Matka mnie wypędza: „Idź do

domu. Włóż kurteczkę”. Stoję w sportowej koszulce, trzęsę się, ale do domu nie idę.

Nasza chałupa stała akurat pośrodku wsi. Niemcy w tym miejscu zgromadzili ludzi. Wszystko odbywało się bardzo prędko. Związani ludzie stali ze spuszczonymi głowami. Wyczytano skazańców według listy i pognano za wieś. Poza nauczycielką było tam też sporo mężczyzn ze wsi.

Pobiegły za nimi kobiety i dzieci. Pędzili ich szybko… Nie nadążaliśmy za nimi… Kiedyśmy dobiegli do ostatniej szopy, usłyszeliśmy wystrzały. Ludzie zaczęli padać na ziemię, potem się podnosili i znowu upadali. Niemcy szybko ich rozstrzelali i zaraz powsiadali na motocykle. Patrzymy, a jeden z nich zawrócił i objeżdża zabitych dookoła. Ma w rękach coś ciężkiego… Może pałkę, a może korbę od motocykla… Nie pamiętam… Nie zsiadając z motocykla, na wolnym biegu jedzie i roztrzaskuje wszystkim głowy… Inny chciał ich dobić z pistoletu, ale ten pokręcił głową, że nie warto. Tamci ruszyli, a on nie odjechał, dopóki wszystkim nie rozbił głów. Nigdy przedtem nie słyszałem, jak trzeszczą ludzkie kości… Zapamiętałem, że trzeszczały jak dojrzałe tykwy, kiedy ojciec je ścinał siekierą, a ja wybierałem nasiona.

Byłem tak przerażony, że zostawiłem mamę, zostawiłem wszystkich i pędem pobiegłem przed siebie. Sam. Ale nie wiem dlaczego nie do domu – schowałem się w szopie, matka mnie długo szukała. Przez dwa dni nie mogłem wykrztusić słowa. Nawet dźwięku z siebie wydobyć.

Bałem się wyjść na ulicę. Widziałem przez okno: jeden niesie deskę, inny siekierę, trzeci biegnie z wiadrem. Ciosali deski, na każdym podwórzu czuło się zapach świeżo wystruganych desek, bo na każdym była trumna. Do dzisiaj mnie mdli, kiedy poczuję ten zapach. Do dzisiejszego dnia…

W trumnach leżeli ludzie, których znałem… Żaden nie miał głowy… Zamiast głowy było coś w białej chustce. To, co zdołano zebrać…

Ojciec wrócił z dwoma partyzantami. Spokojny wieczór, przypędzili krowy. Trzeba by kłaść się spać, a matka zaczęła nas szykować do drogi. Włożyliśmy ubranka. Miałem jeszcze dwóch braciszków, jeden miał cztery lata, drugi – dziewięć miesięcy. Ja byłem najstarszy. Doszliśmy do kuźni, tam się zatrzymaliśmy, ojciec się obejrzał. Ja też się obejrzałem. Wieś wyglądała już nie jak wieś, ale jak czarny, nieznany las.

Mama miała na rękach malutkiego, ojciec dźwigał tobołki i średniego brata. A ja nie mogłem za nimi nadążyć. Młody partyzant powiedział: „We-

zmę go na barana”.

Niósł karabin maszynowy w jednej ręce, a drugą mnie podtrzymywał…

Jedliśmy… park

Ania Grubina – 12 lat
Obecnie – plastyczka

Tracę głos, kiedy o tym opowiadam… Mój głos umiera…

Do Mińska przyjechaliśmy po wojnie. Bo ja jestem z Leningradu. Przeżyłam tam blokadę… Blokadę leningradzką… Całe miasto umierało wtedy z głodu, moje ukochane, piękne miasto. Nasz tato umarł, mama ocaliła dzieci. Przed wojną była żywa jak iskra. W czterdziestym pierwszym urodził się braciszek – Sławik. Ile miał miesięcy, kiedy się zaczęła blokada? Sześć, tak, prawie sześć… A mama nawet tę kruszynkę ocaliła… Wszystkich nas, troje… A tatę straciliśmy. W Leningradzie umierali tatusiowie, a mamy zostawały. Pewnie dlatego że nie mogły. Bo z kim byśmy wtedy zostali?

Kiedy nasi przerwali pierścień blokady, wówczas „drogą życia”[32] ewakuowano nas z Leningradu na Ural, do Karpińska. Dzieci ratowano pierwsze. Wywieziono całą naszą szkołę. W drodze wszyscy bez przerwy mówili o jedzeniu. O jedzeniu i o rodzicach. W Karpińsku od razu rzuciliśmy się do parku, nie spacerowaliśmy po nim, myśmy go jedli. Lubiliśmy zwłaszcza modrzewie, ich puszyste szpilki były takie smaczne! Objadaliśmy młode gałązki z małych sosenek, zrywaliśmy też trawę. W czasie blokady poznałam wszystkie jadalne trawy; w mieście ludzie zjadali wszystko, co było zielonego. W parkach i w ogrodzie botanicznym już od wiosny nie było liści. W karpińskim parku rosło sporo zajęczego szczawiu, zwanego też zajęczą kapustą. To był rok czterdziesty drugi, na Uralu też panował głód, ale mimo wszystko nie tak straszny jak w Leningradzie.

W domu dziecka, do którego trafiłam, zebrano same dzieci z Leningradu. Nie mieliśmy nigdy dosyć jedzenia. Jeszcze długo nie byli w stanie nas na-

sycić. Podczas lekcji zjadaliśmy papier. Karmili nas z umiarem… Kiedyś siedziałam przy stole, akurat jedliśmy śniadanie. Nagle zobaczyłam kota. Żywego kota… Zerwałam się od stołu: „Kot! Kot!”. Wszystkie dzieci zobaczyły go i zaczęły się za nim uganiać: „Kot! Kot!”. Wychowawczynie były miejscowe, patrzyły na nas jak na obłąkanych. W Leningradzie nie ostał się ani jeden żywy kot… Żywy kot to było marzenie. Jedzenie na cały miesiąc… Tłumaczyliśmy wychowawczyniom, ale nam nie wierzyły. Pamiętam, że nas często głaskały. Tuliły. Nikt nie podnosił na nas głosu, dopóki nie odrosły nam włosy po podróży. Bo wszystkich przed wyjazdem ostrzyżono „na zero”, chłopców i dziewczynki tak samo, a niektórym z nas włosy wypadły na skutek głodu. Nie bawiliśmy się, nie biegaliśmy. Siedzieliśmy i patrzyli. I wszystko zjadali…

Nie pamiętam, kto w domu dziecka powiedział nam o niemieckich jeńcach… Kiedy zobaczyłam pierwszego Niemca, wiedziałam już, że to jeniec. Pracowali za miastem w kopalni węgla. Do dzisiaj nie mogę pojąć, dlaczego przybiegli do naszego domu dziecka, właśnie do leningradzkiego.

Kiedy go zobaczyłam, tego Niemca, nic nie mówił. Nie prosił. Myśmy dopiero skończyli obiad, musiałam więc jeszcze pachnieć tym obiadem. Niemiec stanął przy mnie i wciągał powietrze, mimo woli poruszał szczęką, jakby przeżuwał, więc próbował przytrzymać ją dłońmi. Zatrzymać. A szczęka ciągle się ruszała. Nie byłam w stanie patrzeć na głodnego człowieka. Absolutnie. Wszyscy to mieliśmy… Pobiegłam i poprosiłam dziewczęta, żeby mu dać kawałek chleba, jeśli którejś został.

A on dziękował i dziękował.

– Danke szen… Danke szen…

Następnego dnia przyszedł do nas z kolegą. I tak się zaczęło… Chodzili w ciężkich drewniakach. Stuk-stuk… Jak słyszałam to stukanie, to zaraz wybiegałam…

Już wiedzieliśmy, kiedy przyjdą, nawet na nich czekaliśmy. Wybiegaliśmy z tym, co kto znalazł. Kiedy dyżurowałam w kuchni, zostawiałam im cały swój dzienny przydział chleba, a wieczorem wyskrobywałam resztki z rondla. Wszystkie dziewczynki coś im tam zostawiały, nie pamiętam jednak, czy chłopcy robili tak samo. Bo nasi chłopcy byli stale głodni, ciągle nie starczało im jedzenia. Wychowawczynie nas beształy, bo i u dziewcząt zdarzały się wypadki omdlenia z głodu, ale myśmy po cichu zostawiały jedzenie dla tych jeńców.

W czterdziestym trzecim roku już przestali do nas przychodzić, bo wtedy zrobiło się trochę lżej. Ural już tak nie głodował. W domu dziecka mieliśmy prawdziwy chleb, dawano do woli kaszy. Ale do tej pory nie mogę patrzeć na głodnego człowieka. Jak on patrzy… Nigdy nie patrzy wprost, zawsze gdzieś obok… Niedawno w telewizji pokazywano uciekinierów… Znowu gdzieś jest wojna. Strzelają. Głodni ludzie stoją w kolejce z pustymi miskami. Patrzą pustym wzrokiem… Pamiętam ten wzrok… Wybiegłam do drugiego pokoju, dostałam ataku histerii.

W pierwszym roku ewakuacji nie dostrzegaliśmy przyrody, wszystko, co było przyrodą, wywoływało u nas jedno pragnienie – spróbować, czy jest jadalne. Dopiero po roku zobaczyłam, jak piękna jest przyroda na Uralu. Jakie tam są dzikie świerki, wysokie trawy, całe gaje czeremchy. Jakie zachody słońca! Zaczęłam rysować. Nie miałam farb, rysowałam więc ołówkiem. Rysowałam widokówki, posyłaliśmy je swoim rodzicom do Leningradu. Najbardziej lubiłam rysować czeremchę. Cały Karpińsk nią pachniał.

Już od wielu lat nachodzi mnie natrętna myśl, żeby tam pojechać. Strasznie chciałabym zobaczyć, czy nasz dom dziecka jeszcze stoi, czy nie! Bo budynek był drewniany. Czy ocalał? Jak teraz wygląda park miejski? Chciałabym pojechać wiosną, kiedy wszystko będzie kwitło. Teraz trudno mi uwierzyć, że owoce czeremchy można jeść garściami, a myśmy tak jedli. Jedliśmy je nawet wtedy, kiedy były jeszcze zielone. Gorzkie.

Po blokadzie wiem, że człowiek może jeść wszystko. Ludzie jedli nawet ziemię… Na bazarach sprzedawano ziemię z rozbitych i spalonych magazynów żywnościowych imienia Badajewa, ceniona była zwłaszcza ziemia, na którą wylał się olej słonecznikowy, albo ziemia przesiąknięta spalonymi powidłami. Jedna i druga dużo kosztowały. Nasza mama mogła kupić tylko najtańszą ziemię, na której stały beczki ze śledziami, ta pachniała tylko solą, chociaż soli w niej było mało. Został sam zapach śledzi.

Za to parki leningradzkie były bezpłatne, więc szybko je objedzono. Cieszyć się widokiem kwiatów… Po prostu cieszyć… Tego nauczyłam się stosunkowo niedawno…

Dziesiątki lat po wojnie…

Kto będzie płakał, tego zastrzelimy…

Wiera Żdan – 14 lat
Obecnie – dojarka

Boję się mężczyzn… To mi zostało z czasów wojny…

Wzięto nas na muszkę automatów i zaprowadzono do lasu. Znaleźli polanę. „Nie… – Jeden kręci głową. – Nie tutaj…”. Prowadzą dalej. Policaje mówią: „To za duży honor dla was, bandytów z partyzantki, ginąć w takim pięknym miejscu. Wykończymy was w błocie”.

Wybrali najniższe miejsce, tam gdzie zawsze stała woda. Dali ojcu i bratu łopaty i kazali kopać dół. A nas z mamą postawili pod drzewem i kazali patrzeć. Patrzyłyśmy, jak kopali, w końcu brat machnął ostatni raz łopatą i woła: „Ech, Wierka!…”. Miał dopiero szesnaście lat… Zaledwie…

Patrzyłyśmy z mamą, jak ich rozstrzeliwują… Nie wolno było się odwrócić czy też zamknąć oczu. Policaje nas obserwowali… Brat nie upadł po strzale do dołu, ale zgiął się, zrobił krok do przodu i usiadł koło dołu. Tamci strącili go kopniakami na dół, w błoto. I nie to było wtedy najstraszniejsze, że ich zastrzelili, ale to, że wrzucili do lepkiego błota. Do wody. Nie pozwolili nam popłakać, popędzili do wsi. A ich nawet ziemią nie przysypali.

Płakałyśmy z mamą dwa dni. Płakałyśmy po cichu, w domu. Trzeciego dnia przychodzą ten sam Niemiec i dwaj policaje: „Zbierajcie się, pogrzebiecie swoich bandytów”. Przyszłyśmy w to miejsce, a oni pływają w dole, już się z niego zrobiła studnia, a nie grób. Wzięłyśmy ze sobą łopaty, zakopujemy i płaczemy. A oni mówią: „Która będzie płakała, tę zastrzelimy. Uśmiechajcie się…”. Kazali nam się uśmiechać. Jeden podchodzi i zagląda w twarz – płaczę czy się uśmiecham?

Stoją… Wszystko młodzi mężczyźni, przystojni… Sami się uśmiechają… Poczułam wielki strach w sercu, i już nie martwych się przeraziłam,

ale żywych. Od tego czasu boję się młodych mężczyzn. Przez całe życie jestem sama…

Nie wyszłam za mąż… Nie poznałam miłości… Bałam się – a nuż urodzę chłopca?

Mamusia i tatuś – złote słowa…

Ira Mazur – 5 lat
Obecnie – konstruktor

Powinnam pewnie opowiedzieć o swojej samotności? Jak się jej nauczyłam…

Pewna dziewczynka, Lenka, miała czerwony koc, a ja brązowy. I kiedy leciały niemieckie samoloty, kładłyśmy się na ziemię i nakrywały kocami. Na dole czerwonym, a na wierzchu moim brązowym. Mówiłam dziewczynkom, że lotnik z góry zobaczy coś brązowego i pomyśli, że to kamień…

O mamie zapamiętałam tyle, że bałam się ją stracić. Znałam dziewczynkę, której mama zginęła podczas bombardowania, i dziewczynka została sama. Cały czas płakała. Moja mama brała ją na ręce i uspokajała. Potem… Razem z jakąś obcą kobietą grzebałyśmy we wsi moją mamę… Umyłyśmy ją, leżała taka chudziutka, jak dziewczynka. Nie bałam się, cały czas ją głaskałam. Jak zawsze pachniały jej włosy i ręce. Rany nie zauważyłam. Pewnie to była rana od kuli, nieduża, na drodze widziałam kiedyś małe kulki. I jeszcze się dziwiłam, jak takimi kulkami można zabić dużego człowieka… Nawet mnie, przecież jestem tysiąc razy, milion razy większa. Jakoś zapamiętałam właśnie ten milion, wydało mi się, że to jest bardzo, bardzo dużo – tak dużo, że nie sposób policzyć.

Mama nie umarła od razu. Długo leżała na trawie, otwierała oczy.

– Ira, muszę ci opowiedzieć…

– Mamo, nie chcę…

Wydawało mi się, że jeśli mi powie to, co chce powiedzieć, to umrze.

Kiedy mamę umyłyśmy, leżała w chustce, z długim warkoczem. Po prostu dziewczynka… Ale to dzisiaj tak na nią patrzę. Bo już mam dwa razy

więcej lat niż ona wtedy – dwadzieścia pięć. W tym wieku jest teraz moja córka, z wyglądu nawet podobna do mojej mamy.

Co zostało mi po domu dziecka? Kategoryczny charakter, nie umiem być łagodna, ostrożna w słowach. Nie umiem wybaczyć. Rodzina się skarży, że nie jestem zbyt uprzejma. Czy bez mamy można wyrosnąć na uprzejmą?

W domu dziecka chciałam mieć swoją własną filiżankę, chciałam, żeby była tylko moja. Zawsze zazdrościłam ludziom, że zostały im jakieś przedmioty z czasów dzieciństwa. Bo ja nie mam żadnych, o niczym nie mogę powiedzieć: „To pamiątka z dziecięcych lat”. A tak bym chciała powiedzieć, czasem nawet coś zmyślić…

Inne dziewczynki przywiązywały się do wychowawczyń, a ja lubiłam salowe. Bardziej przypominały nasze wyobrażone mamy. Wychowawczynie były surowe i zasadnicze, a salowe wiecznie roztrzepane, po domowemu gderliwe, mogły nam dać w skórę, ale tak, że nie bolało. Jak matki. Myły nas, szorowały w łaźni, mogliśmy posiedzieć u nich na kolanach. Dotykały naszych gołych ciał. A to tylko mama mogła robić, tak mi się wtedy wydawało. One nam dawały jeść, domowymi sposobami leczyły z kataru i ocierały nam łzy. Kiedy dostawaliśmy się w ich ręce, to przestawał być dom dziecka, a zaczynał się dom.

Często słyszę, jak ludzie mówią: „Moja matka” albo „Mój ojciec”. Nie rozumiem, jak można tak mówić. Jakby to byli obcy ludzie… Dla mnie tylko – mama i tato. Gdyby żyli, mówiłabym do nich „mamusiu”, „tatusiu”.

To są złote słowa…

Przyniosły ją po kawałku…

Wala Zmitrowicz – 11 lat
Obecnie – robotnica

Nie chcę wspominać… Nie mam ochoty, nigdy nie miałam…

Było nas siedmioro dzieci. Przed wojną mama ze śmiechem mówiła: „Słonko świeci, wszystkie dzieci wyrosną”. A kiedy zaczęła się wojna, zaczęła płakać. Mówiła wtedy: „Taki podły czas, a dzieci w chacie jak bobu”. Juzik miał siedemnaście lat, ja miałam jedenaście, Iwan dziewięć, Nina cztery, Gala trzy, Alik dwa, a malutka Sasza – pięć miesięcy. Była niemowlęciem, co tylko ssie i płacze.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, dopiero po wojnie ludzie nam powiedzieli, że nasi rodzice byli związani z partyzantami i z naszymi jeńcami, którzy pracowali w mleczarni. Pracowała tam też siostra mamy. Pamiętam, że kiedyś w nocy siedzieli u nas jacyś mężczyźni i chociaż okno było zasłonięte grubą kołdrą, to widocznie przez zaciemnienie przebijało się światło, bo ktoś strzelił prosto w okno. Mama złapała lampę i schowała ją pod stół.

Mama coś nam piekła z kartofli (z kartofli mogła zrobić wszystko, jak mówią teraz – sto potraw). Szykowaliśmy się do jakiegoś święta. Pamiętam, że po całym domu rozchodził się smakowity zapach. Ojciec kosił pod lasem koniczynę. Nagle Niemcy otoczyli dom i rozkazują: „Wychodzić!”. Wyszła mama i my, troje dzieci. Niemcy zaczęli bić mamę, a ona woła: „Dzieci, idźcie do domu!”.

Ustawili ją pod ścianą pod oknem; my przez nie wyglądamy.

– Gdzie twój najstarszy syn?

Mama odpowiada:

– Kopie torf.

– Jedziemy tam.

Wpychają mamę do samochodu i sami wsiadają.

Gala wybiegła z chałupy i krzyczy, chce do mamy. Wrzucili i ją do samochodu, do mamy. A mama woła: „Dzieci, wracajcie do domu!”.

Przybiegł ojciec z pola, widocznie ludzie mu już powiedzieli, zabrał jakieś dokumenty i biegiem za mamą. I też do nas krzyczy: „Dzieci, idźcie do domu!”. Jakby dom mógł nas ocalić albo jakby tam była mama. Czekaliśmy na podwórzu… Pod wieczór powłaziliśmy, jedno na bramę, drugie na jabłoń i patrzymy, czy nie idą nasi rodzice albo siostra z bratem. Zobaczyliśmy ludzi, biegnących z drugiego końca wsi: „Dzieci, zostawcie dom i uciekajcie. Waszych już nie ma, teraz jadą po was…”.

Przez zagon kartofli doczołgaliśmy się do bagien. Siedzieliśmy tam całą noc, aż wzeszło słońce. Co teraz robić? Przypomniałam sobie, że w kołysce zostawiliśmy Saszę. Wróciliśmy do wsi, zabrali malutką – żyła, ale tak krzyczała, że aż się zrobiła sina. Brat Iwan mówi: „Nakarm ją”. A czym ja będę ją karmić? Przecież nie mam mleka. On się przeraził, że dziecko umrze, i prosi: „Spróbuj…”.

Wchodzi sąsiadka i mówi:

– Dzieci, będą was szukali. Idźcie do ciotki.

A nasza ciocia mieszkała w innej wsi.

– Pójdziemy szukać cioci, ale niech pani powie, gdzie tata i mama, gdzie siostrzyczka i braciszek – odpowiadamy.

Powiedziała, że ich rozstrzelali Niemcy… Że leżą pod lasem…

– Tylko wy tam, dzieci, nie chodźcie.

– Uciekniemy ze wsi, ale przedtem pójdziemy się pożegnać.

– Nie trzeba, dzieci…

Odprowadziła nas za wieś, ale nie puściła tam, gdzie leżeli nasi bliscy.

Po wielu latach dowiedziałam się, że mamie wykłuli oczy, powyrywali włosy, odcięli piersi. A małą Galę, która się schowała i cicho siedziała pod choinką, poszczuli owczarkami. Psy przyniosły ją po kawałku. Mama jeszcze wtedy żyła, wszystko widziała… To przy niej…

Po wojnie zostałyśmy we dwie z siostrzyczką Niną. Znalazłam ją u obcych ludzi, zabrałam do siebie. Przyszłyśmy do rejonowego komitetu wykonawczego. Poprosiłyśmy, żeby przydzielili jeden pokój dla nas obu. Zamieszkałyśmy na korytarzu w hotelu robotniczym. Pracowałam w fabryce, Nina chodziła do szkoły. Nigdy nie mówiłam do niej po imieniu, zawsze tylko: „Siostrzyczko”. Mam tylko ją. Jedną jedyną.

Nie chcę wspominać. Ale trzeba opowiedzieć ludziom o swoim nieszczęściu. Trudno samej płakać…

Akurat wykluły się u nas pisklęta… Bałem się, że je zabiją…

Alosza Kriwoszej – 4 lata
Obecnie – kolejarz

Moje wspomnienie… jedyne…

Akurat wykluły się u nas pisklęta. Żółciutkie, toczyły się po podłodze, właziły mi na ręce. Podczas bombardowania babcia zbierała je na sito.

– Też coś, wojna i kurczęta!

Bałem się, że zabiją te kurczęta. Do dzisiaj pamiętam, jak płakałem, tak się tego bałem. Bomby lecą… Wszyscy uciekają do piwnicy, żeby się schować, a mnie nie dało się zabrać z chałupy. Obejmowałem kurczęta… Dopiero gdy babcia brała je ze sobą na sicie, szedłem. Szedłem i liczyłem: jedno kurczę, dwoje, troje… Było ich pięcioro…

Liczyłem też bomby. Spadła jedna, dwie… Siedem…

Tak nauczyłem się liczyć…

Król krzyżowy… Król karowy…

Galina Matusiejewa – 7 lat
Obecnie – emerytka

Człowiek się rodzi…

Koło niego siedzą dwa anioły i dają mu los. Decydują, jak długo ma żyć, czy długą przejdzie drogę, czy krótką. A Bóg z góry patrzy, bo to on zesłał aniołów, żeby powitały nową duszę. Żeby powiedziały, że On jest.

Moja ty kochana… Po oczach poznaję, czy kto jest szczęśliwy, czy nie. Nie do każdego podejdę na ulicy i zagadnę: „Młody, przystojny, można powróżyć?”. Ludzie biegną, biegną, a ja wybiorę w tłumie jednego, jakbym go rozpoznała, bo w mojej piersi coś się odezwie, ciepło się zrobi, a wtedy pojawią się słowa. Żar mowy. Zaczynam wtedy mówić… Odgaduję los… Odkrywam karty, a w kartach jest wszystko: co było, co będzie, czym się dusza zaspokoi i z czym odejdzie. Odejdzie tam, skąd przyszła – do nieba. Karty powiedzą… Człowiek jest dumny, ale jego los już zawczasu jest zapisany w górze. Jest tam takie pisanie… Ale każdy je po swojemu czyta…

My, Cyganie, jesteśmy wolnym narodem… Mamy własne, cygańskie prawa. Nasza ojczyzna jest tam, gdzie żyjemy, i tam, gdzie raduje się nasze serce. Dla nas ojczyzna jest wszędzie. Wszędzie pod słońcem. Tak uczył mnie ojciec i tak uczyła mama. Wóz kołysał się, trząsł po drogach, a mama recytowała mi nasze modlitwy. Śpiewała. Szary to kolor drogi, kolor kurzu… Kolor mojego dzieciństwa… Moja kochana, widziałaś ty namiot cygański? Okrągły i wysoki jak niebo. W nim się urodziłam. W lesie. Pod gwiazdami. Od kołyski nie boję się ani nocnych ptaków, ani dzikich zwierząt. Nauczyłam się śpiewać i tańczyć przy ognisku. Nie ma dla Cygana życia bez pieśni, każdy u nas tańczy i śpiewa. Tak jak mówi. Słowa naszych pieśni są tkliwe i do zguby mogą przywieść… Jak byłam mała, to ich nie

rozumiałam, a jednak płakałam. Tam są takie słowa… Zapadają w serce, drażnią je. Kołyszą do snu. Namawiają, by ruszyć w drogę. Kuszą swobodą. Wielką miłością… Nie na darmo powiadają, że człowiek w Rosji umiera dwa razy: pierwszy raz za ojczyznę, drugi – słuchając Cyganów.

Złociutka, po co tyle pytań? Sama ci opowiem…

Widziałam szczęście, kiedy byłam dzieckiem. Możesz mi wierzyć!

Latem żyliśmy razem w taborze. Byliśmy jedną rodziną. Zatrzymywaliśmy się zawsze nad rzeką. Pod lasem. W pięknym miejscu. Rano ptaki śpiewają, i mama śpiewa. Budzi mnie. A zimą prosiliśmy się do ludzi, do domów. Wtedy ludzie byli kochani. Mieli dobre serca. Żyliśmy z nimi w zgodzie.

Jak długo śnieg leżał, tak długo wyczekiwaliśmy wiosny. Zajmowaliśmy się końmi, bo Cyganie dbają o konie tak jak o dzieci. W kwietniu… Na Wielkanoc kłanialiśmy się dobrym ludziom i zbierali w drogę. Słońce, wiatr… Żyjemy chwilą, jeśli masz szczęście, to dzisiaj w nocy ktoś cię weźmie w ramiona, to urodzisz zdrowe dzieci i nakarmisz je do syta… A jutro będzie nowy dzień. To słowa mamy… Mama mnie wiele nie uczyła. Jeśli dziecko masz od Boga, to nie trzeba go wiele uczyć, uczy się samo.

Tak dorastałam… Moje krótkie szczęście. Cygańskie…

Któregoś ranka obudziły mnie rozmowy. Krzyki.

– Wojna!

– Jaka wojna?

– Z Hitlerem.

– To niech sobie wojują. Myśmy ludzie wolni. Jak ptaki. Mieszkamy w lesie.

Wtedy nadleciały samoloty… Strzelały do pasących się krów… Dym aż do nieba… Mamie wieczorem karty tak się rozsypały, że tylko złapała się za głowę i tarzała po trawie.

Tabor stał, a mnie się nudziło, bo lubiłam drogę. Kiedyś wieczorem podeszła do ogniska stara Cyganka. Była pomarszczona jak spalona słońcem ziemia. Nie znałam jej, przyszła z obcego taboru. Z daleka. Opowiadała:

– Rano nas otoczyli. Przyjechali na dobrych, odkarmionych koniach. Konie dobrze podkute, grzywy im błyszczały. Niemcy siedzieli na koniach, a policaje wyciągali Cyganów z namiotów. Zdzierali im pierścienie z palców, wyrywali kolczyki z uszu. Wszystkie kobiety miały uszy we krwi,

a palce zwichnięte. Kłuli bagnetami pierzyny… Szukali złota… A potem zaczęli strzelać…

Jedna dziewczynka poprosiła ich: „Panowie, nie strzelajcie. Zaśpiewam wam cygańską piosenkę”. Roześmiali się… Zaśpiewała im, zatańczyła, a potem ją zastrzelili… Cały tabor zginął… Podpalili namioty… Zostały same konie. Bez ludzi. Zabrali je ze sobą…

Ognisko płonie. Cyganie milczą. Siedzę przy mamie.

Rano się zbieramy – tobołki, poduszki, garnki lecą na wóz.

– Dokąd jedziemy?

– Do miasta – odpowiada mama.

– Dlaczego do miasta?

Żal mi było zostawić rzeczkę. Szkoda było słońca.

– Niemcy kazali…

Mieszkać w Mińsku wolno nam było na trzech ulicach. Mieliśmy swoje getto. Raz na tydzień zjawiali się Niemcy i sprawdzali według listy: „Ajn cigojner… Cwaj cigojner…”. Moja ty złota…

Jakeśmy żyli?

Chodziłyśmy z mamą po wsiach… Po prośbie… Jeden dał pszenicy, drugi kukurydzy. Każdy zapraszał do siebie: „Wejdź no, Cyganeczko. Wywróż mi los. Mąż na wojnę poszedł”. Wojna ludzi rozłączyła, wszystkich. Wszyscy czekali. Wszyscy chcieli jakiejś nadziei.

Mama wróżyła… Słuchałam… Król krzyżowy, król dzwonkowy… Śmierć – czarna karta. Pik… Siódemka… Miłość namiętna – król czerwienny. Wojskowy – król pikowy. Rychła podróż – szóstka dzwonkowa…

Z zagrody mama wychodziła wesoła, a po drodze płakała. Bo strasznie jest mówić ludziom prawdę: „Twój mąż zabity” albo „Twojego syna nie ma już między żywymi. Ziemia go przyjęła, już on na tamtym świecie”. A karty tak mówią…

W jednej chacie zostałyśmy na noc. Nie spałam. Widziałam, jak o północy kobiety rozpuściły długie warkocze i wróżyły. Każda otwierała okno, rzucała w ciemność ziarno i wsłuchiwała się w wiatr – jak jest cicho, to znaczy, że twój żyje, a jak zawyje wicher, to nie wróci, nie masz co go wyczekiwać. A wiatr wył i wył. Stukał w szyby.

Nigdy nas tak ludzie nie kochali jak w czasie wojny, w ciężkich chwilach. Mama znała zaklęcia. Mogła pomóc człowiekowi i zwierzęciu: ratowała krowy, konie. Ze wszystkimi rozmawiała w ich języku.

Krążyły słuchy, że jeden tabor rozstrzelali, drugi. Trzeci wywieźli do obozu…

Kiedy wojna się skończyła, wszyscy byliśmy sobie radzi. Jak spotkał Cygan Cygana, to się zaraz ściskali, bo niewielu nas zostało. A ludzie znowu wróżyli i kazali sobie stawiać karty. W chacie pod ikoną leżało zawiadomienie z frontu, a kobieta i tak prosiła: „Oj, Cyganeczko, wywróż mi. A może mój chłop żyje. Może się pisarz pomylił?”.

Mama wróżyła. Ja słuchałam…

Pierwszy raz sama powróżyłam dziewczynce na bazarze. Wypadła jej wielka miłość. Szczęśliwa karta. Wtedy dała mi rubla. Podarowałam jej szczęście, choćby tylko na chwilę.

Złociutka moja, i ty bądź szczęśliwa! Idź z Bogiem. Opowiedz o naszej cygańskiej doli. Ludzie mało o tym wiedzą…

Te awes bachtało… Z Bogiem!

Wielkie zdjęcie rodzinne…

Tola Czerwiakow – 5 lat
Obecnie – fotograf

Jeśli coś mi zostało w pamięci, to połączyło się teraz w jedno zdjęcie rodzinne…

Na pierwszym planie stoi ojciec z karabinem i w oficerskiej czapce, nosił ją w zimie. Czapka i karabin widnieją wyraźniej niż twarz ojca. Bardzo chciałem mieć i jedno, i drugie – czapkę i karabin. Jak to chłopak!

Obok ojca – mama. Samej mamy z tamtych lat nie pamiętam, najbardziej zapamiętałem to, co robiła: ciągle prała coś białego, pachniało od niej lekarstwami. Mama była sanitariuszką w oddziale partyzanckim.

Gdzieś tam jesteśmy my – ja i mój mały braciszek. Cały czas chorował. Pamiętam go czerwonego, całe ciałko miał pokryte krostami. Razem z mamą płakali w nocy. On z bólu, mama ze strachu, że braciszek umrze.

A dalej widzę, jak do dużej chłopskiej chaty, w której znajduje się mamy szpital, idą baby z kubkami. W tych kubkach niosą mleko. Wlewają je do wiadra, w którym mama kąpie brata. Potem nadchodzi pierwsza noc, kiedy brat śpi, nie krzyczy. A rankiem mama pyta ojca: „Czym ja się ludziom odpłacę?”.

Duże zdjęcie… Jedno wielkie zdjęcie…

To wam choć tych kartofelków do kieszeni nałożę…

Katia Zajac – 12 lat
Obecnie – pracownik kołchozu „Kliczewski”

Babcia odpędza nas od okien…

A sama obserwuje i mówi:

– Złapali w życie starego Todora… Z naszymi rannymi… Przyniósł im ubrania synów, chciał ich przebrać, żeby Niemcy ich nie poznali. Żołnierzy zastrzelili w życie, a Todorowi kazali wykopać dół przed progiem chaty.

Kopie… Stary Todor to nasz sąsiad. Przez okno widać, jak kopie dół. Już wykopał… Niemcy zabierają mu łopatę, coś po swojemu do niego krzyczą. Stary nie rozumie, a może nie słyszy, bo od dawna jest głuchy. Wepchali go do dołu i kazali klęknąć. Tak go zasypali. Żywcem. Klęczącego…

Wszyscy poczuli się strasznie. Kim oni są? Czy to ludzie? Pierwsze dni wojny…

Długo omijaliśmy ten dom. Wszystkim wydawało się, że stary Todor krzyczy spod ziemi…

Naszą wieś spalili Niemcy tak, że sama ziemia została, tylko kamienie na podwórzach, a i to wszystkie czarne. W naszym ogródku nie ostała się nawet trawa. Spłonęła. Żyliśmy z jałmużny – chodziłyśmy do cudzej wsi z siostrzyczką, prosiły: „Dajcie nam cośkolwiek…”.

Mama była chora. Nie mogła z nami chodzić, wstydziła się. Przychodzimy do jakiejś chałupy.

– Skąd jesteście, dzieci?

– Z Jadrionej Słobody… Spalili nas…

Dawali nam miskę jęczmienia, kawałek chleba, jajko… Dzięki wam, dobrzy ludzie, że wszystko dawaliście.

Czasem przestąpiliśmy próg, a tam baby w głos płaczą: „Ojej, dzieci, ileż was! Rano już dwie pary były”. Albo: „Dopiero co ludzie byli po prośbie. Chleba nic nie zostało, to wam choć tych kartofelków do kieszeni nałożę…”.

No i nigdy nie wypuszczały nas z chaty z pustymi rękami. Dawały choćby po garści lnu, tak że przez dzień uzbierał się lniany snopek. Mama sama przędła i tkała. Farbowała na bagnach torfem, na czarno.

Ojciec wrócił z wojny. Zaczęliśmy stawiać chałupę, na całą wieś dwie krowy zostały. Drzewo woziliśmy na krowach… Na własnych barkach… Jeśli polano było większe ode mnie, to nie dawałam rady, ale jeśli mojego wzrostu, to ciągnęłam…

Nieprędko skończyła się wojna… Ludzie myślą: cztery lata. Przez cztery lata to ludzie strzelali… A przez ile o niej zapominali?

Ma-ma my-ła ra-mę…

Fiedia Trut’ko – 13 lat
Obecnie – kierownik działu kontroli technicznej
w wytwórni wapna

Taka historia…

Dwa dni przed wybuchem wojny mama ciężko zachorowała, więc zawieźliśmy ją do szpitala. Szpital znajdował się w Brześciu. Więcej już mamy nie zobaczyliśmy.

Po dwóch dniach Niemcy weszli do miasta. Wypędzili chorych ze szpitala, a tych, którzy nie byli w stanie chodzić, wywieźli dokądś samochodami. Ludzie opowiadali, że właśnie wśród tych chorych była moja matka. Gdzieś ich rozstrzelano. Ale gdzie? Jak? Kiedy? Nie dowiedziałem się, żadne ślady nie zostały.

Nas z siostrą i ojca wojna zastała w domu, w Bieriozie[33]. Brat Wołodia uczył się w szkole techniczno-drogowej w Brześciu. Drugi brat, Aleksandr, skończył w Pińsku szkołę czerwonej floty[34], obecnie żeglugi rzecznej, i tam potem był motorniczym na statku.

Nasz ojciec, Stiepan Aleksiejewicz Trut’ko, był zastępcą przewodniczącego rejonowego komitetu wykonawczego w Bieriozie. Dostał rozkaz, by ewakuować się z dokumentami do Smoleńska. Wpadł do domu i mówi:

– Fiedia, zabierz siostrę i uciekajcie do dziadka, do Ogorodników…

Rano przyszliśmy do chutoru, do dziadka, a w nocy zapukał do okna brat Wołodia. Dwa dni i dwie noce szedł z Brześcia. W październiku pojawił się w chutorze Aleksandr. Opowiedział, że Niemcy zbombardowali statek, którym płynął do Dniepropietrowska. Ci, którzy ocaleli, dostali się do niewoli. Kilku jednak uciekło, wśród nich i nasz Sasza.

Wszyscy się ucieszyliśmy, kiedy do dziadka przyszli partyzanci. Pójdziemy z nimi! Będziemy się mścić.

– Ile klas skończyłeś? – zapytał mnie dowódca, kiedy nas przed nim postawiono.

– Pięć.

Usłyszałem rozkaz:

– Zostawić w obozie dla rodzin!

Braciom dali karabiny, mnie – ołówek.

Byłem już pionierem. To był mój najważniejszy atut. Prosiłem o wcielenie do oddziału bojowego.

– Ołówków mamy mniej niż karabinów – żartował dowódca.

Dookoła trwała wojna, a myśmy się uczyli. Naszą szkołę nazywano „zieloną szkołą”. Nie było ławek, klas, podręczników, byli tylko uczniowie i nauczyciele. Mieliśmy na wszystkich jeden elementarz, jeden zbiór zadań z arytmetyki i jeden podręcznik gramatyki. Bez papieru, kredy, atramentu i ołówków. Wysprzątaliśmy polanę, posypali piaskiem i to była nasza „tablica”, pisaliśmy na niej patykami. Zamiast zeszytów partyzanci przynosili nam niemieckie ulotki, stare tapety i gazety. Nawet dzwonek skądś wytrzasnęliśmy. Z tego się najbardziej cieszyliśmy. No bo co to za szkoła, jeśli nie słychać dzwonka? Nosiliśmy czerwone chusty.

– Alaaarm! – krzyczy dyżurny.

Polana pustoszeje.

A po bombardowaniu kontynuujemy lekcję. Pierwszoklasiści piszą patyczkami na piasku:

– Ma-ma my-ła ra-mę[35]…

Z gałązek i klocków zrobiliśmy duże stojące liczydła. Z drzewa wycięliśmy kilka kompletów liter. Odbywały się nawet lekcje gimnastyki. Zmajstrowaliśmy plac ćwiczeń z drążkiem, bieżnią, skocznią i kołami do rzutu granatem. Granatem rzucałem najdalej ze wszystkich.

Kiedy skończyłem szóstą klasę, oświadczyłem zdecydowanie, że do siódmej klasy pójdę po wojnie. Dali mi karabin. Potem sam zdobyłem karabin belgijski, mały i lekki.

Nauczyłem się dobrze strzelać… A o matematyce zapomniałem…

Dał mi czapkę kubankę[36] z czerwoną wstążką…

Zoja Wasiliewa – 12 lat
Obecnie – inżynier, rzecznik patentowy

Jaka wesoła byłam przed wojną! Szczęśliwa…

Dostałam się do studia choreograficznego przy naszym Teatrze Opery i Baletu. To było studio eksperymentalne, przyjmowano do niego najbardziej utalentowane dzieci. A dla mnie list polecający napisał Golejzowski[37], sławny reżyser moskiewski. W roku trzydziestym ósmym odbyła się defilada gimnastyków w Moskwie, i ja w niej uczestniczyłam, wysłano nas z mińskiego pałacu pionierów. Puszczaliśmy w niebo niebieskie i czerwone baloniki… Maszerowaliśmy w kolumnie… Golejzowski był głównym reżyserem defilady i to on mnie zauważył.

Po roku przyjechał do Mińska, odszukał mnie i napisał list do Zinaidy Anatoliewnej Wasiliewej, artystki ludowej… Naszej białoruskiej sławy… A ona właśnie w tym czasie organizowała studio baletowe. Niosłam ten list, mając wielką ochotę go przeczytać, ale się powstrzymałam. Zinaida Anatoliewna mieszkała w hotelu Europa, niedaleko konserwatorium. Kiedy wychodziłam z domu, bardzo się spieszyłam, bo wszystko robiłam w tajemnicy przed rodzicami. Biegłam ulicą boso i dopiero w hotelu włożyłam sandałki, nie przebierałam się. Gdybym włożyła coś bardziej odświętnego, mama od razu by spytała: „Dokąd to?”. A rodzice o żadnym balecie nie chcieli słyszeć, kategorycznie się sprzeciwiali. Kategorycznie.

Oddałam list Zinaidzie Anatoliewnie, ta przeczytała i mówi: „Rozbierz się. Obejrzymy ręce, nóżki”. Zamarłam przerażona – jak mam zdjąć sandały, kiedy mam brudne nogi? Miałam pewnie taki wyraz twarzy, że Zinaida Anatoliewna wszystkiego się domyśliła. Dała mi ręcznik, przysunęła krzesło do umywalki…

Przyjęto mnie do studia, ale potem z naszej dwudziestki zostało nas tylko pięcioro. Zaczęło się nowe życie: klasyka, rytmika, muzyka… Jaka byłam uradowana! Zinaida Anatoliewna mnie lubiła, a ją lubili wszyscy… Była naszą idolką, naszym bóstwem, na świecie nie było dla nas nikogo piękniejszego. W czterdziestym pierwszym roku już tańczyłam w balecie *Słowik* Krosznera[38], miałam wejście w drugim akcie, w tańcu Kozaków. Zdążyliśmy pokazać balet i odnieść sukces podczas dekady sztuki białoruskiej. Wystąpiłam także w naszej studyjnej premierze – w balecie *Kurczęta*. Główną rolą była wielka mama kura, a ja tańczyłam jako najmniejszy kurczaczek.

Po dekadzie w Moskwie w nagrodę wysłano nas na obóz pionierski pod Bobrujskiem. Tam też tańczyliśmy te swoje *Kurczęta*. Z wdzięczności obiecano specjalnie dla nas upiec olbrzymi tort. Upieczono go na dwudziestego drugiego czerwca…

Podczas wojny domowej w Hiszpanii na znak solidarności z republiką nosiło się furażerki, moje ulubione nakrycie głowy. Kiedy dzieci zaczęły krzyczeć: „Wojna!”, od razu włożyłam furażerkę. Tyle że potem ją zgubiłam w drodze do Mińska…

Na progu domu mama uściskała mnie i razem pobiegłyśmy na stację. Ale zgubiłyśmy się w czasie bombardowania. Nie znalazłam mamy i siostry, dalej jechałam bez nich. Rano pociąg zatrzymał się w Krupkach i już nigdzie nie pojechał. Ludzie wchodzili do chałup we wsi, a ja się wstydziłam, sama, bez mamy. Wieczorem jednak weszłam do jednego z domów, poprosiłam o coś do picia. Dali mi mleka. Podnoszę wzrok znad kubka i widzę swoją młodą mamę w ślubnej sukience. Jak nie krzyknę: „Mama!”. Dziadek i babka zaczęli mnie wypytywać: „Skąd jesteś? Coś ty za jedna?”. Takie rzeczy zdarzają się tylko podczas wojny – trafiłam do swojego stryjecznego dziadka, którego nigdy nie widziałam. Brata dziadka ze strony taty. Oczywiście nigdzie dalej mnie nie puścił. Takie cuda!

W Mińsku tańczyłam *Kurczęta*, a teraz musiałam pilnować, żeby prawdziwych kurcząt sroki nie porwały. Z kurczętami żaden kłopot, ale gęsi to się bałam. Bałam się wszystkiego, nawet koguta. Pierwszy raz wykazałam się odwagą, kiedy poszłam paść gęsi. Gąsior był mądry i wiedział, że się go boję, syczał i chciał mnie pociągnąć z tyłu za bezrękawnik. Bardzo też bałam się burzy. Musiałam udawać przy moich nowych przyjaciołach, którzy od dziecka nie bali się gęsi ani kogutów. Jeśli widziałam, że zbiera się na

burzę, od razu coś wymyślałam i uciekałam do najbliższego domu. Nie było dla mnie straszniejszego dźwięku niż grzmot. A przecież znałam już huk padających bomb…

Podobali mi się ludzie na wsi, ich dobroć, ciągle nazywali mnie „dzieciniczką”. Pamiętam, że bardzo interesował mnie koń. Lubiłam powozić, a dziadek mi pozwalał. Koń parskał, machał ogonem, ale przede wszystkim był mi posłuszny: jak pociągnę prawą ręką, to wie, że trzeba tam skręcić, jeśli lewą – to w lewo.

Prosiłam dziadka:

– Zawieź mnie do mamy.

– Jak się skończy wojna, to zawiozę.

Dziadek był nasępiony i surowy.

Uciekłam przez strych, a za wieś odprowadziła mnie przyjaciółka.

Wsiadłam na stacji do tiepłuszki[39], ale mnie stamtąd wypędzili. Wlazłam do jakiejś ciężarówki, usiadłam z brzegu. Zlękłam się, kiedy wsiedli Niemiec i Niemka, a z nimi policaj. Nic mi jednak nie zrobili, tylko po drodze zaczęli wypytywać, gdzie chodziłam do szkoły i ile klas skończyłam.

Kiedy powiedziałam, że uczyłam się też w szkole baletowej, nie chcieli wierzyć. Od razu, na skrzyni samochodu, pokazałam im swojego „kurczaczka”. A czy znam jakiś obcy język?

W piątej klasie zaczęliśmy się już uczyć francuskiego, wszystko to miałam jeszcze świeżo w pamięci. Niemka zapytała o coś po francusku, a ja jej odpowiedziałam. Byli zdumieni, że zabrali ze wsi dziewczynkę, która skończyła pięć klas, chodziła do szkoły baletowej i nawet uczyli ją francuskiego. Trzeba było widzieć ich miny!

Nie umiem nawet sobie przypomnieć tamtego swojego stanu. Czułam się jednak poniżona. Ten ich wzrok, ich słowa… Ich niedowierzanie i zdziwienie… A przecież byli, jak się dowiedziałam, lekarzami, ludźmi wykształconymi. Wmówiono im, że jesteśmy dzikusami… Podludźmi…

Dzisiaj mnie to śmieszy. Bałam się koguta, a kiedy zobaczyłam partyzantów – w papachach, w koalicyjkach, z gwiazdkami, i z automatami w ręku – to mówię: „Panowie, jestem odważna. Zabierzcie mnie ze sobą”. W oddziale partyzanckim wszystkie moje marzenia skończyły się tym, że kazano mi siedzieć w kuchni i obierać ziemniaki. Może sobie pani wyobrazić bunt w mojej duszy! Przez tydzień dyżurowałam w kuchni, potem poszłam do

dowódcy: „Chcę być prawdziwym żołnierzem”. Dał mi czapkę kubankę z czerwoną wstążką, ale ja chciałam od razu karabin.

Wróciłam do mamy z medalem „Partyzant Wojny Ojczyźnianej” II stopnia. Poszłam do szkoły i zapomniałam o wszystkim, grałam z dziewczętami w palanta, jeździłam na rowerze. Kiedyś, jadąc, wpadłam do leja po bombie, zraniłam się, zobaczyłam krew, ale nie wojna mi się przypomniała, tylko studio baletowe. Jakże ja teraz będę tańczyć? Wkrótce przyjedzie Zinaida Anatoliewna Wasiliewa, a ja mam rozbite kolano…

Nie wróciłam do szkoły baletowej. Poszłam do pracy w fabryce, bo musiałam pomagać mamie. Ale chciałam się uczyć… Skończyło się na tym, że moja córka chodziła do siódmej klasy, a ja byłam w dziesiątej. W szkole wieczorowej.

Wojna sprawiła, że miałam inne życie… Swoje i zarazem nie swoje.

I strzeliłam w powietrze…

Ania Pawłowa – 9 lat
Obecnie – kucharka

Oj, dusza będzie bolała… Znowu zaboli…

Niemcy ciągnęli mnie do szopy… Mama biegła za nami i rwała włosy z głowy. Krzyczała: „Róbcie ze mną, co chcecie, tylko dziecka nie tykajcie!”. Miałam jeszcze dwóch młodszych braci, oni też krzyczeli…

Jesteśmy ze wsi Miechowaja w obwodzie orłowskim. Stamtąd nas pieszo przygnali na Białoruś. Pędzili od obozu do obozu… Kiedy chcieli mnie zabrać do Niemiec, mama wypchała sobie brzuch, a mnie dała na ręce małego braciszka. Tak się uratowałam. Skreślili mnie z listy.

Oj! Dusza będzie dzisiaj niespokojna cały dzień i całą noc. Poruszyłam ją, rozjątrzyłam…

Psy rozszarpywały dzieci… Siadaliśmy przy takim pokaleczonym dziecku i czekaliśmy, aż serce mu przestanie bić… Wtedy przykrywaliśmy dziecko śniegiem… Taką mogiłkę miało do wiosny…

W czterdziestym piątym roku… Po Zwycięstwie… Mamę posłano na budowę sanatorium w Żdanowiczach, ja pojechałam z nią. I tak tutaj zostałam. Czterdzieści lat pracuję w sanatorium… Wszystko tutaj powstawało na moich oczach, od pierwszej cegły. Dali mi karabin, dziesięciu jeńców niemieckich. Miałam ich prowadzić do pracy. Kiedy pierwszy raz ich przyprowadziłam, obstąpiły nas baby, jedna z kamieniem, druga z łopatą, trzecia z miotłą. A ja dookoła nich biegałam z karabinem i wołałam: „Kobitki! Zostawcie ich… Kobitki, ja za nich dałam pokwitowanie. Bo będę strzelać!”. I strzeliłam w powietrze…

Baby w płacz, i ja też płaczę. A Niemcy stoją… Nie podnoszą oczu…

Mama ani razu nie zaprowadziła mnie do muzeum wojskowego. Kiedyś zobaczyła, że oglądam w gazecie zdjęcia rozstrzelanych. Zabrała gazetę i nakrzyczała na mnie.

Do dzisiaj w domu nie trzymam ani jednej książki o wojnie… A już jestem sama… Od dawna nie ma ze mną mamy…

Do pierwszej klasy mama niosła mnie na rękach…

Inna Starowojtowa – 6 lat
Obecnie – agronom

Mama ucałowała nas i poszła…

Zostaliśmy w szałasie we czworo: młodsi – braciszek, dwoje kuzynów i ja, najstarsza, siedmiolatka. Nie pierwszy raz zostawaliśmy sami, nauczyliśmy się nie płakać, zachowywać się cicho. Wiedzieliśmy, że mama chodzi na zwiady, że dali jej zadanie, a my musimy na nią czekać. Ze wsi mama nas zabrała, więc mieszkaliśmy razem z nią w rodzinnym obozie partyzanckim. To było nasze marzenie, które teraz stało się naszym szczęściem.

Siedzimy i słuchamy: drzewa szumią, kobiety niedaleko piorą, krzyczą na dzieci. Wtem rozlega się krzyk: „Niemcy! Niemcy!”. Wszyscy wybiegli ze swoich szałasów. Wołają dzieci i uciekają dalej w las. A my, sami, bez mamy – dokąd mamy biec? Może mama wie, że Niemcy idą do obozu, i już do nas biegnie? Ponieważ byłam najstarsza, mówię: „Macie być cicho! Jest ciemno, Niemcy nas nie znajdą”.

Przyczailiśmy się. Jesteśmy całkiem cicho. Ktoś zajrzał do szałasu i powiedział po rosyjsku:

– Kto tam jest, wychodzić!

Głos był spokojny, więc wyleźliśmy z szałasu. Zobaczyłam wysokiego człowieka w zielonym mundurze.

– Masz tatę?

– Mam.

– A gdzie on jest?

– Daleko, na wojnie – powiedziałam.

Pamiętam, że Niemiec aż się roześmiał.

– A gdzie twoja mama? – pytał dalej.

– Mama poszła z partyzantami na zwiad…

Podszedł drugi Niemiec, w czarnym mundurze. Coś zaczęli do siebie mówić i ten czarny pokazał nam ręką, gdzie mamy iść. Stały tam już kobiety z dziećmi, które nie zdążyły uciec. Czarny Niemiec skierował na nas karabin maszynowy, a wtedy domyśliłam się, co będzie robił. Nie zdążyłam nawet krzyknąć i objąć małych…

Obudziłam się, słysząc płacz mamy. Tak, wydawało mi się, że spałam. Uniosłam się i zobaczyłam, że mama kopie dół i płacze. Stała odwrócona ode mnie, a ja nie miałam sił, żeby ją zawołać, tylko tyle, żeby na nią patrzeć. Mama wyprostowała się, żeby odpocząć, odwróciła głowę i jak nie krzyknie: „Inneczko!”. Rzuciła się do mnie, porwała mnie na ręce. Trzyma jedną ręką, a drugą dotyka tamtych – może któreś jeszcze żyje? Nie, były zimne…

Kiedy mnie podleczyli, doliczyłyśmy się z mamą dziewięciu ran od kul. Uczyłam się liczyć: w jednej rączce dwie kule, w drugiej – dwie. To razem cztery. W jednej nóżce dwie i w drugiej dwie. To już osiem. I jeszcze ranka na szyi. Razem dziewięć.

Wojna się skończyła… Do pierwszej klasy mama niosła mnie na rękach…

Piesku kochany, wybacz… Piesku kochany, wybacz…

Galina Firsowa – 10 lat
Obecnie – emerytka

Marzyłam, żeby złapać wróbla i zjeść…

Ptaki, rzadko co prawda, ale przylatywały czasem do miasta. Nawet wiosną wszyscy patrzyli na nie i myśleli o jednym, o tym samym co ja. O tym samym… Nikt nie był w stanie oderwać się od myśli o jedzeniu. Z głodu odczuwałam w sobie nieustanne zimno, straszliwe wewnętrzne zimno. Nawet w słoneczne dni. Cokolwiek się na siebie włożyło, było zimno, nie sposób było się ogrzać.

Bardzo chciało się żyć…

Opowiadam o Leningradzie, gdzie wtedy mieszkaliśmy. O blokadzie leningradzkiej. Zabijano nas głodem, długo zabijano. Dziewięćset dni blokady… Dziewięćset… A jeden dzień mógł wydawać się wiecznością. Nie wyobraża sobie pani, jak długi może wydawać się głodnemu człowiekowi jeden dzień. Godzina, minuta… Długo czeka się na obiad… Potem na kolację… Norma blokadowa spadła do stu dwudziestu gramów chleba dziennie. To dla tych, którzy nie pracowali. Na kartkę żywnościową… A z tego chleba kapała woda… Trzeba go było podzielić na trzy części – śniadanie, obiad i kolację. Piliśmy tylko wrzątek… Czyściutki wrzątek…

W ciemności… Zimą (najlepiej pamiętam zimę) od szóstej rano stawałam w kolejce do piekarni. Stało się w niej godzinami… Godziny się wlokły… Zanim nadeszła moja kolejka, na ulicy znowu robiło się ciemno. Paliła się świeca, a sprzedawca krajał te kawałki. Ludzie stali i na niego patrzyli. Obserwowali każdy jego ruch… Płonącymi… Szalonymi oczami… I to wszystko bez słowa.

Tramwaje nie jeździły… Nie było wody, nie było ogrzewania, nie było prądu. Ale najstraszniejszy był głód. Widziałam człowieka, który żuł guziki. Małe i duże guziki. Ludzie tracili zmysły z głodu…

Na jakiś czas przestałam słyszeć. Wtedy zjedliśmy kota… Później opowiem, jak to było. Potem oślepłam… Akurat wtedy przyprowadzili nam psa. To mnie uratowało.

Nie przypominam sobie… Nie pamiętam tej chwili, kiedy myśli o zjedzeniu własnego kota albo psa stały się czymś normalnym. Zwyczajnym. Powszednim. Przeoczyłam ją… W ślad za gołębiami i jaskółkami zaczęły znikać w mieście koty i psy. Myśmy żadnego nie mieli, jakoś nie sprawiliśmy sobie, bo mama uważała, że to duża odpowiedzialność wziąć zwierzę do domu, zwłaszcza psa. Ale przyjaciółka mamy nie była w stanie zjeść swego kota i przyniosła go nam. No i zjedliśmy kota. Wtedy znowu zaczęłam słyszeć… Słuch straciłam nagle – rankiem jeszcze słyszałam, a gdy wieczorem mama coś do mnie powiedziała, ja nie odpowiedziałam.

Minął jakiś czas… I znowu umieramy… Przyjaciółka mamy przyniosła nam swojego psa. Psa też zjedliśmy. Gdyby nie pies, nie przeżylibyśmy. To oczywiste, że byśmy nie przeżyli. Już zaczęliśmy puchnąć z głodu. Siostra nie chciała rano wstawać… Pies był duży i łagodny. Przez dwa dni mama nie mogła się zdecydować, bo jakże to tak? Trzeciego dnia przywiązała psa do kaloryfera w kuchni, a nas wypędziła na ulicę…

Pamiętam te kotlety… Pamiętam…

Bardzo chciało się żyć…

Często zbieraliśmy się i siedzieli przy zdjęciu taty. Tato był na froncie. Listy od niego przychodziły rzadko. „Moje dziewczynki…” – pisał do nas. Myśmy odpisywały, ale starały się go nie martwić.

Mama przechowywała kilka kostek cukru. Małą papierową torebkę. To były nasze rezerwy złota. Wiedziałam, gdzie jest ten cukier. Któregoś dnia nie wytrzymałam, wdrapałam się tam i wzięłam jedną kostkę. Po kilku dniach jeszcze jedną… Minęło znowu trochę czasu i – kolejną… Wkrótce nic tam już nie zostało. Pusta torebka…

Mama zachorowała… Potrzebna jej była glukoza. Cukier… Nie mogła wstać… Na rodzinnej naradzie postanowiliśmy wziąć drogocenną torebkę. Nasz skarb! Na taki dzień przecież ją chowaliśmy! Mama na pewno dzięki niej wyzdrowieje. Starsza siostra zaczęła szukać, ale cukru nie było. Cały dom przeszukaliśmy, ja szukałam ze wszystkimi…

Wieczorem się przyznałam…

Siostra mnie biła. Gryzła. Drapała. A ja ją prosiłam: „Zabij mnie! Zabij! Jak mam teraz żyć?!”. Chciałam umrzeć…

Opowiedziałam pani o kilku dniach… A było ich wszystkich dziewięćset…

Dziewięćset takich dni…

Widziałam, jak jakaś dziewczynka ukradła kobiecie na bazarze bułkę. Taka mała dziewczynka… Dopędzili ją i przewrócili na ziemię. Zaczęli bić… Bili strasznie. Tak żeby zabić. A ona spieszyła się, żeby dokończyć tę bułkę. Zjeść całą, zanim ją zabiją…

Dziewięćset takich dni…

Nasz dziadek tak osłabł, że kiedyś upadł na ulicy… Już się żegnał z życiem, ale przechodził obok jakiś robotnik – robotnicy mieli więcej na kartki, niedużo, ale zawsze – no więc ten robotnik zatrzymał się i wlał dziadkowi w usta olej słonecznikowy – swój przydział. Dziadek dotarł do domu, opowiadał nam o tym z płaczem: „Nawet nie wiem, jak się nazywa!”.

Dziewięćset… Ludzie poruszali się po mieście jak cienie. Powoli, jak we śnie… W głębokim śnie… Człowiek widzi wszystko, ale myśli, że to mu się śni. I te powolne… Te płynne ruchy… Jakby się chodziło nie po ziemi, ale po wodzie…

Głos zmieniał się wskutek głodu… Albo całkiem zanikał. Nie sposób było określić po głosie, czy ma się do czynienia z mężczyzną, czy z kobietą. Po ubraniu też nie było można zgadnąć, bo wszyscy poowijani byli jakimiś szmatami.

Nasze śniadanie… Nasze śniadanie to był kawałek tapety, starej tapety… Była na nich resztka kleju… Kleju z mąki… Te właśnie tapety i wrzątek…

Dziewięćset dni…

Wracałam z piekarni… Dostałam dzienny przydział – te okruszyny, te żałosne gramy… Patrzę, a z naprzeciwka biegnie pies. Kiedy dobiegł do mnie, poczuł zapach chleba i zaczął mnie obwąchiwać.

Wiedziałam, że to dla nas szczęście. Ten pies to nasze ocalenie! Przyprowadzę psa do domu!

Dałam psu kawałek chleba, więc za mną pobiegł. Koło domu jeszcze oderwałam kawałeczek, pies polizał mi rękę. Weszliśmy do naszej bramy… Ale po schodach pies wchodził niechętnie, na każdym piętrze się zatrzymywał. Oddałam mu cały chleb… Kawałek po kawałku… I tak doszliśmy na

trzecie piętro, a myśmy mieszkali na czwartym. Wtedy pies się zaparł i nie chciał iść dalej. Patrzył na mnie tak, jakby coś czuł. Jakby rozumiał. Objęłam go. „Piesku kochany, wybacz… Piesku kochany, wybacz…”. Prosiłam, błagałam… W końcu poszedł…

Bardzo chciało się żyć…

Usłyszeliśmy… Kiedy w radiu powiedzieli: „Blokada przerwana! Blokada przerwana!”, nie było ludzi szczęśliwszych od nas. Nie sposób być bardziej szczęśliwym. Wytrzymaliśmy! Blokada przerwana…

Ulicą szli nasi żołnierze. Podbiegłam do nich… Ale żeby ich uściskać, zabrakło mi sił…

W Leningradzie jest wiele pomników, ale nie ma jednego, który powinien tam stać. Zapomniano o nim. To pomnik psa czasu blokady.

Piesku kochany, wybacz…

A ona uciekała: To nie jest moja córka! Nie mojaaa!…

Faina Lucko – 15 lat
Obecnie – pracownik branży filmowej

Codziennie wspominam, ale żyję… Jak żyję? Niech mi pani wytłumaczy…

Pamiętam, że w oddziale pacyfikacyjnym wszyscy byli czarni, czarni… Mieli wysokie czapki… Nawet psy były czarne. Aż się błyszczały.

Przytulaliśmy się do matek… Nie wszystkich zabijali, nie całą wieś. Zabrali tych, którzy stali z jednej strony. Z prawej. Myśmy z mamą też tam stały… Rozłączyli nas: dzieci osobno, rodziców osobno. Zrozumieliśmy, że rodziców będą rozstrzeliwali, a nas oszczędzą. Tam była moja mama… A ja bez mamy nie chciałam żyć… Z płaczem prosiłam, żeby mnie do niej puścili. I jakoś przepuścili…

A ona, kiedy mnie zobaczyła… Jak nie krzyknie:

– To nie jest moja córka!

– Mamusiu! Maa…

– To nie moja córka! Nie moja córka! Nie mojaaa…

– Mamuusiuuu!

W oczach miała nie łzy, ale krew. Oczy wypełnione krwią…

– To nie jest moja córka!

Dokądś mnie odciągnęli… Widziałam, jak najpierw strzelali do dzieci. Strzelali i patrzyli, jak rodzice cierpią. Rozstrzelali dwie moje siostry i dwóch braci. Kiedy zabili dzieci, zaczęli zabijać rodziców. Mamy już nie zobaczyłam… Na pewno upadła…

Stała tam kobieta z niemowlęciem, które ssało wodę z buteleczki. Strzelili najpierw do tej butelki, potem do dziecka… I dopiero potem zabili matkę…

Jakim cudem ja po tym wszystkim żyję… Jak ja, mała, przeżyłam… A już jak teraz żyję, jako dorosła? Przecież od dawna jestem dorosła…

Czy byliśmy dziećmi? Nie, mężczyznami i kobietami…

Wiktor Leszczinski – 6 lat
Obecnie – dyrektor technikum energetycznego

Przyjechałem w gości. Ciocia zaprosiła nas do siebie na lato…

Mieszkaliśmy w Bychowie, a ciocia we wsi Kommuna pod Bychowem. Pośrodku wsi stał długi dom, na dwadzieścia rodzin – dom komunardów. To wszystko, co zdołałem zapamiętać.

Mówią: „Wojna”. Trzeba wracać do rodziców. Ciocia nie puściła.

– Jak wojna się skończy, to pojedziesz.

– A prędko się skończy?

– No jasne, że prędko.

Po jakimś czasie przychodzą rodzice i mówią, że w Bychowie są Niemcy, że ludzie rozbiegają się po wsiach. Zostaliśmy u cioci.

Zimą do domu weszli partyzanci… Poprosiłem o karabin. To byli siostrzeńcy mamy, a moi cioteczni bracia. Pośmiali się i dali mi potrzymać karabin w rękach. Był ciężki.

W naszym domu cały czas pachniało skórą. Ciepłym klejem. Ojciec szył buty dla partyzantów. Prosiłem, żeby i mnie zrobił buty. Poczekaj, mówił, mam dużo pracy. Ja wtedy, dobrze to pamiętam, przekonywałem go, że potrzebuję małych butów, bo mam małą nogę. Obiecał mi…

Ostatnie wspomnienie o ojcu to jak pędzą go ulicą do dużego samochodu… I biją pałką po głowie…

Skończyła się wojna, a nasza rodzina została bez ojca i bez domu. Ja byłem najstarszy z dzieci, miałem jedenaście lat. Było jeszcze dwoje – braciszek i siostra, ale mali. Mama wzięła pożyczkę. Kupiliśmy starą chałupę, której dach cały przeciekał, i jeśli padało, to nie było się gdzie schować. No

i ja, jedenastolatek, sam wstawiałem okna, przykrywałem dach słomą. Budowałem szopę…

Jak budowałem?

Pierwszą kłodę przywlokłem i ułożyłem sam, przy drugiej pomogła mi mama. Ale podnieść wyżej już nie daliśmy rady sami. Robiłem więc tak: ociosywałem kłodę na ziemi, wycinałem wrąb i czekałem, kiedy kobiety będą szły w pole. Rano wszystkie naraz chwytały i dźwigały kłodę, a ja ją podrywałem i opuszczałem na wrąb. Do wieczora było dość czasu, by ociosać jeszcze jedną… A kiedy kobiety wracały wieczorem z pracy, to pomogły mi znowu… I tak ściana rosła…

We wsi było siedemdziesiąt zagród, ale tylko dwóch mężczyzn wróciło z wojny. Z czego jeden o kulach. „Dziecko! Moje dziecko!” – lamentowała nade mną mama. Wieczorami, jak już usiadłem, to natychmiast zasypiałem.

Czy my naprawdę byliśmy dziećmi? Nie, byliśmy mężczyznami i kobietami…

Nie oddawaj ubrania taty obcemu panu…

Walera Niczіporienko – 4 lata
Obecnie – kierowca autobusu

To już był rok czterdziesty czwarty…

Miałem pewnie osiem lat? Myślę, że osiem… Już wiedzieliśmy, że nie mamy ojca. Inni czekali, dostali zawiadomienie, ale i tak czekali. A myśmy mieli pewny znak. Dowód. Przyjaciel ojca przesłał jego zegarek… Mam ten zegarek do dzisiaj.

Żyliśmy we trójkę za nędzną pensyjkę mamy. O chlebie i wodzie. Siostra zachorowała, rozpoznano u niej otwartą gruźlicę. Lekarze powiedzieli mamie, że potrzebne jest dobre odżywianie, że potrzeba masła. Miodu. I codziennie masło! A dla nas ono miało wagę złota… Codziennie grudkę złota… Coś niesłychanego… Na czarnym rynku za pensję mamy można było kupić trzy chleby. Albo dwieście gramów masła.

Został nam jeszcze garnitur taty. Porządny garnitur. Zanieśliśmy go z mamą na bazar. Znalazł się klient, i to szybko. Bo garnitur był ładny. Ojciec kupił go tuż przed wojną i w ogóle w nim nie chodził, nie zdążył. Garnitur wisiał w szafie… Nowiuteńki… Nabywca zapytał o cenę, potargował się i daje mamie pieniądze, a ja się wydarłem na cały bazar: „Nie oddawaj ubrania taty obcemu panu!”. Nawet milicjant do nas podszedł…

Kto po czymś takim śmie twierdzić, że dzieci nie brały udziału w wojnie? Nikt…

W nocy płakałam… Gdzie jest moja wesoła mama?…

Gala Spannowska – 7 lat
Obecnie – technik-konstruktor

Pamięć ma barwę…

Wszystko to, co było przed wojną, pamięta się w ruchu, mieniące się barwami. Najczęściej te kolory są jaskrawe. A wojna, dom dziecka – to wszystko jest jakieś zatrzymane. I kolory są szare.

Wieziono nas na tyły. Same dzieci, bez mam. Wieziono długo, jakoś bardzo długo. Dawali nam herbatniki i masło kakaowe, widocznie niczego innego na drogę nie zabrali. Przed wojną lubiłam herbatniki i masło kakaowe. Ale po miesiącu takiej podróży znienawidziłam je do końca życia.

Przez całą wojnę chciałam, żeby jak najprędzej przyjechała do mnie mama i żebyśmy wróciły do Mińska. Śniły mi się ulice, kino w sąsiedztwie, śniły mi się dzwonki tramwajów. Mamę miałam bardzo dobrą, bardzo wesołą, byłyśmy jak dwie przyjaciółki. Taty nie pamiętam, wcześnie go zabrakło.

No i mama mnie odszukała i przyjechała do domu dziecka. To było całkiem niespodziewane. Zachwyt! Biegnę do mamy… Otwieram drzwi… Stoi jakiś wojskowy: w butach, w spodniach, bluzie wojskowej, furażerce. Któż to taki? A to, okazuje się, była moja mama. Pełen zachwyt! Mama, w dodatku wojskowa!

Tego jak wyjeżdżała, nie pamiętam, bardzo wtedy płakałam, pewnie dlatego nie pamiętam.

Znowu czekam na mamę i czekam. Trzy lata czekałam. A mama przyjechała tym razem w sukience. W pantoflach. Z tej radości, że mnie zabiera, nic nie widziałam, były tylko mama i ta radość! Chciałam cały czas na nią patrzeć, żeby się nie zgubiła, znowu nie zniknęła. Patrzyłam na mamę, ale

nie spostrzegłam, że nie ma jednego oka. Nie mogłam zrozumieć, jak mojej mamie coś mogło się stać. Mama – to był jakiś cud… Jak słońce… mama! A mama wróciła z wojny bardzo chora. To już była inna mama. Mało się uśmiechała, nie śpiewała, nie żartowała, dużo płakała.

Wróciłyśmy do Mińska i z trudem dawały sobie radę. Nie znalazłyśmy naszego domu, który tak kochałam. Nie było naszego kina… Nie było naszych ulic… Zamiast tego wszędzie tylko cegły…

W nocy płakałam… Gdzie się podziała moja wesoła mama? Dlaczego jest zawsze smutna? Dlaczego ze mną nie żartuje i nie rozmawia? Cały czas milczy…

Rankami starałam się, żeby mama się nie domyśliła, że w nocy płakałam. Uśmiechałam się…

Nie pozwala mi odlecieć…

Wasia Saulczenko – 8 lat
Obecnie – socjolog

Po wojnie długo męczył mnie pewien sen…

Sen o pierwszym zabitym Niemcu… Niemcu, którego sam zabiłem, a nie zobaczyłem zabitego… Że na przykład lecę, a on mnie nie puszcza. Wzbijam się w powietrze… Lecę… Lecę… A on mnie dogania, i spadam razem z nim… Wpadam do jakiegoś dołu. Albo że chcę się podnieść, wstać… A on nie pozwala… Nie pozwala mi odlecieć…

Ciągle ten sam sen… Prześladował mnie dziesiątki lat. Dopiero niedawno zniknął…

Kiedy zabiłem tego Niemca… Przedtem widziałem, jak mojego dziadka zastrzelili na ulicy, a babcię koło naszej studni… Na moich oczach bili mamę kolbą po głowie… Kiedy umierała, nie miała czarnych włosów, tylko czerwone… Tyle że kiedy strzelałem do tego Niemca, w ogóle o tym nie pomyślałem. Był ranny… Chciałem zabrać mu automat, powiedzieli, żebym mu zabrał. Miałem dziesięć lat, partyzanci już brali mnie na zadania. Podbiegłem do niego i tuż przed sobą zobaczyłem tańczący pistolet, Niemiec kurczowo trzymał go obiema dłońmi i usiłował we mnie wycelować. Ale nie zdążył, ja strzeliłem pierwszy… Widocznie trafiłem, bo pistolet wypadł mu z rąk…

Nie zdążyłem przestraszyć się tego, że zabiłem… I podczas wojny o tym nie wspominałem. Dookoła było wielu zabitych, nie bałem się ich. Żyliśmy wśród zabitych. Nawet do tego przywykliśmy. Tylko raz poczułem się strasznie. Weszliśmy do wsi, którą niedawno spalili Niemcy. Rano spalili, a wieczorem tam weszliśmy. Zobaczyłem spaloną kobietę… Leżała cała

czarna, ale ręce miała białe, żywe kobiece ręce. Wtedy po raz pierwszy się przeraziłem. Omal nie krzyknąłem, ledwie się powstrzymałem.

Nie, nie byłem dzieckiem. Nie pamiętam siebie jako dziecka. Chociaż… Nie bałem się zabitych, a przejść w nocy albo wieczorem przez cmentarz to się bałem. Nie budzili we mnie lęku martwi leżący na ziemi, ale ci, którzy w niej leżeli – tak. Ten strach z dzieciństwa… Pozostał… Chociaż… Chociaż myślę, że dzieci nie boją się niczego…

Kiedy nasi wyzwolili Białoruś, wszędzie leżeli zabici Niemcy. Swoich zbieraliśmy i chowali w bratnich mogiłach, a ci leżeli długo, zwłaszcza zimą. Dzieci biegały w pole popatrzeć na trupy… I zaraz obok bawiły się dalej w wojnę albo w kozaków i rozbójników.

Byłem zdziwiony, kiedy po wielu latach przyśnił mi się ten zabity Niemiec… Zaskoczyło mnie to…

Ten sen prześladował mnie dziesiątki lat…

Mam syna, już dorosłego mężczyznę. Kiedy był mały, dręczyła mnie sama ta myśl – czy można mu opowiedzieć? Opowiedzieć o wojnie… Syn wypytywał, ja jednak unikałem rozmowy. Lubiłem czytać mu bajki, chciałem, żeby miał dzieciństwo. Dorósł, a ja nadal nie mam ochoty rozmawiać z nim o wojnie. Może kiedyś mu o tym śnie opowiem. Może… Nie jestem pewny…

To by zburzyło jego świat. Świat bez wojny… Bez jego własnej wojny…

Wszyscy chcieli ucałować słowo „zwycięstwo”…

Ania Korzun – 2 lata
Obecnie – zootechnik

Pamiętam koniec wojny… Dziewiątego maja czterdziestego piątego roku…

Do przedszkola przybiegły kobiety:

– Dzieci, zwycięstwo! Zwycięstwooo!

Śmieją się i płaczą. Płaczą i się śmieją.

Wszyscy zaczęli nas całować. Nieznajome kobiety… Całują i płaczą… Całują… Włączają głośnik. Wszyscy słuchali. A my, małe dzieci, choć nie rozumiałyśmy słów, wiedziałyśmy, że radość płynie stamtąd, z góry, z czarnego talerzyka. Jednych dorośli podnosili na rękach, inni sami się wdrapywali… Albo robili piramidę – jeden wchodził drugiemu na ramiona, żeby jeszcze trzeci czy nawet czwarty mógł dosięgnąć czarnego talerzyka i go ucałować. Potem się zmieniali… Bo wszyscy chcieli ucałować słowo „zwycięstwo”…

Wieczorem rozległy się salwy. Niebo jaśniało. Mama otworzyła okno i zapłakała.

– Córeczko, zapamiętaj to na całe życie…

Kiedy ojciec wrócił z wojny, bałam się go. A on daje mi cukierka i prosi:

– No powiedz „tata”…

Biorę cukierka i chowam się z nim pod stół.

– Proszę pana…

Przez całą wojnę nie miałam taty. Chowałam się z mamą i babcią. Z ciocią. Nie wyobrażałam sobie jednak, co tata będzie robił w naszym domu.

Przecież przyjdzie z karabinem…

W koszuli uszytej z bluzy ojca…

Nikołaj Bieriozka – rok urodzenia 1945
Obecnie – taksówkarz

Urodziłem się w czterdziestym piątym roku, ale pamiętam wojnę. Znam wojnę… Widziałem…

Matka zamykała mnie w pokoju albo wysyłała na ulicę do chłopców… Mimo to słyszałem, jak ojciec krzyczał. Krzyczał długo. Przykładałem oko do szpary między skrzydłami drzwi i widziałem, jak ojciec trzyma się obiema rękami za chorą nogę, kołysze nią. Albo tarza się i z krzykiem tłucze pięściami o podłogę: „Wojna! Przeklęta wojna!”.

Kiedy ból mijał, ojciec brał mnie na ręce, a ja dotykałem jego nogi.

– To wojna boli?

– Wojna! Cholerna wojna – odpowiadał ojciec.

Co jeszcze… Sąsiedzi mieli dwóch małych chłopców… Przyjaźniłem się z nimi… Za wsią wylecieli w powietrze na minie. To już chyba musiał być rok czterdziesty dziewiąty…

Ich matka, ciocia Ania, rzuciła się za nimi do grobu… Musieli ją wyciągać…

Do szkoły poszedłem w koszuli uszytej z wojskowej bluzy ojca. Jaki byłem szczęśliwy! Wszyscy chłopcy, których ojcowie wrócili z wojny, mieli koszule z wojskowych bluz.

Po wojnie ojciec umarł przez wojnę. Od ran.

Nic nie muszę zmyślać… Widziałem wojnę. Wojna śni mi się po nocach… We śnie płaczę, że jutro przyjdą i zabiorą tatę. W domu pachnie nowym suknem wojskowym…

A tymczasem już rosną moje wnuki…

Ozdobiłam ją czerwonymi goździkami…

Mariam Juzefowska – rok urodzenia 1941
Obecnie – inżynier

Urodziłam się w czasie wojny… I przez ten czas podrosłam.

No więc… Czekałyśmy, aż tato wróci z wojny…

Czego już mama ze mną nie robiła! Strzygła mnie na zero, nacierała naftą, przykładała maść. A ja strasznie nienawidziłam siebie. Wstydziłam się. Nawet nie wychodziłam na dwór. Wszy i czyraki w pierwszym powojennym roku… Nie było przed nimi ratunku…

A tu przychodzi depesza, że ojca zwalniają do cywila. Poszłyśmy go powitać na dworzec. Mama mnie wystroiła, na czubku głowy zawiązała kokardkę. Na czym się ta kokardka trzymała, pojęcia nie mam. Mama ciągle mnie upominała: „Nie drap się. Nie drap się”. A swędziało nie do wytrzymania! Diabelna kokardka w każdej chwili mogła mi spaść. A w głowie miałam tylko jedną myśl: „Może się ojcu nie spodobam? Przecież jeszcze nigdy mnie nie widział”.

Ale to, co się stało, było jeszcze gorsze. Ojciec zobaczył mnie i rzucił się ku mnie pierwszy. Ale od razu… Na moment, tylko na moment… Ale od razu to poczułam… Przez skórę. Całym ciałem… Jakby się na chwilę… odsunął… Tak mi się wtedy przykro zrobiło. Poczułam taką gorycz, że kiedy mnie wziął na ręce, z całej siły go odepchnęłam. Nagle uderzył mnie ten zapach nafty. A przecież towarzyszył mi wszędzie i zawsze już od roku, już nie zwracałam na niego uwagi. Już przywykłam. I nagle poczułam. Może dlatego, że od ojca pachniało tak ładnie, czymś nieznanym. Ojciec był taki ładny w porównaniu ze mną i z umęczoną mamą. I to mi dopiekło do żywego. Zdarłam kokardę. Cisnęłam ją na ziemię i przydeptałam.

– Co ty robisz? – zdziwił się ojciec.

– Ma twój charakter – śmiała się mama, która wszystko zrozumiała.

Objęła go obiema rękami, tak poszli do domu.

Nocą wołałam mamę, prosiłam, żeby mnie zabrała do łóżka. Zawsze spałam z mamą… Całą wojnę… Ale mama się nie odzywała, tak jakby spała. Nie miałam komu opowiedzieć, jaka mnie spotkała przykrość.

Zasypiając, podjęłam mocne postanowienie, że ucieknę do domu dziecka…

Rano ojciec dał mi w prezencie dwie lalki. A ja dotąd nie miałam prawdziwych lalek. Tylko szmaciane. Od babci. A lalki, które przywiózł ojciec, miały oczy, zamykały je i otwierały, poruszały rękami i nogami, jedna piszczała coś jakby „mama”. Wydawało mi się, że to jakieś czary. Bardzo ich pilnowałam, bałam się nawet wynieść je na podwórze, pokazywałam je tylko przez okno. Mieszkaliśmy na parterze, dzieci z całego domu przychodziły pod okno popatrzeć na moje lalki.

Byłam słaba, chorowita. Wiecznie miałam pecha. To czoło rozbiłam, to nadziałam się na gwóźdź. Albo mdlałam. Tak że dzieci niechętnie dopuszczały mnie do swoich zabaw. Robiłam, co mogłam, żeby wkraść się w ich łaski, wpadałam na najróżniejsze pomysły. Doszło nawet do tego, że zaczęłam podlizywać się Dusi, córce dozorczyni. Dusia była wesoła, energiczna, wszyscy lubili się z nią bawić.

Poprosiła, żebym wyniosła lalkę, a ja nie potrafiłam jej odmówić. Co prawda, nie od razu się zgodziłam, trochę się jeszcze opierałam.

– Nie będę się z tobą bawiła – zagroziła Dusia.

To od razu na mnie podziałało.

Wyniosłam tę „mówiącą” lalkę. Ale niedługo się nią bawiłyśmy. Posprzeczałyśmy się o coś i zaraz doszło do bójki. Dusia wzięła moją lalkę za nogi i walnęła nią o mur. Odpadła głowa, a z brzuszka wyskoczył guzik.

Wszystkie dzieci zaczęły płakać.

– Zwariowałaś, Dusia!

– A czego ona się rządzi? – Dusia rozmazywała łzy po policzkach… – Myśli, że jak ma tatusia, to jej wszystko wolno. I lalki ma, i tatusia.

Dusia nie miała ani ojca, ani lalek…

Pierwszą choinkę postawiliśmy pod stołem. Mieszkaliśmy wtedy u dziadka, było ciasno. Tak ciasno, że puste miejsce zostało tylko pod dużym stołem. Tam właśnie postawiliśmy choineczkę, którą ozdobiłam czerwonymi goździkami. Dobrze pamiętam tę cudowną woń świeżej choinki.

Nic jej nie mogło przebić. Ani zapach mamałygi, którą gotowała babcia, ani dziadkowa szewska smoła.

Miałam szklany paciorek. To był mój skarb. W żaden sposób nie umiałam znaleźć dla niego miejsca na choince. Chciałam powiesić paciorek tak, żeby z każdej strony było widać, jak błyszczy. Umieściłam go więc na czubku. Gdy kładłam się spać, zdejmowałam paciorek i go chowałam. Bałam się, że zniknie…

Sypiałam w balii. Balia była cynkowa, mieniła się niebiesko, a do tego mróz zostawiał na niej wzory, takie żyłki. Jak się ją myło po praniu, wyczuwało się jeszcze popiół, w którym prano bieliznę, bo mydło było rzadkością. Ale ja to lubiłam. Lubiłam przyciskać się czołem do zimnych krawędzi balii, zwłaszcza kiedy chorowałam. Bardzo lubiłam kołysać ją jak kołyskę. To była bardzo cenna rzecz. Jedyna, która została z przedwojennego życia.

Któregoś dnia jednak kupiliśmy łóżko… Z lśniącymi kulkami na oparciu… Wszystko to wprawiło mnie w nieopisany zachwyt! Wlazłam na łóżko i od razu zleciałam na podłogę. To jednak prawda! Nie uwierzyłam, że na takim pięknym łóżku można spać…

Tato zobaczył mnie na podłodze, podniósł i mocno przytulił. A ja przytuliłam się do taty… Objęłam go za szyję, tak jak to robiła mama.

Pamiętam, jak się roześmiał, uszczęśliwiony…

Długo czekałem na tatę… Przez całe życie…

Arsienij Gutin – rok urodzenia 1941
Obecnie – elektryk

W dniu zwycięstwa skończyłem cztery lata…

Od rana zacząłem wszystkim mówić, że mam już pięć lat. Nie piąty rok, tylko pięć lat. Chciałem być starszy. Tato wróci z wojny, a tu ja, już duży!

Przewodniczący tego dnia zwołał kobiety i krzyczał: „Zwycięstwo!”. I wszystkie ucałował. Każdą. Ja byłem z mamą… Cieszyłem się.

A mama płakała.

Zbiegły się wszystkie dzieci… Za wsią podpalono gumowe opony z niemieckich samochodów. Krzyczeliśmy: „Hurra! Hurra! Zwycięstwo!”. Tłukliśmy w niemieckie hełmy, które przedtem pozbieraliśmy w lesie. Biliśmy jak w bębny.

Mieszkaliśmy w ziemiance… Przybiegłem do niej… Mama płacze. Nie rozumiałem, dlaczego nie cieszy się w takim dniu, tylko płacze.

Kiedy zaczął padać deszcz, ułamałem patyczek i wtykałem w kałuże koło naszej ziemianki.

– Co ty robisz? – pytali mnie.

– Sprawdzam, czy dołek jest głęboki. Bo jak tato będzie do nas szedł, to się przewróci.

Sąsiedzi płakali, mama też. A ja nie rozumiałem, co to znaczy, że zaginął bez wieści.

Długo czekałem na tatę… Przez całe życie…

Z tamtej linii… Z tamtego brzegu…

Wala Brinska – 12 lat
Obecnie – inżynier

Lalki… Najładniejsze są lalki… Zawsze przypominają mi o wojnie…

Dopóki tato żył, dopóki żyła mama, nie rozmawialiśmy o wojnie. Teraz, kiedy ich zabrakło, często myślę, jak to dobrze jest, kiedy w domu są ludzie starsi od nas. Bo póki oni żyją, jesteśmy jeszcze dziećmi… Nawet po wojnie byliśmy jeszcze dziećmi…

Nasz tato był wojskowym. Mieszkaliśmy niedaleko granicy. Dla nas wojna zaczęła się od pierwszej godziny, od pierwszych minut. Przez sen słyszałam jakiś huk, jakby grzmoty, ale jakieś niezwykłe, niecodzienne. Zerwałam się, pobiegłam do okna i zobaczyłam łunę nad koszarami w Grajewie[40], dokąd chodziłyśmy z siostrą do szkoły.

– Tato, czy to burza?

Tato odrzekł:

– Odejdź od okna, to jest wojna.

Mama pakowała mu walizkę polową. W jednostce ojca często robiono alarmy, czyli jakby nie działo się nic nadzwyczajnego… Chciało mi się spać… Zwaliłam się na łóżko, dlatego że nic nie rozumiałam. Położyłyśmy się z siostrą późno, bo byłyśmy w kinie. W tamtych czasach chodzenie do kina było czymś całkiem innym niż dzisiaj. Filmy przywożono dopiero przed dniem wolnym, a było ich niewiele: *Świat się śmieje*, *Czapajew*, *My z Kronsztadtu*, *Jeśli jutro na bój*[41]. Seanse organizowano w stołówce Armii Czerwonej. My, dzieci, nie opuszczałyśmy ani jednego pokazu i znałyśmy wszystkie filmy na pamięć. Podpowiadałyśmy tekst aktorom na ekranie, często nawet uprzedzając ich kwestie. Ani we wsi, ani w jednostce nie było prądu, do obracania szpul z taśmą służył niewielki silnik. Kiedy zaczynał

terkotać, wtedy rzucaliśmy wszystko i biegli zajmować miejsca przed ekranem, a czasem przynosiliśmy ze sobą taborety.

Filmy wyświetlano długo – kiedy jedna część się skończyła, wszyscy cierpliwie czekali, aż operator przewinie kolejną taśmę. Dobrze, jeśli miał nową, bo jeśli była stara, to ciągle się rwała i trzeba było czekać, aż ją skleją i wyschnie. Jeszcze gorzej było, jak się zapaliła. A już najgorzej, kiedy wysiadł silnik. Często więc zdarzało się, że filmu nie obejrzeliśmy do końca. Rozlegały się wtedy komendy:

– Pierwsza kompania, do wyjścia! Druga kompania, w dwuszeregu zbiórka!

A jeśli ogłaszano alarm, to nawet operator uciekał. Kiedy przerwy między częściami zbytnio się przeciągały, widzowie zaczynali się niecierpliwić, denerwować, gwizdać i krzyczeć. Wtedy moja siostra wchodziła na stół i ogłaszała: „Zaczynamy koncert”. Strasznie lubiła, jak wtedy mówiono, deklamować. Nie zawsze dobrze znała tekst, ale na stół właziła bez lęku.

To zostało jej jeszcze z czasów przedszkolnych, kiedy mieszkaliśmy w garnizonie pod Homlem. Po recytacji wierszy razem śpiewałyśmy, na bis wywoływano nas z pieśnią *Mocne pancerze mają czołgi nasze*. Szyby drżały w jadalni, kiedy żołnierze podchwytywali refren:

Nawałą ognia i lawiną stali
Powita wroga groźnych maszyn rój.
Gdy tylko rozkaz da towarzysz Stalin,
Pierwszy marszałek nas powiedzie w bój[42].

Mamy zatem dwudziesty pierwszy czerwca czterdziestego pierwszego roku… W tę noc przed wojną… Po raz dziesiąty pewnie oglądałyśmy film *Jeśli jutro na bój*. Po kinie długo nie chciałam iść do domu, dopiero ojciec nas pogonił: „Czy wy w ogóle zamierzacie dzisiaj spać? Jutro jest wolny dzień”.

Oprzytomniałam ostatecznie, kiedy niedaleko rozległ się odgłos wybuchu, a z okna w kuchni posypało się szkło. Mama zawijała w kocyk na wpół sennego braciszka Tolika. Siostra już się ubrała, taty nie było w domu.

– Dziewczynki – pogania mama – prędzej. Jakaś prowokacja na granicy…

Biegniemy do lasu… Mama się zadyszała… Na rękach niosła braciszka, ale nie chciała nam go oddać, tylko cały czas powtarzała:

– Dziewczynki, nie zatrzymujcie się… Dziewczynki, nachylcie się…

Jakoś zapamiętałam, że słońce bardzo mocno świeciło nam w oczy. Było niezwykle jasno, śpiewały ptaki. I ten przeszywający huk samolotów…

Drżałam, a potem zrobiło mi się strasznie wstyd, że tak drżę. Chciałam być taka jak bohaterowie książki Gajdara *Timur i jego drużyna*[43], a tutaj nagle się trzęsę. Wzięłam braciszka na ręce, zaczęłam go kołysać, a nawet śpiewać mu „Jestem jeszcze bardzo młoda…”. To była taka piosenka o miłości z filmu *Bramkarz*[44]. Mama ją często śpiewała. Ta piosenka pasowała też do mojego ówczesnego stanu duszy, bo byłam zakochana! Nie wiem, co o psychologii nastolatka sądzi nauka, ale jeśli chodzi o mnie, to byłam ustawicznie zakochana. Dochodziło nawet do tego, że podobało mi się kilku chłopców naraz. W tamtym czasie akurat podobał mi się jeden – Witia z garnizonu w Grajewie, chodził do szóstej klasy. A ta szósta klasa uczyła się razem z naszą w jednej sali. Pierwszy rząd ławek – klasa piąta, drugi szereg – szósta. Nie mam pojęcia, jak nauczycielom udawało się prowadzić lekcje. Mnie jednak nie lekcje były wtedy w głowie. Dobrze, że nie skręciłam karku, gapiąc się cały czas na Witię!

Podobało mi się w nim wszystko: i to, że był niedużego wzrostu (w sam raz dla mnie), i to, że miał takie niebieskie oczy (jak mój tata), i to, że był bardzo oczytany (nie to co Alka Poddubniak, który nie szczędził nikomu bolesnych szturchańców i któremu się podobałam). A przede wszystkim lubił Juliusza Verne’a! Tak samo jak ja. W wojskowej bibliotece były wszystkie jego książki, które w całości przeczytałam jeszcze w trzeciej klasie…

Nie pamiętam, jak długo siedzieliśmy w lesie… Nie było już słychać wybuchów. Zapadła cisza. Kobiety z ulgą westchnęły, że odparliśmy atak. Ale wtedy… W tej ciszy… Rozległ się huk lecących samolotów… Samoloty leciały w stronę granicy. „Hurrra!” – zawołaliśmy. Ale w tych samolotach było coś „nie naszego” – miały nie nasze skrzydła i huczały nie po naszemu. To były niemieckie bombowce, leciały skrzydło w skrzydło, powoli i ciężko. Wydawało się, że nie ma na niebie żadnego wolnego miejsca. Zaczęliśmy liczyć te samoloty, ale nam się myliły. Już później, w kronikach z czasów wojny, widziałam te bombowce, ale już nie zrobiły na mnie tego wrażenia. Bo filmowali je z tej samej wysokości, z innego samolotu. Kiedy jednak patrzy się z dołu, poprzez drzewa, i to jeszcze oczami nastolatki, to widok jest okropny. Mnie się potem często śniły te samoloty. Ale sen miał „dalszy ciąg” – całe to stalowe niebo powoli opadało na mnie i dusiło, dusi-

ło, dusiło. Budziłam się zlana zimnym potem, a później znowu zaczynałam się trząść. Okropność!

Ktoś nam powiedział, że zbombardowano most. Ze strachem myśleliśmy, co z tatą. Przecież nie przepłynie, nie umie pływać…

Teraz nie potrafię dokładnie powiedzieć… Ale pamiętam, że tato do nas przybiegł i powiedział, że zabiorą nas samochodem. Dał mamie gruby album ze zdjęciami oraz ciepłą watowaną kołdrę. „Okryj dzieci, bo je przewieje”. Zabraliśmy tylko tyle, tak się spieszyliśmy. Żadnych dokumentów, żadnych pieniędzy, złamanego grosza. Mieliśmy jeszcze garnek kotletów, który mama przygotowała na dzień wolny, i buciki brata. A siostra (o dziwo!) złapała w ostatniej chwili pierwszą lepszą torbę, i tam jakimś cudem znalazły się pantofle i krepdeszynowa sukienka mamy. Przypadkowo. Może w niedzielę rodzice chcieli pojechać w gości? Nikt już potem tego nie pamiętał. Czasy pokoju ulotniły się błyskawicznie, tamto życie zeszło na odległy plan.

Tak wyjechaliśmy…

Do stacji dojechaliśmy szybko, ale tam już posiedzieliśmy długo. Wszystko drżało i dudniło. Światło zgasło. Zaczęliśmy podpalać papiery, gazety. Znalazła się latarka. W jej świetle strasznie urosły cienie siedzących ludzi – na ścianach, na suficie. To przesuwały się, to zastygały. Wtedy moja wyobraźnia się uruchomiła: Niemcy są w twierdzy, a nasi – w niewoli. Postanowiłam sprawdzić, czy wytrzymałabym tortury. Wsunęłam palce między skrzynie i przycisnęłam jedną do drugiej. Zawyłam z bólu. Mama się przeraziła.

– Co z tobą, córeczko?

– Boję się, że nie wytrzymam tortur podczas przesłuchania.

– Cóż ty, głuptasku, jakie przesłuchanie? Nasi nie przepuszczą Niemców…

Głaskała mnie po włosach, całowała w czubek głowy.

Pociąg był cały czas bombardowany. Ledwie zaczynają lecieć bomby, mama kładzie się na nas i mówi: „Jeśli zabiją, to wszystkich. Albo tylko mnie…”. Pierwszym zabitym, którego zobaczyłam, był mały chłopiec. Leżał i patrzył w górę, a ja go próbowałam obudzić… Budziłam… Nie mogłam zrozumieć, że nie żyje. Miałam kostkę cukru, dawałam mu ten cukier, żeby tylko wstał. Ale nie wstawał…

Bomby lecą, a siostra szepcze do mnie: „Jak przestaną bombardować, to będę słuchała mamy. Zawsze będę jej słuchała”. I rzeczywiście, po wojnie Toma była bardzo posłuszna. Mama wspominała, że przed wojną mówiła na nią „urwipołeć”. A nasz mały Tolik… Przed wojną już dobrze chodził, dobrze mówił. I nagle przestał mówić, tylko cały czas łapał się za głowę.

Widziałam, jak moja siostra posiwiała. Jej długie czarne włosy całkiem zbielały. Wystarczyło kilka dni… Właściwie jedna noc…

Pociąg rusza. Gdzie jest Tamara? W wagonie jej nie ma. Patrzymy, a Tamara biegnie za wagonem z bukietem chabrów. Było tam duże pole, pszenica wyższa niż my, a w niej rosło dużo chabrów. Jej twarz… Do tej pory mam przed oczyma tę jej twarz. Czarne oczy ma szeroko otwarte i biegnie bez słowa. Nawet nie woła „mama”. Nic nie mówi, tylko biegnie.

Mama omal nie oszalała… Chciała wyskoczyć z pociągu… Ja trzymałam Tolika i obie krzyczałyśmy. Wtedy jakiś żołnierz… Odepchnął mamę od drzwi, wyskoczył po Tomkę i potem w biegu wrzucił ją do wagonu. Rano zobaczyłyśmy, że jest siwa. Przez kilka dni nic jej nie mówiliśmy, chowałyśmy przed nią lusterko, aż w końcu przypadkowo spojrzała w cudze i zaczęła płakać.

– Mamo, czy już jestem babcią?

Mama ją uspokajała:

– Ostrzyżemy cię i odrosną ci czarne.

Po tym zdarzeniu mama powiedziała:

– Dość tego. Nigdy nie wychodzimy z wagonu. Jak nas mają zabić, to zabiją. A jak przeżyjemy, to widocznie takie już zrządzenie losu!

Kiedy krzyczeli: „Samoloty! Wszyscy wychodzić z wagonów!”, wpychała nas pod materace, a tym, którzy ją wyganiali z wagonu, mówiła:

– Dzieci pobiegły, a ja nie umiem chodzić.

Mama często używała zagadkowego słowa „los”. Ciągle pytałam ją, co to jest ten los. Czy to Bóg?

– Nie, nie Bóg. Nie wierzę w Boga. Los to jest linia życia – odpowiadała mama. – Zawsze, dzieci, wierzyłam w wasz los.

Podczas bombardowania czułam się strasznie… Okropnie. Już potem, na Syberii, nienawidziłam siebie za tchórzostwo. Kiedyś przypadkowo, kątem oka przeczytałam list mamy… Pisała do taty. Myśmy też pisały pierwsze w życiu listy, więc chciałam podpatrzeć, co pisze mama. A ona akurat pisała, że kiedy lecą bomby, to Tamara milczy, a Wala boi się i płacze. To mi

wystarczyło. Kiedy wiosną czterdziestego czwartego roku przyjechał do nas tato, nie mogłam na niego podnieść oczu, tak się wstydziłam. Strasznie! Ale o spotkaniu z tatą to potem. Do spotkania było jeszcze daleko…

Pamiętam nocny nalot… Zazwyczaj nocą nie bombardowano, więc pociąg jechał szybko. A tu nagle – lecą. Wielki nalot… Kule bębnią po dachu wagonu. Ryk samolotów. Smugi lecących pocisków świetlnych… Odłamków… Obok mnie zginęła kobieta. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałam, że nie żyje… Bo nie upadła, nie mogła upaść, wagon był pełen ludzi. Kobieta stoi między nami i rzęzi, jej krew zalewa mi twarz, ciepła, lepka. Już koszulkę i majtki mam mokre od krwi. Kiedy mama dotknęła mnie ręką i krzyknęła: „Wala, zabili cię?”, nie byłam w stanie nic powiedzieć.

Po tym zdarzeniu nastąpił we mnie jakiś przełom. Pamiętam, że właśnie po tym… Tak… Przestałam drżeć ze strachu. Było mi już wszystko jedno… Ani lęku nie czułam, ani bólu, ani żalu. Popadłam w jakieś otępienie, obojętność.

Pamiętam, że nie od razu dojechaliśmy na Ural. Na pewien czas zatrzymaliśmy się we wsi Bałanda w obwodzie saratowskim. Przywieźli nas tam wieczorem, zasnęliśmy. O szóstej rano pastuch strzelił z bata, a wszystkie kobiety zerwały się, złapały dzieci i z lamentem wybiegły na ulicę: „Bombardują…”. Krzyczały, dopóki nie przyszedł przewodniczący i nie powiedział, że to pastuch wyganiał krowy. Dopiero wtedy wszystkie ochłonęły…

Zaczął huczeć elewator, nasz Tolik przestraszył się i zaczął dygotać. Ani na sekundę nas od siebie nie puszczał, dopiero kiedy zasnął, można było wyjść bez niego na ulicę. Mama poszła z nami do komendy uzupełnień, żeby dowiedzieć się czegoś o ojcu, poprosić o pomoc. Komendant mówi:

– Proszę pokazać mi dokument, że pani mąż jest dowódcą w Armii Czerwonej.

Nie mieliśmy dokumentów, mieliśmy tylko zdjęcie taty, na którym był w mundurze wojskowym. Komendant bierze to zdjęcie i nadal ma wątpliwości.

– Może to wcale nie pani mąż… Jak to pani udowodni?

Tolik zobaczył, że komendant trzyma fotografię i nie oddaje.

– Oddawaj tatę…

Komendant się roześmiał.

– No, takiemu „dokumentowi” muszę uwierzyć.

Siostra chodziła piegowata i ostrzyżona. Co rano wszyscyśmy sprawdzali, jakie jej rosną włosy – czarne czy siwe. Brat uspokajał ją: „Nie płacz, Toma… Nie płacz, Toma…”. Nowe włosy jednak też były białe. Chłopcy jej z tego powodu dokuczali, więc nigdy nie zdejmowała chustki, nawet na lekcjach.

Raz wróciłyśmy ze szkoły. Tolika nie ma w domu. Mama była w pracy, pobiegłyśmy więc tam.

– Gdzie jest Tolik?

– Tolik w szpitalu.

Niesiemy z siostrą ulicą wieniec… Z błękitnych przebiśniegów[45]… I marynarskie ubranko brata. Mama powiedziała nam, że Tolik umarł, i zabrała nas do kostnicy. Kiedyśmy tam przyszły, stanęła i nie chciała wejść do środka. Nie była w stanie. Weszłam więc sama i od razu poznałam Tolika – leżał golutki. A ja nawet łezki nie uroniłam, byłam jak z drewna.

List taty dotarł do nas na Syberii. Mama całą noc płakała, myśląc, jak napisać tacie, że syn umarł. Rano wszystkie trzy zaniosłyśmy na pocztę telegram: „Dziewczynki żyją. Toma posiwiała”. Tato domyślił się, że Tolika nie ma. Miałam przyjaciółkę, której ojciec zginął, więc na końcu swojego listu zawsze dopisywałam: „Tato, masz pozdrowienia od mojej przyjaciółki Lery”. Bo mnie prosiła. Wszyscy chcieli mieć tatę.

Wkrótce od taty nadszedł list. Pisał, że długo przebywał na tyłach ze specjalnym zadaniem i zachorował. W szpitalu powiedziano mu, że wyleczyć może go tylko rodzina – kiedy zobaczy bliskich, wtedy mu się polepszy.

Czekałyśmy na tatę kilka tygodni. Mama wyjęła z walizki naszą ukochaną krepdeszynową sukienkę i pantofle. Ustaliłyśmy z nią, że nie sprzedamy tej sukienki i pantofli, choćby nie wiem jak było nam ciężko. Byłyśmy przesądne. Bałyśmy się, że jeśli je sprzedamy, to tato nie wróci.

Kiedy usłyszałam przez okno głos taty, nie mogłam uwierzyć – czyżby to on? Naprawdę trudno było uwierzyć w to, że zobaczę tatę, tak już przywykłyśmy do czekania na niego. Dla nas od dawna był tym, na kogo trzeba czekać, i tylko czekać. W szkole tamtego dnia przerwano lekcje – wszyscy przyszli oglądać naszego tatę. Bo to był pierwszy tato, który przyjechał z wojny. Potem jeszcze przez dwa dni nie mogłyśmy się z siostrą uczyć – bez końca do nas podchodzili, wypytywali, pisali liściki: „Jaki jest tato?…”. A to był wyjątkowy tato – Anton Pietrowicz Brinski, kawaler Orderu Lenina, Bohater Związku Radzieckiego…

Tato, jak kiedyś nasz Tolik, nie chciał być sam. Nie mógł. Źle się czuł w samotności. Kiedyś usłyszałam… Opowiadał komuś, jak partyzanci podeszli do wsi i zobaczyli dużo świeżej, rozkopanej ziemi… Zatrzymali się… Stoją na niej…

A przez pole biegnie chłopiec i krzyczy, że tutaj rozstrzelali i zakopali całą wieś… Wszystkich mieszkańców…

Tato obejrzał się i widzi, że upadłam. Nigdy więcej już przy nas nie opowiadał o wojnie…

Mało mówiliśmy o wojnie. Tata i mama byli przekonani, że takiej strasznej wojny już nigdy nie będzie. Długo w to wierzyli. A nam z siostrą po wojnie zostało jedynie to, że kupowałyśmy lalki. Nie wiem dlaczego. Pewnie dlatego, że zabrakło nam dzieciństwa. Dziecięcej radości. Zwłaszcza siostra ucierpiała, bo była młodsza. Kiedy studiowałam, siostra wiedziała, że najlepszym prezentem dla mnie będzie lalka. Gdy urodziła córkę, przyjechałam do nich i pytam:

– Co chcesz w prezencie?

– Lalkę…

– Pytam, co chcesz dla siebie, a nie dla dziecka.

– Przecież ci mówię… Kup mi lalkę.

Ale dzieciom też kupowałyśmy lalki. Wszystkim kupowałyśmy lalki w prezencie, wszystkim naszym znajomym.

Potem zabrakło… Najpierw naszej niesamowitej mamy, a po niej taty. Zrozumiałyśmy, od razu to poczułyśmy, że jesteśmy ostatnie. Z tamtej linii… Z tamtego brzegu… Jesteśmy ostatnimi świadkami. Nasz czas się kończy. Powinnyśmy mówić…

Pomyślałyśmy, że nasze słowa będą ostatnie…

[1] Belladonna – wilcza jagoda (*Atropa belladonna*), roślina trująca, wytwarzane z niej preparaty stosuje się m.in. w leczeniu schorzeń żołądkowo-jelitowych [wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza].

[2] Budionówka – (od nazwiska Siemiona Budionnego, jednego z dowódców bolszewickich w wojnie domowej) spiczasta sukienna czapka, kształtem nawiązująca do staroruskiego hełmu, w latach 1919–1940 nakrycie głowy w Armii Czerwonej.

[3] *Moskwa* (*Moskwa majskaja*), muz. Daniił i Dmitrij Pokrassowie, sł. Wasilij Lebiediew-Kumacz, przeł. Leopold Lewin.

[4] Zarówno Kobryń, jak i Brześć przed wojną należały do Polski i zostały zajęte przez Armię Czerwoną po 17 września 1939 roku. Ta relacja w książce i parę innych podobnych dotyczą wyłącznie rodzin pracowników partii bądź oficerów, którzy zostali skierowani na te tereny po aneksji wschodnich ziem Rzeczypospolitej przez ZSRR.

[5] Miasto Gorki (białor. *Horki*) w obwodzie mohylewskim na Białorusi, siedziba Białoruskiej Państwowej Akademii Rolniczej, kontynuatorki najstarszej carskiej uczelni rolniczej (1840).

[6] Od 1972 roku miasto nosi nazwę Dymitrowgrad (na cześć bułgarskiego przywódcy komunistycznego Georgiego Dymitrowa).

[7] *Soobrazitielnyj* (ros.) – bystry.

[8] *Siewiernyj* (ros.) – północny.

[9] Rusznik – wyszywany ręcznik płócienny, służący do ozdoby i mający znaczenie religijno-obrzędowe.

[10] Chałchyn Goł – rzeka graniczna we wschodniej Mongolii, od maja do września 1939 rejon zwycięskich walk wojsk radzieckich i mongolskich z Japończykami.

[11] *Mir* (ros.) – pokój.

[12] Od imienia dowódcy ppłk. Aleksieja Danukałowa (1906–1944).

[13] *Pauk* (ros.) – pająk.

[14] Policaj – pogardliwe określenie obywateli radzieckich, służących w niemieckiej policji pomocniczej.

[15] Zażynki – początek żniw.

[16] *Jesli zawtra wojna* – muz. Daniił i Dmitrij Pokrassowie, sł. Wasilij Lebiediew-Kumacz, przeł. Leon Pasternak.

[17] *Tri tankista* – muz. Daniił i Dmitrij Pokrassowie, sł. Boris Łaskin.

[18] *Po dolinam i po wzgoriam* – tzw. hymn partyzantów, autor melodii nieznany, sł. Piotr Parfionow, przeł. Leon Pasternak. Marsz, spopularyzowany w czasie pierwszej wojny światowej, był także śpiewany po obu stronach walczących w wojnie domowej.

[19] *Wiesiołyj wietier* – muz. Izaak Dunajewski, sł. Wasilij Lebiediew-Kumacz, przeł. Wiktor Woroszylski; piosenka z filmu *Dzieci kapitana Granta* (reż. Władimir Weinstock, 1936).

20 Do roku 1943 w Armii Czerwonej nie noszono naramienników, uważanych za symbol kontrrewolucji. Dla chłopca mieszkającego pod okupacją niemiecką były więc nowością.

21 Organizator partyjny (skrót: *partorg*) – oficjalny przedstawiciel partii komunistycznej w zakładzie pracy czy też jednostce wojskowej.

22 Kurgan-Tiube – miasto w Tadżykistanie, obecna nazwa: Kurgonteppa.

23 Andiżan – miasto w Uzbekistanie.

24 Mleko prażone – tradycyjna potrawa kuchni rosyjskiej; mleko przegotowane i podgrzewane przez dłuższy czas w piecu chlebowym, ma kolor beżowy, charakterystyczny smak i zapach.

25 Diegtariow – ręczny karabin maszynowy DP (ros. *Diegtiariowa Piechotnyj*), od nazwiska konstruktora Wasilija Diegtiariowa (1880–1949).

26 *Marsz radzieckich czołgistów* – muz. Daniił i Dmitrij Pokrassowie, sł. Boris Łaskin.

27 Aleksandr Puszkin, *Borys Godunow*.

28 Kibitka (z arab. *kubbat* – kopuła) – tutaj: azjatycki namiot koczowniczy.

29 Chodzi o Olitę.

30 Wiersz *Grenada* Michaiła Swietłowa (1903–1964) w przekładzie Juliana Tuwima. Melodię dopisywano do niego wielokrotnie, tu jednak chodzi o pieśń z lat trzydziestych do muzyki Konstantina Listowa.

31 Lidija Rusłanowa (1900–1973) – popularna wykonawczyni pieśni ludowych, w czasie wojny jeździła z koncertami dla walczących żołnierzy.

32 „Droga życia” – od września 1941 do stycznia 1943 roku jedyna droga zaopatrzenia oblężonego Leningradu, wiodąca przez jezioro Ładoga. Korzystano z niej także później, aż do ostatecznego wyzwolenia miasta w styczniu 1944 roku.

33 Miejscowość ta do 1939 roku należała do Polski i nosiła nazwę Bereza Kartuska.

34 W należącym do Polski mieście do 18 września 1939 roku stacjonowała rzeczna Flotylla Pińska. Po aneksji wschodnich ziem polskich Związek Radziecki wykorzystał port rzeczny (i zatopione przez Polaków jednostki pływające) i utworzył w Pińsku miejsce stacjonowania własnej flotylli rzecznej.

35 „Mama myła ramę” (ros. *Mama myła ramu*) – pierwsze zdanie w elementarzu rosyjskim.

36 Kubanka – niska futrzana czapka z sukiennym lub skórzanym denkiem, noszona przez Kozaków kubańskich (od nazwy rzeki Kubań).

37 Kasjan Golejzowski (1892–1970) – wybitny rosyjski i radziecki tancerz, choreograf i baletmistrz, związany z teatrem Bolszoj w Moskwie.

38 *Słowik* (białor. *Saławiej*) – balet do libretta według opowiadania Źmitroka Biaduli (1886–1941) z muzyką Michaiła Krosznera (1900–1942). Kompozytor zginął w mińskim getcie; zaginęła też większość jego utworów.

39 *Tiepłuszka* (ros.) – ogrzewany wagon towarowy, przystosowany do przewozu ludzi lub zwierząt.

40 Polskie miasto Grajewo, przejęte przez Armię Czerwoną z rąk Niemców 28 września 1939 roku.

41 *Świat się śmieje* (*Wiesiołyje riebiata*, 1934, reż. Grigorij Aleksandrow), *Czapajew* (1934, reż. Gieorgij i Siergiej Wasiliewowie), *My iz Kronsztadta* (1936, reż. Jefim Dzygan) – radzieckie filmy fabularne. *Jesli zawtra wojna* (1938) – film propagandowy zespołu reżyserów pod kierownictwem J. Dzygana.

42 Patrz przypis na s. 165.

[43] *Timur i jego komanda* Arkadija Gajdara (właśc. Golikow, 1904–1941) – klasyka radzieckiej literatury dziecięcej. Wydana w 1940 roku książka opowiadała o pionierach pomagających ludziom starszym i rodzinom wojskowych i walczących z chuliganami. W Polsce Ludowej przez długi czas książka *Timur i jego drużyna* była lekturą dla szkół podstawowych.

[44] *Wratar'* (1936, reż. Siemion Timoszenko) – piosenkę z tego filmu (*Jesli Wołga razoljotsa.*…) napisał Isaak Dunajewski, słowa – Wasilij Lebiediew-Kumacz.

[45] Cebulica syberyjska (*Scilla sibirica*).

WYDAWNICTWO CZARNE SP. Z O.O.
www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
e-mail: mateusz@czarne.com.pl,
tomasz@czarne.com.pl, lukasz.augustyn@czarne.com.pl,
honorata@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
tel. +48 18 351 00 70
e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Andersa 21/56, 00-159 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, anna@czarne.com.pl,
dorota@czarne.com.pl, zofia@czarne.com.pl

Dział marketingu: katarzyna@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: irek.gradkowski@czarne.com.pl
tel. 504 564 092, 605 955 550
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl

Audiobooki i ebooki: Izabela Rególska, iza@czarne.com.pl

Wołowiec 2013
Wydanie I